

ROGER ZELAZNY

DILVISH PRZEKŁĘTY

Przełożyła : Małgorzata Pacyna

DROGA DO DILFARU

Kiedy Dilvish Przeklęty wyruszył z Portaroy, próbowali zatrzymać go w Qaran, potem w Tugado i jeszcze w Maestar, Mycar i Bildesh. Na drodze do Dilaru czekało na niego pięciu jeźdźców; gdy jeden stracił siły natychmiast zastępował go następny na nowym koniu. Żaden jednak nie był w stanie dotrzymać kroku Blackowi, rumakowi ze stali, za którego, jak mawiano, Pułkownik Wschodu oddał część swojej duszy.

Galopował na nim dzień i noc, aby wyprzedzić nacierające armie Lylisha, Pułkownika Zachodu, gdyż jego właśnie ludzie leżeli martwi na górzystych polach Portaroy.

Kiedy Dilvish zdał sobie sprawę, że jest ostatnim człowiekiem, który pozostał na miejscu kaźni, przywołał Blacka, wdrapał się na siodło nieomal przyrośnięte do konia i rzucił się do ucieczki. Błyszczące kopyta Blacka poniosły go przez formacje pikinierów; ich drzewca pochyliły się niczym łan pszenicy, dzwoniąc, gdy metalowe okucia dotknęły skóry wierzchowca.

- Do Dilaru - krzyknął, a Black odwrócił się w prawą stronę i powiózł go pod ścianę urwiska, na które wdrapać mogły się tylko kozice.

Gdy Dilvish minął Qaram, Black przechylił łeb i powiedział:

- Wielki Pułkowniku Wschodu, powietrze i powietrze poniżej powietrza zaminowano gwiazdami śmierci.

- Czy możesz je ominąć?

- Jeśli pojedziemy drogą obstawioną posterunkami - odrzekł Black - to być może się uda.

- Spieszmy się zatem.

Małe srebrne oczy, które wyglądały z przestrzeni poniżej przestrzeni i zawierały piekielne drobiny gwiazdnej materii, zamrugały i zajaśniały pełnym blaskiem.

Skręcili w bok.

To właśnie na tej drodze zza głazu wyłonił się pierwszy jeździec i wezwał Dilvisha, by się zatrzymał. Siedział na wielkim, gniadym koniu bez jakichkolwiek ozdób.

- Ściągnij cugle, Pułkowniku Wschodu - powiedział - twoich ludzi wymordowano. Ta droga usiana jest śmiercią i z obu stron otoczona żołnierzami Lylisha.

Ale Dilvish przemknął obok bez słowa. Jeździec spiął konia ostrogami i ruszył za nim.

Przez cały ranek jechał jego śladem aż do drogi na Tugado, dopóki gniady, śmiertelnie wycieńczony, nie potknął się i nie zrzucił go na skały.

W Tugado drogę Dilvishowi zastąpił jeździec na czerwonym jak krew ogierze i wystrzelił z kuszy.

Black stanął dęba, a strzała ześlizgnęła się po jego piersi. Wzdął nozdrza i wydał dźwięk niczym krzyk wylatującego z nich ogromnego ptaka. Czerwony jak krew ogier odskoczył z głównej drogi na pole.

Black dał susa naprzód, a kolejny jeździec zawrócił swego konia i pognął za nim. Słońce było już w zenicie, ale pościg nie ustawał. Nagle czerwony koń padł z wyczerpania. Dihnsh jechał dalej.

W Maester drogę zablokowano na Przełęczy Reshth.

Ściana z kłód wypełniała wąski korytarz na dwukrotną wysokość człowieka.

- Skacz! - powiedział Dilvish, a Black wzbił się w powietrze. Unosząc się w górę niczym ciemna tęcza, przeleciał nad umocnieniem.

Tuż przed nim, na końcu korytarza, czekał jeździec na białej klaczy.

Black parsknął z całej siły, ale klacz nie ruszyła się z miejsca.

W oślepiającym blasku południa światło odbite w lustrach jego kopyt i metalowej skóry było prawie błękitne. Nie zwolnił biegu, a kiedy jeździec na klaczy zobaczył, że jest cały ze stali, cofnął się w głąb przejścia i wyciągnął miecz.

Dilvish wysunął spod płaszcza ostrze miecza i mijając jeźdźca zamierzył się na jego głowę. Mężczyzna ruszył za nim krzycząc:

- Choć ominałeś gwiazdy śmierci i przeskoczyłeś przez blokadę, nigdy nie uda ci się dotrzeć do Dilfaru! Ściągnij cugle! Jedziesz na zjawie, która przybrała formę konia, ale zatrzymają cię w Mycar lub w Bildesh, a może jeszcze wcześniej!

Pułkownik Wschodu nie odpowiedział, a Black pognął naprzód długimi, lekkimi susami.

- Jedziesz na wierzchowcu, który nigdy się nie męczy - wrzeszczał za nim jeździec - ale nic nie uchroni go przed innymi czarami. Oddaj swój miecz!

Dilvish zaśmiał się, a jego płaszcz, niczym skrzydło, zatrzepotał na wietrze.

Zanim dzień zapadł się w noc, klacz zniknęła, a Dilvish zbliżał się do Mycar.

Kiedy dotarli do strumienia o nazwie Kethe, Black zatrzymał się gwałtownie. Dilvish chwycił go za szyję, by uchronić się przed upadkiem.

- Most jest zniszczony - powiedział Black - a ja nie potrafię pływać.

- Czy możesz go przeskoczyć?

- Nie wiem, mój pułkowniku. Jest szeroki. Jeśli mi się nie uda, nigdy nie wydostaniemy się na powierzchnię. Kethe wcina się głęboko w ziemię.

Wtem zza drzew wyłonili się rycerze; jedni na koniach, inni pieszo. Ci ostatni trzymali w dłoniach włócznie. Dilvish nakazał:

- Próbuje!

Black w mig nabrał rozpędu i ruszył szybciej niż jakikolwiek inny koń. Świat zawirował i zadrżał wokół Dilvisha, który przylgnął do Blacka kolanami i wielkimi, pokrytymi bliznami dłońmi. Kiedy wznosił się w powietrze - wydał przeraźliwy okrzyk.

Gdy wylądowali na drugim brzegu, kopyta Blacka wbiły się w skałę, a Dilvish zachwiał się w siodle. Utrzymał się jednak na wierzchowcu, a Black oswobodził swe kopyta.

Dilvish spojrział na przeciwległy brzeg i ujrzał nieruchomo stojących rycerzy, którzy wlepiali wzrok to w niego, to w Kethe, to znów w niego i Blacka.

Kiedy ruszyli naprzód, pojawił się jeździec na łaciatym ogierze i rzekł:

- Choć zajechałeś na śmierć trzy konie, próbujące dorównać ci, zatrzymamy cię na drodze do Bildesh. Poddaj się!

Ale w tym momencie Dilvish i Black byli już bardzo daleko.

- Oni myślą, że jesteś demonem, mój wierzchowcu - powiedział do Blacka.

Koń zaśmiał się z cicha.

- Może byłoby lepiej, gdybym był nim naprawdę.

Jechali dalej aż słońce zniknęło za horyzontem, a łaciaty koń padł po drodze. Jego jeździec przeklął Dilvisha i Blacka, a oni pędzili naprzód.

W Bildesh zaczęły walić się na nich drzewa.

- Zasadzki! - wykrzyknął Dilvish, ale Black już wykonywał taniec uników i pasaży. Zatrzymał się, stanął dęba; odbił się tylnymi nogami i przeskoczył nad padającą kłodą. Zatrzymał się znowu i powtórzył skok. Naraz, z przeciwnych stron korytarza, runęły dwie kłody jednocześnie, więc odskoczył do tyłu, potem w przód, pokonując je obie.

Chwilę później przemierzył dwa głębokie doły, a grad strzał posypał się na niego z obu stron. Jedna z nich ugodziła Dilvisha w nogę.

Pojawił się piąty jeździec. Jego koń o imieniu Sunset był koloru złotego o odcieniu świeżej mięty. Jeździec był młodzieńcem lekko trzymającym się w siodle, jak gdyby specjalnie wybrano go do dalekich pościgów. Miał przy sobie bojową lancę, która rozbiła się na grzbiecie Blacka, nie zostawiając żadnych śladów.

Pospieszył za Dilvishem i zawołał głośno:

- Zawsze podziwiałem Dilvisha, Pułkownika Wschodu, nie chcę zatem widzieć, jak umiera. Błagam, poddaj się! Będziesz traktowany ze wszystkimi honorami należnymi twojej pozycji!

Dilvish wybuchnął śmiechem i odpowiedział:

- Nie, mój chłopcze. Wolę umrzeć niż poddać się Lylishowi. Dalej, Black!

Black przyspieszył biegu, a chłopiec pochylił się nad szyją Sunseta i rozpoczął pościg. Przy boku nosił miecz, ale nigdy nie miał okazji go użyć. Choć Sunset galopował przez całą noc, dłużej i dalej niż pozostali prześladowcy, to i on w końcu padł, kiedy nastawać zaczął błądy świt.

Próbując podnieść się z ziemi, młodzieniec krzyknął:

- Choć uciekłeś przede mną, wpadniesz w ręce Lancy.

Dilvish, zwany Przeklętym, pędził samotnie wśród wzgórz Dilfaru niosąc posłanie dla tego miasta. I choć jego koń, zwany Black, był ze stali, wciąż obawiał się spotkania z Lancą w Niezwyciężonej Zbroi.

Kiedy ruszył w dół ostatniej przełęczy, na drodze stanął mężczyzna w zbroi, na opancerzonym koniu. Człowiek ten całkowicie blokował przejście i choć miał spuszczone przyłbicę, Dilvish rozpoznał w nim Lancę, prawą rękę Pułkownika Zachodu.

- Zatrzymaj się, Dilvishu, i ściągnij cugle - krzyknął. - Nie możesz mnie ominąć!

Lanca siedział jak posąg. Dilvish zatrzymał Blacka i czekał.

- Wzywam cię, abyś się poddał.

- Nie - odparł Dilvish.

- Zatem muszę cię zabić. Dilvish sięgnął po miecz.

Jego przeciwnik parsknął śmiechem.

- Czyż nie wiesz, że moja zbroja jest niezniszczalna?

- Nie - powiedział Dilvish.

- A więc dobrze - odrzekł z cichym chichotem - jesteśmy tu sami, masz na to moje słowo. Zejdź z konia. Ja zrobię to samo. Kiedy zobaczysz, że to wszystko na próżno, może uratujesz swe życie. Jesteś moim więźniem.

Zeszli z koni.

- Jesteś ranny - zauważył Lanca.

Dilvish bez słowa wyprowadził cios na jego szyję, mając nadzieję rozerwać zbroję na kawałki. Nie drgnęła jednak, a na stali nie znać było nawet zadrażnienia świadczącego o potężnym ciosie, który innemu ściałby głowę.

- Teraz widzisz, że zbroja moja jest niezniszczalna. Wykuta została przez samych Salamandrów, a płukano ją we krwi dziesięciu dziewic...

Dilvish wymierzył cios nad jego głowę, a kiedy ten odparował uderzenie, obszedł go wolno z lewej strony, tak że teraz Lanca stał tyłem do stalowego rumaka.

- Teraz, Black - krzyknął Dilvish.

Black stanął dęba na tylnych nogach i rzucił się w przód.

Człowiek zwany Lancą obrócił się gwałtownie, a kopyta uderzyły go w pierś. Upadł. Na jego pancerzu wyryte zostały dwa błyszczące ślady kopyt

- Miałeś rację - stwierdził Dilvish - zbroja jest nadal nienaruszona.

Lanca jęknął po raz drugi.

- Mógłbym cię teraz zabić mieczem przez otwór twojej przyłbicy. Ale nie uczynię tego, gdyż nie pokonałem cię w uczciwej walce. Kiedy odzyskasz siły, przekazaj Lylishowi, że Dilfar będzie gotowy na jego przybycie. Byłoby lepiej, gdyby się wycofał.

- Zabiorę ze sobą worek na twoją głowę, kiedy zdobędziemy miasto - odpowiedział Lanca.

- Zabiję cię w dolinie przed miastem - odparł Dilvish, wsiadając na Blacka i kierując się w stronę przełęczy. Lanca pozostał na ziemi.

Po drodze Black odezwał się do Dilvisha:

- Kiedy się znów spotkacie, uderzaj w ślady moich kopyt. Zbroja pęknie pod ciosem miecza.

Gdy tylko przybyli do miasta, Dilvish podążył ulicami do pałacu, nie zamieniając ani jednego słowa z tłumem, który się wokół niego zgromadził.

Wkroczył do pałacu i oznajmił:

- Jestem Dilvish, Pułkownik Wschodu, a przybyłem, tu, by zameldować, że Portatoy padło i znajduje się w rękach Lylischa. Armie Pułkownika Zachodu podążają w tym kierunku i dotrą tu za dwa dni. Zbróćcie się zatem w pośpiechu. Dilfar nie może upaść.

- Dmijcie w trąby - zarządził król podnosząc się z tronu - i zbierzcie wojowników. Musimy przygotować się do bitwy.

Kiedy zagrały trąby, Dilvish wypił kielich czerwonego wina z winnic Dilfaru; a gdy wniesiono mięsiwa i chleb, raz jeszcze pomyślał o twardej zbroi Lancy. Wiedział, że będzie musiał zmierzyć się z nią po raz drugi.

PIEŚŃ THELINDY

Przez cały wieczór z drugiej strony wzgórza, pod wielkim, złotym księżycem, dochodził śpiew Thelindy.

W wysokiej komnacie Caer Devash, otoczonej z zewnątrz sosnami i odbijającej się poniżej urwiska w srebrnej rzece zwanej Denesh, Mildin usłyszała głos swojej córki i słowa jej pieśni:

Ludzie z Westrim są odważni,

Ludzie z Westrim są śmiali,

Ale Dihish Przeklęty powrócił

I zmroził krew w ich żyłach.

Kiedy tak tropili go od Portaroy

Aż do Dilfaru na Wschodzie,

On gnał na potworze rodem z piekieł

Na czarnej bestii ze stali.

Nie potrafili ranić ani wstrzymać jego rumaka -

zwanego Black.

Bo pułkownik zdobył wielką mądrość

Wraz z klątwą Jeleraka.

Mildin zadrżała i sięgnęła po swój lśniący płaszcz - była przecież Panią Sabatu. Zarzucając go na ramiona i zapinając pod szyją dymnym Kamieniem Księżyca, przemieniła się w srebrnoszarego ptaka, wyleciała przez okno i uniosła się wysoko nad Deneshem.

Przeleciała nad wzgórzem i dotarła do Thelindy wpatrującej się w stronę południa. Przysiadła na dolnej gałęzi najbliższego drzewa i przez swe ptasie gardło rzekła:

- Moje dziecko, przerwij swój śpiew.

- Matko! Co się stało? - zapytała Thelinda- Dlaczego przybrałaś postać jerzyka?

Jej oczy były szeroko otwarte, gdyż śledziły zmianę księżyca, a we włosach płonął srebrny ogień czarownic Północy. Miała siedemnaście lat, była łagodna i kochała śpiew.

- Wyśpiewałaś imię, którego nie wolno wypowiadać, nawet tutaj, w naszej odludnej wieży -

powiedziała Mildin. Gdzie nauczyłaś się tej pieśni?

- Od stworzenia w jaskini - odpowiedziała - tam, gdzie rzeka zwana Midnight tworzy jeziorko przepływając pod ziemią.

- Cóż to za stworzenie było w jaskini?

- Jego już tam nie ma - odrzekła Thelinda. - To był tajemniczy podróżny, coś w rodzaju żaby. Myślę, że odpoczywał tam w drodze do Zgromadzenia Potworów.

- Czy wyjaśnił ci znaczenie tej pieśni? - zapytała.

- Nie, powiedział, że pojawiła się ostatnio i że mówi o wojnach na Południu i Wschodzie.

- To prawda - odparła Mildin - a ta żaba nie boi się tego wyrechotać, gdyż pogrążona jest w ciemnocie i nie znaczy nic dla Wszechpotężnego. Ale ty, Thelindo, ty musisz być bardziej ostrożna. Wszyscy, którzy podlegają władzy, o ile nie okażą się nieroztropni, lękają się wymówić to imię, które zaczyna się na "J".

- Ale dlaczego?

Srebrnoszara istota zatrzepotała nad ziemią. Teraz jej matka stała obok, wysoka i biała w świetle księżyca; włosy miała splecione i upięte wysoko nad głową w koronę sabatu.

- Owiń się moim płaszczem, a udamy się nad Staw Bogini, kiedy jeszcze palce księżyca dotykają jego powierzchni - powiedziała Mildin. - Zobaczysz coś, o czym właśnie śpiewałaś.

Opuścili wzgórze i ruszyli w kierunku miejsca, gdzie strumyczek, który bierze swój początek u źródła na szczycie góry, wpada z lekkim szmerem do stawu. Mildin uknęła nad nim w ciszy i pochylając się do przodu, zaczęła oddychać nad powierzchnią wody. Potem przywołała do siebie Thelindę i obie spojrzały w dół.

- Przypatrz się księżycowi odbitemu w wodzie - nakazała. - Spójrz głęboko. Słuchaj...

- Dawno temu, według naszej miary czasu - zaczęła - była sobie Dynastia pogardzana przez szlachtę Wschodu, jako że kilka pokoleń zawierało mieszane małżeństwa z rodem Elfów. Elfy są wysokie i piękne, bystre w myśli i działaniu, choć ich rasa jest znacznie starsza. Ludzie w zasadzie nie traktują ich jako równych sobie. A szkoda... Ostatni człowiek z tej wyjątkowej dynastii, pozbawiony ziemi i tytułów, miał się wielu zawodów od morza po góry, aż w końcu zajął się rzemiosłem żołnierskim, a było to podczas pierwszych wojen z Zachodem, kilka wieków temu. Wyróżnił się w wielkiej bitwie pod Portaroy, oswobadzając to miasto z rąk nieprzyjaciół, stąd też nazwano go Dilvish Oswobodziciel. Patrz! Obraz jest wyraźny! To wjazd Dilvisha do Portaroy...

A Thelinda wpatrywała się w staw, na którym pojawił się wizerunek.

Mężczyzna był wysoki i ciemniejszy niż Elf, jego oczy śmiały się i błyszczały triumfalnie. Dosiadał kasztanowatego rumaka, a jego zbroja, choć wyszczerbiona i porysowana, nadal lśniła w porannym słońcu. Cwałował na czele swych oddziałów, a ludzie z Portaroy stali po obu stronach drogi i wiwatowali na jego cześć. Kobiety rzucały mu kwiaty pod nogi. Kiedy nareszcie przybył pod fontannę na placu, zsiadł z konia i pociągnął łyk wina zwycięstwa. Starszyzna wygłosiła mowy dziękczynne, a na cześć wybawców wydano wielką ucztę.

- Wygląda na dobrego człowieka - powiedziała Thelinda. - Ale jakież ogromny miecz nosi przy boku! On sięga czubków jego butów!

- Tak, dwuręczna maszyna nazwana tego dnia Oswobodzicielem. A jego buty, jak zauważysz, wykonane są z zielonej skóry Czarodziejów, niedostępnej ludziom. Czasem jednak buty takie przekazywane są w podarunku, jako oznaka łaski Najwyższych; mówi się, że nie zostawiają żadnych śladów. Szkoda, że po tygodniu biesiady Oswobodziciel zostanie starty w proch i Dilvish nie pozostanie wśród żywych.

- Ale on nadal żyje!

- Tak, po raz drugi.

Staw wzburzył się i ukazał kolejny obraz.

Ciemny stok... Mężczyzna w płaszczu i kapturze stojący w delikatnie jarzącym się kole... Dziewczyna przywiązana do kamiennego ołtarza... Mężczyzna trzyma w prawej ręce miecz, w lewej - łaskę...

Mildin poczuła, jak palce córki wpijają się w jej ramię.

- Matko! Co to takiego?

- To właśnie Obcy, którego imienia nie wolno ci wymówić.

- Co on tu robi?

- To tajemnicza istota żądna krwi dziewiczej. Od początku świata czekał, aż gwiazdy ustawią się we właściwej pozycji dla jego obrzędu. Przebył daleką podróż, by dotrzeć do tego starego ołtarza na wzgórzach pod Portaroy; do miejsca, w którym ma się dokonać ten akt.

- Patrz, jak mroczne istoty tańczą wokół tego kręgu: nietoperze i widma we wstęgach dymu - łaknące kropli krwi! Ale nie dotkną kręgu.

- Oczywiście że nie...

- Teraz, kiedy ogień wznosi się coraz wyżej, a gwiazdy ustawiają się we właściwej pozycji, on szykuje się, by odebrać jej życie...

- Nie mogę na to patrzeć!

- Patrz!

- Nadchodzi Oswobodziciel, Dilvish.

- Tak. Na sposób Najwyższych sypia niewiele. Zamierza przejść się między wzgórzami Portaroy. Ma na sobie strój bitewny, jak przystało na oswobodziciela.

- On widzi Jel... Widzi krąg! Idzie naprzód!

- Tak, i przerywa ten krąg. Sam będąc Najwyższej Krwi wie, że jest dziesięciokrotnie bardziej odporny na czary niż zwykły śmiertelnik. Nie wie jednak, czyj krąg naruszył. Wciąż jednak żyje. Słabnie - patrz, jak się słania! - jak potężna jest moc Obcego.

- Uderza czarownika gołą ręką, powala go na ziemię i przewraca płonący kocioł. Teraz stara się uwolnić dziewczynę...

Cień czarownika odbity w stawie uniósł się w górę. Jego twarz pozostawała niewidoczna pod kapturem, podniósł wysoko laskę. Nagle wydało się, że urósł do olbrzymich rozmiarów, a jego laska rozciągnęła się i skręciła niczym wąż. Wyciągnął dłoń i dotknął lekko dziewczynę.

Thebinda krzyknęła.

Dziewczyna zaczęła starzeć się w jej oczach. Twarz pokryła się zmarszczkami, włosy posiwiały. Skóra nabrała żółtego koloru, widać było przez nią każdą kość.

W końcu przestała oddychać, ale zaklęcie działało nadal. Postać na ołtarzu zmarszczyła się i po chwili uniosła się z niej mgiełka delikatnego prochu.

Na kamieniach pozostał jedynie szkielet.

Dilvish skierował się ku czarownikowi, unosząc Oswobodziciela do ciosu.

Kiedy opuścił miecz, Mroczna Istota dotknęła go swą laską. Miecz zadrżał i upadł na ziemię. Dilvish uczynił krok w kierunku czarownika.

Raz jeszcze pojawiła się laska, a wokół postaci Oswobodziciela zamigotał błydy płomień. Po chwili zniknął. Ale on stał tam nadal, bez ruchu.

Obraz zginął.

- Co się stało?

- Mroczna Istota - odpowiedziała Mildin - rzuciła na niego klątwę, przed którą nie może uchronić nawet Najwyższa Krew. Spójrz.

Nad stokiem wstawał dzień. Szkielet wciąż leżał na ołtarzu. Czarownika już nie było. Dilvish stał samotnie, cały z marmuru w promieniach słońca, pokryty poranną rosą. Jego prawa dłoń uniesiona była w górę jakby z zamiarem powalenia wroga.

Jakiś czas potem przybyła tam grupka chłopców, którzy przez długą chwilę wpatrywali się w posąg. Następnie wrócili do miasta, by opowiedzieć o tym, co zobaczyli. Starszyzna z Portaroy przybyła na wzgórze i uznała posąg za podarunek od nieznanymi, którzy byli wiernymi przyjaciółmi ich Oswobodziciela. Posąg wsadzono na wóz, przewieziono do Portaroy i ustawiono na placu obok fontanny.

- Zamienił go w głaz!

- Tak, i stał tak na tym placu przez ponad dwa stulecia, jak własny pomnik, z pięścią wymierzoną przeciwko wrogom miasta, które oswobodził. Nikt się nie dowiedział, co się z nim stało, a jego dawni przyjaciele zestarzelili się i pomarli. Posąg stał nadal.

- A on spał w kamieniu.

- Nie, Mroczna istota nie jest tak łaskawa w swych klątwach. Kiedy jego ciało stało nieruchome, odziane w strój bojowy, dusza zesłana została do najgłębszych otchłani Piekieł.

- Och...

- I nikt nie wie, czy tak miały działać czary, czy to Najwyższa Krew zatriumfowała w chwili krytycznej, czy też jakiś potężny sojusznik Dilvisha poznał prawdę i doprowadził do jego uwolnienia. Ale pewnego dnia, kiedy Lylish, Pułkownik Zachodu, przemknął przez kraj, wszyscy ludzie z Portaroy zgromadzili się na placu szykując obronę miasta.

Księżyc zakradł się nad brzeg stawu. Pod nim pojawił się kolejny obraz:

Ludzie z Portaroy zbroili się i ćwiczyli musztrę na placu. Nie było ich zbyt wielu, ale wydawało się, że nie sprzedadzą tanio swego życia. Prawie wszyscy spoglądali na posąg Oswobodziciela, jak gdyby przywołując legendę. Kiedy słońce spowiło go swymi barwami, posąg poruszył się...

Przez kilkanaście minut, powoli, z wyraźnym wysiłkiem, jego kończyny zmieniły pozycję. Potężny tłum stojący na placu patrzył w bezruchu. W końcu Dilvish zszedł z piedestału i napił się z fontanny.

Odwrócił się do ludzi, którzy zaczęli otaczać go ze wszystkich stron.

- Jego oczy, matko! Zmieniły się!

- Czy to takie dziwne, że po tym, co ujrzał oczyma duszy, wszystko to odbija się w jego zewnętrznych oczach?

Obraz zniknął. Księżyc popłynął dalej.

- I skądś zdobyła konia, który nie był koniem, ale bestią ze stali stworzoną na podobieństwo konia.

Na chwilę w stawie pojawiła się ciemna, mknąca postać.

- To Black, jego rumak. Dilvish pognął na nim do boju i choć długo walczył na ziemi, opuścił na jego grzbiecie pole bitwy. Był jedynym, który przeżył. Kilka tygodni przed walką dobrze wyszkolił swych ludzi, lecz było ich zbyt mało. Nazwali go Pułkownikiem Wschodu, w przeciwieństwie do tytułu, jaki nosi Lord Lylish. Wszyscy jednak zginęli, on jeden ocalał, choć szlachta i starszyzna z innych miast Wschodu stanęła do boju uznając jego zwierchnictwo. Powiedziano mi, iż tego dnia stanął pod murami Dilfaru i pokonał Lancę w Niezwycięzonej Zbroi w pierwszym starciu. Ale teraz księżyc zachodzi, a woda pogrąża się w ciemnościach...

- Ale co z imieniem? Dlaczego nie wolno mi wymawiać imienia Jeleraka?

Gdy tylko to wypowiedziała, coś zaszeleściło niczym ogromne, suche skrzydła uderzające powietrze. Chmura zaćmiła księżyc, a głęboko w stawie pojawił się ciemny kształt.

Mildin ukryła swą córkę pod płaszczem.

Szelest narastał, a nad nimi rozplynęła się delikatna mgła.

Mildin wykonała Znak Księżyca i szepnęła miękko:

- Odejdź w Imię Sabatu, którego jestem Panią, nakazuję ci zawrócić. Wracaj, skąd

przybyłeś. Nie chcemy twych ciemnych skrzydeł nad Caer Devash.

Poczuły silny prąd powietrza i tuż nad nimi uniosła się płaska, pozbawiona wyrazu twarz, schowana między szerokimi skrzydłami nietoperza. Jego szpony lśniły lekko, niczym metal właśnie podgrzany w kuźni.

Wykonał jedno okrążenie, a Mildin ściągnęła mocniej płaszcz i uniosła dłoń.

- Na Księżyc, naszą Matkę, we wszystkich jej postaciach. Wzywam cię do odejścia. Teraz! Natychmiast! Wynoś się z Caer Devash.

Stwór wylądował na ziemi, tuż obok nich, ale płaszcz Mildin zaczął jarzyć się, a Kamień Księżycyca zamigotał mlecznym ogniem. Monstrum cofnęło się przed światłem i roztopiło się we mgle.

Nagle chmura otworzyła się i wypadł z niej strumień światła. Jeden księżycowy promień dotknął potwora. Wydał z siebie przeraźliwy wrzask, jak człowiek w ogromnym bólu, a potem uniósł się w górę i podążył na południowy-zachód.

Thebinda spojrzała na twarz matki, która nagle wydała się bardzo zmęczona, stara...

- Co to było? - spytała.

- Był to sługa Mrocznej Istoty. Najlepiej jak umiałam, próbowałam przestrzec cię przed jego mocą. Przez wieki imienia jego używano przy zaklinaniu i zniewalaniu okrutnych duchów i ciemnych mocy, tak że nazwano go Imieniem Mocy. Gdy tylko słudzy usłyszą dźwięk jego imienia, pędzą, by znaleźć mówcę, boją się bowiem gniewu za własną opieszałość. Arogancki mówca musi ponieść karę. Jeżeli ktoś zbyt często wymawia jego imię, a on się o tym dowiaduje, rzuca na taką osobę klątwę. Tak czy inaczej, nierozsądnie jest śpiewać takie pieśni.

- Nigdy już nie będę. Ale skąd czarownik bierze taką moc?

- Jest on tak stary jak te wzgórza. Kiedyś był czarownikiem białym, ale opętały go czarne moce, które uczyniły go szczególnie złośliwym; wiesz, że one prawie nigdy nie zmieniają się na lepsze. Obecnie uchodzi on za jednego z trzech najpotężniejszych, jeśli nie za najpotężniejszego czarownika wszystkich królestw we wszechświecie. Wciąż pozostaje przy życiu dysponując ogromną siłą, choć wydarzenia, które zobaczyłaś, miały miejsce przed wiekami. Ale nawet on ma swoje kłopoty...

- Dlaczego? - zapytała córka czarownicy.

- Bo Dilvish powrócił do grona żywych i chyba przepełniony jest gniewem.

Zza chmury wyłonił się księżyc, a był ogromny i płowo złoty.

Mildin i jej córka ruszyły drogą wśród wzgórz, w kierunku Caer Devash otoczonego sosnami, wysoko nad Denesh, srebrną rzeką.

DZWONY SHOREDAN

Na ziemi Rahoringhast nie było ani jednej żywej istoty. Od ponad dwóch wieków ta umarła kraina przesiąknięta była ciszą, czasami tylko rozbrzmiewał trzask piorunów i słychać było chłopot deszczowych kropel odbijających się od kamiennych domostw i głazów. Wieże cytadeli Rahoring stały tam nadal; wielkie, sklepione przejście, od którego odchodziły wrota, stało otworem, jak paszcza zamarła w okrzyku bólu i zdumienia przed śmiercią. Okolica przypominała księżycowy krajobraz.

Traktatem Armii wiodącym do bramy, a przez nią dalej do cytadeli, podążał jeździec. Za nim wił się szlak, prowadzący w dół i w dół, na południe i na zachód. Wiódł przez lodowate, poranne mgły unoszące się nad ziemią; ciemną i pokrytą dołami, niczym szwadronami gigantycznych pijawek. Zakręcał wokół pradawnych wież, które pozostały tam jedynie dzięki zaklęciom z przeszłości. Czarne, budzące przestrasz, wznosiły się ku górze niczym obrazy z sennego koszmaru; wieże i cytadela były przedłużeniem charakteru ich martwego twórcy: Hohorgi, Króla Świata.

A jeździec - jeździec w zielonych butach, które podczas marszu nie zostawiały żadnych śladów, musiał poczuć tę tajemniczą siłę, która unosiła się nad tym miejscem, gdyż zatrzymał się i siedząc w milczeniu długo patrzył na rozbite wrota i wysokie blanki. Chwilę później odezwał się do czarnego stworzenia podobnego do konia i ruszyli naprzód.

Gdy podjechał bliżej, zauważył jakiś ruch w cieniu bramy.

A przecież wiedział, że w krainie Rahoringhast nie ma ani jednej żywej istoty.

Biorąc pod uwagę liczbę obrońców, bitwa przebiegała pomyślnie.

Pierwszego dnia pod mury Dilfaru przybyli wysłannicy Lylisha. Chcieli prowadzić pertraktację, zażądali poddania miasta, ale im odmówiono. Nastąpiło krótkie zawieszenie broni, w trakcie którego doszło do pojedynku między Lancą, Ręką Lylisha a Dilvishem, zwanym Przeklętym, Pułkownikiem Wschodu, Oswobodzicielem Portanoy, potomkiem Dynastii Elfów z Selar i Dynastii Rodu Ludzkiego skazanej na pogardę.

Walka trwała jedynie kwadrans, dopóki Dilvish, któremu zraniona noga krępowała ruchy, nie uderzył zza tarczy ostrzem swego miecza. Zbroja Lancy, uważana za niezniszczalną, pękła, kiedy miecz Dilvisha trafił w jeden ze śladów na napierśniku - śladów, które kształtem przypominały rozszczerzone kopyta końskie. Ludzie szeptali, że śladów tych nie było wcześniej, a samego pułkownika wcześniej próbowano pojmać do niewoli. Jednak jego rumak, który przez cały czas stał nieruchomo jak stalowy posąg, przyszedł mu z pomocą przywożąc go bezpiecznie do miasta.

Wtedy rozpoczął się szturm, ale obrońcy byli znakomicie przygotowani i dzielnie bronili murów swego grodu. Dilfar był doskonale umocniony i zabezpieczony. Walcząc z przewagą obrońcy zadali żołnierzom Zachodu znaczne straty.

Minęły cztery dni i armia Lylisha wycofała się zabierając potężne tarany, które nie zostały

użyte w boju. Żołnierze Zachodu czekając na katapulty z Bildesh rozpoczęli budowę wież.

Z wysokiej Wieży Orłów, wznoszącej się nad murami Dilfaru, przyglądało im się dwóch ludzi.

- Nie uda nam się, Lordzie Dilvish - powiedział król, który nosił imię Malacara Potężnego, choć był w podeszłym wieku i miernej postury. - Jeśli wybudują te ruchome wieże i sprowadzą katapulty, pokonają nas z daleka. Nie będziemy w stanie się przed tym obronić. Kiedy osłabią nas bombardowaniem, użyją ruchomych wież.

- To prawda - odrzekł Dilvish.

- Ale Dilfar nie może się poddać.

- Nie.

- Posłano po posiłki, ale one znajdują się wiele mil stąd. Nikt bowiem nie przewidział ataku Lorda Lylisha, a przeszkolenie odpowiednich oddziałów i sprowadzenie ich tutaj zajmie sporo czasu.

- To wszystko prawda, bo kiedy tu dotrą, może być za późno.

- Niektórzy twierdzą, iż jesteś tym samym Lordem Dilvishem, który przed wieloma laty oswobodził Portaroy.

- Jestem nim.

- Tamten Dilvish pochodził z Dynastii Selara, pieczętującej się herbem Niewidzialne Ostrze.

- Tak.

- Czyż więc prawdą jest również to, co mówi się o Dynastii Selara i dzwonach Shoreden w Rahoringhast?

Wypowiadając te słowa Malacar odwrócił wzrok.

- Tego nie wiem - odrzekł Dilvish. - Nigdy nie próbowałem wskrzesić zaklętych legionów Shoredan. Babka opowiadała mi, iż we wszystkich stuleciach Czasu wydarzyło się to tylko dwa razy. Czytałem też o tym w Zielonych Księgach Czasu w wieży Mirata. Jaka jest prawda, nie wiem.

- Tylko ktoś z Dynastii Selara wydobędzie z tych dzwonów jakiś dźwięk. Powiadają, że w obecności kogoś innego kołysać się będą w milczeniu.

- Tak mówią.

- Rahoringhast leży daleko na północnym wschodzie, a droga doń jest bardzo uciążliwa. Jednak ktoś dosiadający takiego rumaka jak twój mógłby wyruszyć w podróż, uderzyć w dzwony

1 przywołać zaklęte legiony. Podobno pójdą do boju za kimś z Dynastii Selara.

- Tak, ja również o tym pomyślałem.

- Czy zatem podejmiesz się tej próby?

- Tak, panie. W nocy. Jestem gotów to uczynić.

- Dilvishu z Dynastii Selara, klęknij i przyjmij me błogosławieństwo. Gdy tylko zobaczyłem cię przed murami grodu, wiedziałem, kim jesteś.

I Dilvish przyklęknął, przyjmując błogosławieństwo Mala - cara zwanego Potężnym, Wasala Wschodnich Granic, którego królestwo obejmowało Dilfar, Bildesh, Maestar, Mycar, Portaroy, Princeaton i Poind.

Droga była trudna, ale pokonanie tych wielu mil było niczym ruch chmur na niebie. Zachodnie wejście do Dilfaru kryło w sobie jeszcze mniejsze przejście; drzwi rozmiarów człowieka, obite kolcami i przystosowane do wypuszczania strzał.

Jak okiennice na wietrze, drzwi te otwierały się i zamykały. Doganiając skrawek nocy, pułkownik przejechał nisko pochylony przez bramę i pognął równiną, przekraczając na moment granice obozu wroga.

Kiedy przejeżdżał, rozległ się wrzask, a w ciemnościach zabrzęczała broń.

Spod stalowych, nie podkutych kopyt trysnęły iskry.

- Black, mój rumaku, pędź najszybciej, jak potrafisz!

Nie wystrzelono ani jednej strzały, a on już był poza obozowiskiem.

Po wschodniej stronie, wysoko na wzgórzu, migotał na wietrze mały płomień. Umieszczone na wysokich drzewcach proporce trzepotały w noc, ale w ciemnościach Dilvish nie mógł odczytać ich godła. Wiedział jednak, że stoją przed namiotami Lylisha, Pułkownika Zachodu.

Kiedy Dilvish przemówił językiem przeklętych, oczy jego rumaka zajaśniały jak żarzące się węgle. Mały płomień na szczycie buchnął w górę na wysokość czterech ludzi. Nie sięgnął jednak namiotu.

Potem ogień zgasł, jedynie węgle żarzyły się jeszcze przez chwilę.

Dilvish mknął dalej, a kopyta Blacka oświetlały zbocze.

Pościg nie trwał długo. Był już daleko i zupełnie sam.

Całą noc jechał wśród skał. Wznosiły się wysoko nad nim, to znów opadały, jak zataczające się wielkoludy zdumione własnym pijaństwem. Nieskończoną ilość razy czuł, iż szybuje w pustym powietrzu, a kiedy spoglądał w dół, widział jedynie pustą przestrzeń.

Gdy nastał ranek, droga wiodła już prosto, a przed nim, a potem pod nim rozciągał się w oddali skraj Wschodniej Niziny. Noga pod zbroją zaczęła mu drętwieć, ale w Krainie Cierpienia przebywał dłużej niż wśród ludzi, toteż wyrzucił to uczucie ze swych myśli.

Kiedy słońce wzniosło się nad postrzępiony horyzont, przystanął, by zjeść, wypić i wyprostować kości.

Potem ujrzał na niebie postaci dziewięciu czarnych gołębic, które bez chwili wytchnienia

krążyły nad światem, widząc wszystko na ziemi i na wodzie.

- To jakiś omen - powiedział. - Ale czy dobry?

- Nie wiem - odrzekł potwór ze stali.

- Spieszmy się zatem, by to sprawdzić.

Wskoczył na konia.

Jechał równiną przez cztery dni, aż znikły falujące żółte i zielone trawy, a przed jego oczyma pojawiła się piaszczysta ziemia.

Wiatry pustyni wciskały mu się w oczy. Obwiązał twarz szalem, ale i to nie uchroniło go przed atakiem. Za każdym razem, kiedy kasłał i wypluwał piasek, musiał go opuszczać, a wtedy piasek zasypywał go powtórnie. Mrużył oczy, paliła go twarz, rzucał przekleństwa, ale żadne zaklęcie, które znał, nie mogło zamienić całej pustyni w żółty gobelin, gładki i spokojny. Black był jak przeciwny wiatr i całe powietrze tej ziemi stanęło z nim do walki.

Dnia trzeciego na pustyni jakaś szalona, niewidzialna istota przeleciała nad nim, coś mamrocząc. Nawet Black nie mógł jej prześcignąć, a ona nie zwracała uwagi na najbardziej ordynarne przekleństwa w Mabrahoring, języku demonów i przeklętych.

Następnego dnia przybyło ich więcej. Nie przekroczyły ochronnego kręgu, w którym spał Dilvish, ale z wrzaskiem wkraczały w jego sen, wyrzucając z siebie bezsensowne dźwięki tuzina języków i nie pozwalały mu na chwilę wytchnienia.

Porzucił je, gdy opuścił pustynię. Porzucił je, gdy wkroczył na ziemię gładką i bagien, żwiru i czarnych stawów; ziemię diabelskich jam, przez które wydostawały się dymy z podziemnego świata.

Dotarł do granic Rahoringhast.

Dokoła panowała wilgoć i szarość.

Miejscami unosiła się mgła, a ze skał sączyła się woda; wypływała spod ziemi.

Nie było drzew, krzewów, kwiatów, trawy. Nie zaśpiewał ptak, nie zahuczał owad... Na ziemi Rahoringhast nie było ani jednej żywej istoty.

Dilvish pojechał dalej i przekroczył rozdartą paszczę miasta. Wszystko w nim było cieniem i ruiną. Ruszył Traktem Armii.

Rahoringhast, miasto umarłych, pogrążone było w ciszy.

Teraz poczuł ją, ale nie ciszę nicości, lecz ciszę martwego istnienia.

W grodzie pobrzmiwały jedynie stalowe, rozszczipione kopyta.

Nie odezwało się echo.

Stukot... Cisza... Stukot... Cisza... Stukot...

To tak, jakby coś niewidzialnego próbowało pochłonąć każdą oznakę życia na każdy jego odgłos.

Pałac był czerwony jak cegły gorące od wypalania i splukane we własnej zaprawie. Mury wykuto z jednego bloku. Na tej tafli czerwieni nie widniały żadne spoiny ani wylomy. Ściany były masywne, mocno osadzone w ziemi, szerokie u podstawy, a ze swymi trzynastoma wieżami pięły się wyżej niż jakakolwiek inna budowla znana Dilvishowi. A przecież mieszkał on w samej wieży Mirata, tam gdzie Władcy Iluzji dzierżą władzę, kształtując przestrzeń według własnej woli.

Dilvish zsiadł z konia i spojrzał na olbrzymie schody rozpościerające się przed nim.

- To, czego poszukujemy, jest w środku.

Black kiwnął łbem i dotknął kopytem pierwszego stopnia. Z kamienia buchnął ogień. Cofnął kopyto, wokół którego zakręciła się smuga dymu. Na stopniu nie pozostał ani jeden ślad.

- Boję się, że nie będę mógł tam wejść zachowując moją postać - oświadczył. - Przynajmniej tę postać.

- Co cię powstrzymuje?

- Stare zaklęcie broniące tego miejsca przed napaścią takich jak ja.

- Czy można je zdjąć?

- Nie uczyni tego żadna istota, która chodzi po tej ziemi, lata nad nią lub żyje pod jej powierzchnią. Nawet jeśli któregoś dnia morza wyleją i zatopią tę ziemię, miejsce to pozostanie na ich dnie. Wyrwano je z Chaosu na mocy Rozkazu w czasach, kiedy owe moce przechadzały się po tej krainie, nagie, tuż za wzgórzami. Ktokolwiek je posiadał, był jednym z Pierwszych i wszechmocnym nawet na miarę Potężnego.

- Zatem muszę ruszyć sam.

- Być może nie. Ktoś właśnie nadjeżdża, więc zaczekaj i porozmawiaj z nim.

Dilvish wstrzymał się, a z odległego zaułka wyłonił się samotny jeździec i podążył w jego kierunku.

- Bądź pozdrowiony - zawołał jeździec, unosząc otwartą prawą dłoń.

- Bądź pozdrowiony - odwzajemnił powitanie Dilvish.

Mężczyzna zsiadł z konia. Miał na sobie ciemnofioletowy strój, kaptur przerzucony był na tył głowy, a jego płaszcz okrywał wszystko. Nie miał broni.

- Co robisz tutaj, pod Cytadelą Rahoring? - zapytał.

- Dlaczego pytasz o to, kapłanie z Babrigore? - odrzekł Dilvish.

- Przebywam tu, w miejscu śmierci, przez jeden księżyc, aby rozmyślać nad drogami zła. Muszę się przygotować, by potem stanąć na czele świątyni.

- Jesteś zbyt młody, by zostać głową świątyni. Kapłan wzruszył ramionami i uśmiechnął

się.

- Niewielu przybywa do Rahoringhast - zauważył.
- Nic dziwnego - odpowiedział Dilvish. - Wierzę, że nie zabawię tutaj długo.
- Czy zamierzałeś dostać się do środka? - Wykonał ruch ręką.
- Tak, i nadal zamierzam.

Mężczyzna był o pół głowy niższy od Dilvisha, a przez szaty, które nosił, trudno było odgadnąć kształt jego postury. Miał śniadą cerę i niebieskie oczy. Kiedy mrugał oczami, na jego lewej powiece wirował mały pieprzyk.

- Błagam cię, byś zaniechał swych kroków - oświadczył. - Wejście do tego gmachu byłoby nierozsądne.

- Dlatego?
- Mówią, iż nadal, strzeżony jest przez pradawnych wartowników jego władcy.
- Czy byłeś kiedykolwiek w środku?
- Tak.
- Czy jakiś pradawny wartownik zakłócił twój spokój?
- Nie, ale będąc kapłanem z Babrigore korzystam z ochrony... Jeleraka.

Dilvish splunął.

- Niech jego ciało żywcem obedną ze skóry. Kapłan spuścił wzrok.
- Choć pokonał potwora, który tu mieszkał - powiedział Dilvish - sam stał się potem nie mniej obrzydliwy.

- Wiele z jego występków splamiło tę ziemię - ciągnął kapłan - ale nie zawsze był taki. Był białym czarownikiem, który przeciwstawiał swą potęgę Mrocznej Istocie w czasach, gdy świat był jeszcze młody. Nie wytrzymał. Poddał się. Zbrodnicza Moc pojmowała go jako sługę. Przez wieki znosił tę niewolę, aż całkowicie go odmieniła, doprowadziła do wściekłości. Sławę zdobył stosując tajemne sztuczki. Ale potem, gdy Selar Niewidzialnego Ostrza okupił życie Hohorgi swoim własnym, Jel... padł jak nieżywy i przeleżał tak cały tydzień. Bliski szaleństwa, gdy tylko odzyskał świadomość, zaczął pracować nad antyzaklęciem: by uwolnić zaczarowane legiony Shoredan. Przystąpił do ostatecznej próby. Tak było. Przez dwa dni i dwie noce stał tu, na tych schodach, dopóki krew nie zmieszała się z potem spływającym mu z czoła, nie mógł jednak oprzeć się władzy Hohorgi. Nawet martwa, mroczna siła była dla niego zbyt wielka. Wędrował potem obłąkany po okolicy, dopóki nie zaopiekowali się nim kapłani z Babrigore. I choć później wrócił do zajęcia, którego się nauczył, pozostał przychylny wobec Zakonu sprawującego nad nim opiekę. Nigdy o nic więcej nie prosił. W czasach głodu słał nam pożywienie. Nie oczerniaj go w mojej obecności.

Dilvish splunął po raz drugi.

- Oby gnił w ciemnościach na wieki wieków i oby jego imię przeklęte było na zawsze.

Kapłan uciekł wzrokiem od jego pałających ogniem oczu.

- Czego szukasz w Rahoring? - zapytał w końcu.

- Chcę wejść do środka i spełnić zadanie.

- Zatem jeśli musisz, będę ci towarzyszył. Być może mój glejt obejmie również ciebie.

- Kapłanie, nie ubiegam się o twą ochronę.

- Nie musisz o nią prosić.

- Dobrze. Pójdź zatem ze mną. Podążył schodami w górę.

- Czym jest to stworzenie, którego dosiadasz? - zapytał kapłan wyciągając dłoń. - Kształtem przypomina konia, ale teraz wygląda jak posąg.

Dilvish parsknął śmiechem.

- Ja też wiem co nieco o tajemnych mocach i mam z nimi własne układy.

- Żaden człowiek nie może układać się z mrokiem.

- Powiedz to mieszkańcowi Krainy Cierpienia, kapłanie. Powiedz to posągowi. Powiedz to każdemu z rodu Człowieka! Ale nie mnie.

- Jakie nosisz imię?

- Dilvish. A ty ?

- Korei. Zatem Dilvishu, nie będę ci więcej opowiadał o mroku, ale udam się z tobą do Rahoring.

- Nie traćmy więc czasu. - Dilvish odwrócił się i ruszył w górę. Korei podążył za nim.

Kiedy przeszli pół drogi, światło nad nimi zaczęło ciemnieć. Dilvish spojrzął za siebie. Zobaczył jedynie schody biegnące w dół, coraz niżej i niżej. W tym świecie nie było nic, tylko schody. Wraz z każdym krokiem mrok narastał.

- Czy kiedy byłeś tu ostatnim razem, było tak samo? - spytał.

- Nie - odrzekł Korei.

Doszli na szczyt i stanęli przed ciemnym portalem. Zdawało się, że noc okrywa całą krainę.

Weszli do środka.

Z dala przed nimi dobiegał dźwięk, chyba muzyki, połączony z migającym światłem. Dilvish położył dłoń na rękojeści swego miecza. Kapłan szepnął mu do ucha:

- To się na nic nie zda.

Ruszyli korytarzem i dotarli do opustoszałej komnaty. Umieszczone wysoko na ścianach

kaganki pluły ogniem. Sufit pogrążony był w cieniu i dymie. Przeszli przez komnatę i stanęli przed szerokim stopniem prowadzącym do źródła światła i dźwięku. Korei obejrzał się.

- To zaczyna się od światła - szepnął. - Wszystko, co nieznane. - Zrobił gest ręką. Zewnętrzny korytarz pokryty był jedynie gruzem i... prochami.

- Co jeszcze? - Dilvish spojrział w tył. Przez pył i prochy tylko jedna para śladów wiodła

do komnaty. Dilvish parsknął śmiechem i rzekł: - Chodzę bardzo lekko. - Korei przyjrzał mu się bacznie. Potem mrugnął oczami, a pieprzyk na powiece podskoczył kilkakrotnie.

- Kiedy wkroczyłem tu poprzednim razem - mówił - nie słyszałem dźwięków, nie widziałem kaganków. Miejsce to pogrążone było w pustce, ciszy i gruzach. Czy wiesz, co się dzieje?

- Tak - odpowiedział Dilvish - ponieważ czytałem o tym w Zielonych Księgach Czasu w wieży Mirata. Pamiętaj, kapłanie z Babrigore, że w tej komnacie upiory udają, że są upiorami. Wiedz też, że tak jak długo stoję w tym miejscu, Hohorga umiera wielokrotnie.

Gdy tylko wymówił imię Hohorgi, w wysokiej komnacie rozległ się przeraźliwy krzyk. Dilvish popędził ku schodom, kapłan podążył za nim.

Nagle komnaty Rahoring opętał przejmujący szloch.

Stali teraz na szczycie schodów: Dilvish niczym posąg, z ostrzem do połowy wyciągniętym z pochwy; Korei, z dłońmi ukrytymi w rękawach, modląc się zgodnie ze zwyczajem swego zakonu.

Cała komnata nosiła ślady wielkiej biesiady; oświetlał ją blask światła dochodzącego z różnokolorowych kul krążących jak planety na sklepieniu sufitu przypominającym rozpostarte niebo; tron umieszczony na wysokim podium pod odległą ścianą był pusty. Tron ten był zbyt wielki dla każdego, kto chciałby na nim usiąść. Ściany wyłożone były białymi i pomarańczowymi płytkami z marmuru, na których widniały przedziwne, stare godła. W kolumny ściany wmurowano kamienie szlachetne wielkości dwóch pięści; płonęły one kolorami żółci i szmaragdu, rubinu i ultrabłękitu, rzucając ognisty blask, przezroczysty i świetlisty, na schody wiodące do tronu. Sklepienie tronu, szerokie u góry, wykonane było z białego złota, a kształtem przypominało syreny i harpie, delfiny i węże z głowami satyrów. Ze wszystkich stron podtrzymywały je stojące stwory: skrzydlaty, dwunożny smok, hipogryf, ognisty ptak, chimera, jednorożec, bazyliżek i pegaz. Tron należał do kogoś, kto konał na podłodze.

Kształtem przypominając człowieka, ale będąc od niego o połowę większym, Hohorga leżał na pałacowej posadzce pławiąc się we własnych wnętrznościach. Podtrzymywało go trzech wartowników, podczas gdy pozostali otaczali jego zabójcę. W Księgach Czasu napisano, że Hohorgi Zbrodniczej Siły nie można opisać. Dilvish zrozumiał, że była to prawda, i nieprawda.

Był pięknym mężczyzną o szlachetnych rysach; a jego uroda była tak olśniewająca, że wszyscy odwracali wzrok od jego twarzy przepelnionej teraz cierpieniem. Jasnoblękitna aureola nikła nad jego ramionami. Wijąc się w śmiertelnym bólu, pozostał chłodny i doskonały niczym oszlifowany klejnot. Leżał w czerwonozielonej kałuży własnej krwi. Posiadał hipnotyczne zdolności wielobarwnego węża. Mówi się, że oczy same w sobie pozbawione są wyrazu i że nie można po oczach odróżnić człowieka zagniewanego od osoby ukochanej. Oczy Hohorgi były oczami obalonego boga: nieskończenie smutne, dumne jak ocean pełen lwów.

Wystarczyło jedno spojrzenie, aby Dilvish zdał sobie z tego sprawę, choć nie potrafił określić ich koloru.

Hohorga wywodził się z rodu Pierwszych.

Tymczasem wartownicy ciasno okrążyli mordercę. Bronił się, pozornie gołymi rękami, ale odparowywał ciosy i zadawał je, jakby ścisnął w dłoniach miecz. Po każdym ruchu jego ręki pozostawały rany.

Władał bowiem jedyną bronią, która mogłaby uśmiercić Króla Świata; a w obecności Hohorgi jedynie straż mogła być uzbrojona.

A bronią tą było Niewidzialne Ostrze.

Należało ono do Selara, pierwszego o tym imieniu z dynastii Elfów, praprzodka Dilvisha, który właśnie w tym momencie wykrzyknął jego imię.

Dilvish sięgnął po ostrze i ruszył pędem przez komnatę. Ciął napastników, ale jego miecz napotykał pustkę i przechodził przez nich niczym przez dym.

Selar został otoczony. Po chwili potężny cios wytrącił coś z jego dłoni, a w komnacie rozległ się brzęk. Na oczach rozpaczającego Dilvisha Selar z Shoredan porąbany został wolno na kawałki.

Wówczas przemówił Hohorga, głosem stanowczym, choć łagodnym, jednostajnym jak miarowe uderzanie przybrzeżnych fal lub końskich kopyt.

- Przeżyłem tego, który ośmielił się podnieść na mnie rękę, gdyż tak stać się musiało. Pamiętajcie, że zostało zapisane, iż żadne oczy nie ujrzą ostrza, które pozbawić mnie może życia. W ten sposób moce piekielne płatają różne figle. O dzieci Ludzi, Elfów i Salamandrów, wiele z tego, czego dokonałem, nigdy nie zostanie zapomniane. W ciszę zabieram z tego świata więcej niż możecie sobie wyobrazić. Zabiliście kogoś, kto był doskonalszy od was samych, ale nie jest to powód do dumy. To nie ma już dla mnie żadnego znaczenia. Nic już się nie liczy. Bądźcie przeklęci.

Oczy jego zamknęły się, a w oddali zahuczał piorun.

Dilvish i Korei stali samotnie w ciemnych ruinach wielkiej komnaty.

- Dlaczego wydarzyło się to właśnie dziś? - spytał kapłan.

- Gdy wkracza tu ktoś z rodu Selara - odparł Dilvish - wszystko dzieje się od nowa.

- W jakim celu przybyłeś tu, Dilvishu, synu Selara?

- Aby uderzyć w dzwony Shoredan.

- To niemożliwe.

- Musi się udać, jeśli mam ocalić Dilfar i odzyskać Portaroy. Teraz udaję się na poszukiwanie dzwonów - powiedział.

Zatopił się w czerni bezgwiazdnej nocy, jako że oczy jego nie były oczami Człowieka, a on

sam przyzwyczajony był do ciemności.

Usłyszał, jak kapłan podąża jego śladem.

Okrzykli z tyłu rozbite cielsko tronu Pana Świata. Gdyby miejsce to było lepiej oświetlone, zauważyliby na podłodze ciemne plamy przechodzące w spieczony, jasny brąz, a następnie w czerwonozieloną krew, gdy tylko Dilvish podchodził bliżej. Plamy znikwały, kiedy się oddalał.

Za podium znajdowały się drzwi wiodące do wieży głównej. Fevera Mira ta, Królowa Iluzji, ukazała raz Dilvishowi tę komnatę w zwierciadle wielkości sześciu jeźdźców jadących ramię przy ramieniu i upiękzonym ramą ze złotych żonkili, które skrywały ich głowy, aż znikli wszyscy z wyjątkiem ich cienia.

Dilvish otworzył drzwi i zatrzymał się. Wydobyła się zza nich fala dymu i otoczyła go ze wszystkich stron. Choć dym dusił go, miecz trzymał przed sobą.

- To Strażnik Dzwonów - wykrzyknął Korei. - Jeleraku, przybywaj z pomocą!

- Przeklęty Jelerak! - mruknął Dilvish. - Sam sobie poradzę. - Kiedy tylko wypowiedział te słowa, chmura dymu uleciała przybierając kształt płomiennej wieży oświetlającej tron i miejsca wokół niego, w której znalazły się teraz drzwi. W dymie żarzyła się para czerwonych oczu.

Raz po raz Dilvish próbował przebić chmurę swym ostrzem, ale nie napotkał żadnego oporu.

- Jeżeli nie przybierzesz cielesnej postaci, przejdę przez ciebie! - wykrzyknął. - Jeżeli zaś przybierzesz realne kształty, porąbię cię na kawałki. Wybór należy do ciebie - a powiedział to w Mabrahoring, języku z Piekieł.

- Oswobodziciel, Oswobodziciel, Oswobodziciel - syknęła chmura - mój maleńki, Dilvish, stworzonko z haków i łańcuchów. Czy nie poznajesz swego pana? Czy pamięć twoja jest aż tak krótka?

I chmura skurczyła się i przeistoczyła się w ptasiogłowego potwora o zadzie lwa, z którego ramion wyrastały dwa węże, splatające się na jego wysokiej grzywie z jaskrawych piór.

- Cal-den!

- Tak, twój stary dręczyciel, Elfie. Brakowało mi ciebie, gdyż niewielu uwalnia się spod mej pieczy. Czas, byś powrócił.

- Tym razem - odparł Dilvish - nie jestem w kajdanach i bez broni, a spotykamy się w moim świecie.

Machnął ostrzem obcinając wężową głowę z lewego ramienia Cal-dena.

Komnatę wypełnił przeszywający ptasi krzyk, a Cal-den rzucił się naprzód.

Dilvish ciał go w pierś, ale ostrze odbiło się rykoszetem, pozostawiając jedynie głęboką ranę, z której sączył się blady płyn.

Cal-den odparował cios uderzając w tył. Chwycił ostrze Dilvisha w czarne kleszcze i

gruchocąc je podniósł drugą rękę, by zadać kolejne uderzenie. Wówczas Dilvish zamierzył się resztką miecza, dziewięcioma calami wyszczerbionej długości.

Trafił Cal-dena poniżej szczęki, kawałek ostrza wszedł tam bez trudu i pozostał. Kiedy dręczyciel wrzeszcząc szarpnął głową, Dilvish wypuścił rękojeść z dłoni.

Wtem Dilvish poczuł ucisk w pasie, tak że wszystkie jego kości syknęły i zaskrzypiały. Nagle znalazł się w powietrzu, wąż rozszarpywał mu ucho, szpony wbijały się w jego boki. Cal-den obrócił ku niemu twarz, wbita rękojeść miecza wyglądała na niej jak stalowa broda.

Rzucił gwałtownie Dilvishem przez podium, jakby chciał roztrzaskać go o posadzkę.

Ale ci, którzy noszą zielone buty z krainy Elfów, nie mogą upaść lub wylądować inaczej niż na obie nogi. Dilvish pozbierał się po upadku, lecz szok wywołany lądowaniem przywołał ból w zranionej nodze. Potknął się i musiał wesprzeć się na rękach.

W tym momencie Cal-den skoczył nań, bijąc go srodze po głowie i ramionach. Korei tymczasem cisnął w demona kamieniem, który uderzył go w piersi.

Dilvish cofnął się na czworakach, aż jego dłoń natrafiła wśród gruzu na coś, co ją zraniło.

Ostrze.

Chwycił za rękojeść i podniósł miecz z podłogi zadając cięcie, które trafiło Cal-dena w plecy. Stwór wyprostował się i zaryczał przeraźliwie. Z rany wydobywał się dym.

Dilvish podniósł się i zauważył, że jego dłonie są puste.

Po chwili zrozumiał, iż miecz jego przodka, którego nie mogły oglądać żadne oczy, przybył doń z ruin, w których przeleżał stulecia, by pomóc mu, potomkowi Dynastii Selara, w potrzebie.

Wymierzył ostrze w pierś Cal-dena.

- Niezdaro, jesteś nieuzbrojony, a jednak zraniłeś mnie - powiedział potwór. - A teraz wracajmy do Krainy Cierpienia.

Obaj rzucili się do przodu.

- Zawsze wiedziałem - odezwał się Cal-den - że mój mały Dilvish jest wyjątkowy. - Po tych słowach padł na podłogę z potężnym hukiem, a z jego ciała uniósł się dym.

Dilvish postawił nogę na zwłokach i wyszarpnął miecz z parującej posoki.

- Tobie, Selarze, zawdzięczam to zwycięstwo - powiedział i uniósł tłącą się nicość w geście pozdrowienia. Po czym schował miecz do pochwy.

U jego boku stał Korei. Patrząc, jak leżący u ich stóp stwór obraca się w nicość niczym żarzące się węgle i lód, pozostawiając po sobie fetor nie do wytrzymania.

Dilvish obrócił się ku drzwiom do wieży i przekroczył próg. Korei podążał za nim.

Pod jego stopami leżał zerwany sznur od dzwonu. Gdy tylko dotknął go butem, rozpadł się w proch.

- Podobno - powiedział do Korela - sznur pękł w dłoniach tego, który uderzył w dzwony po raz ostatni, pół wieku temu.

Podniósł wzrok i ujrzał jedynie mrok.

- Legiony Shoredan wyruszyły, by zaatakować Cytadelę Rahoring - zaczął swą opowieść kapłan, jakby czytał ją ze starego pergaminu - a wieść o ich zamiarach dotarła wkrótce do Króla Świata. Wtedy na trzy dzwony z Shoredan rzucił on przedziwne zaklęcie. Kiedy uderzono w dzwony, nad krainą tą uniosła się ogromna mgła. Spowiała maszerujące kolumny i jeźdźców na koniach. Przy drugim uderzeniu w dzwony mgła rozproszyła się, a wraz z nią znikły oddziały wojskowe. Później Merde, Czerwony Mag z Południa napisał, że żołnierze ci nadal maszerują gdzieś w krainie wiecznej mgły. Jeśli w dzwony te uderzy dłoń kogoś z Dynastii, kogoś, kto pokonał twórcę zaklęcia, legiony powrócą z mgielnych otchłani, by służyć mu w czasie bitwy. Kiedy spełni swą misję, raz jeszcze rozpląną się w mroku, by kontynuować swój marsz na Rahoringhast. Do miejsca, którego już nie ma. Nikt nie wie, jak ich od tego uwolnić. Próbował tego ktoś potężniejszy ode mnie, bezskutecznie.

Dilvish pochylał głowę i dotknął murów. Były inne od murów zewnętrznych. Zbudowano je z jednorodnych bloków, między którymi widniały nieliczne szpary dające palcom punkt oparcia.

Uniósł się nad posadzkę i rozpoczął wspinaczkę. Jego zielone buty, czegokolwiek by nie dotknęły, natrafiały na oparcie.

Powietrze było gorące i stęchłe. Ilekroć podnosił rękę, spadały na niego lawiny kurzu.

Podciągnął się rytmicznie ku górze, aż naliczył sto takich ruchów. Paznokcie u rąk miał połamane. Po chwili przylgnął do ściany jak jaszczurka, by nabrać sił. Poczował w sobie ból po ostatnim pojedynku, który palił go niczym tysiące słońc.

Zaciągnął się cuchnącym powietrzem, aż zakręciło mu się w głowie. Myśli jego wróciły do Portaroy, które niegdyś oswobodził, miasta przyjaciół, miejsca gdzie go fetowano, ziemi, która potrzebowała go tak bardzo, iż mógł wyzwolić się z Krainy Cierpienia i porzucić kamienny pancerz zniewalający ciało; pomyślał o Portaroy w rękach Pułkownika Zachodu i o Dilfar opierającym się teraz Lylishowi, który był w stanie zmieść z powierzchni ziemi bastiony Wschodu.

Po chwili wspinał się ponownie.

Jego głowa dotknęła metalowej krawędzi dzwonu. Okrążył go dookoła i podciągnął się na poprzeczkach, które właśnie się pojawiły. Na jego osi wisiały trzy dzwony. Oparł się plecami o mur i złapał się kurczowo belki, stawiając stopę na środkowym dzwonie.

Pchnął, prostując nogi. Oś zbuntowała się, skrzypiąc i zgrzytając na zawiasach.

Ale dzwon powoli drgnął z miejsca. Nie powrócił jednak do pierwotnej pozycji, lecz pozostał w miejscu, do którego został wypchnięty.

Rzucając przekleństwa, Dilvish raz jeszcze pokonał belki i przedostał się na drugą stronę dzwonnicy.

Pchnął dzwon po raz kolejny, a ten zatrzymał się po stronie przeciwległej. Niemniej wszystkie dzwony na osi poruszyły się.

Dziesięć razy przemierzył tę odległość w ciemnościach, by wprowadzić dzwony w ruch. Wówczas kołysały się już z łatwością.

Powoli zaczęły wracać do pierwotnej pozycji, jak tylko zwolnił ucisk nóg. Wypchnął je raz jeszcze, a one powróciły. Pchnął po raz kolejny, i tak raz za razem.

Z jednego z nich wydobył się brzęk, to odezwało się serce dzwonu. Potem przemówił następny. W końcu zadzwoniły wszystkie.

Wypychał je coraz silniej, aż zakołysały się same, wypełniając wieżę wokół niego takim biciem, że poczuł drżenie w zębach, a uszy przeszywał mu ból. Zalał go potok kurzu, oczy miał pełne łez. Zakaszał i przymknął powieki. Pozwolił dzwonom zamilknąć.

Wydało mu się, iż z oddali słyszy nikły głos rogu.

Zaczął schodzić w dół.

- Lordzie Dilvishu - usłyszał głos Koreła, gdy dotknął podłogi. - Dotarł do mnie dźwięk rogów.

- Tak - odparł Dilvish.

- Mam przy sobie manierkę wina. Pij. Dilvish opłukał usta, splunął, a następnie pociągnął trzy potężne łyki.

- Dzięki, kapłanie. A teraz ruszajmy.

Po raz kolejny przemierzili komnatę i zeszli po wewnętrznych schodach. Mniejsza komnata była pogrążona w ciemnościach i zasypana gruzem. Dotarli do wyjścia, Dilvish nie zostawiał za sobą żadnych śladów; w połowie schodów przejaśniło się.

Nad ziemią wstawał ponury dzień. Dilvish odwrócił wzrok w kierunku Traktu Armii. Gęsta mgła wypełniała powietrze daleko poza zburzoną bramą, a z mgły tej dobiegały dźwięki rogu i odgłosy maszerujących oddziałów. Dilvish niemal dostrzegał kontury maszerujących wojowników i jeźdźców, którzy, choć byli w ciągłym ruchu, nie zbliżali się.

- Moje oddziały czekają na mnie - powiedział Dilvish schodząc ze schodów. - Korelu, dziękuję ci za towarzystwo.

- Dziękuję, Lordzie Dilvishu. Przybyłem do tego miejsca, by zastanowić się nad drogami zła. Mogę teraz medytować nad tym, co mi pokazałeś.

DZWONY SHOREDAN

Zeszli z ostatniego stopnia. Dilvish strząsnął kurz z ubrania i dosiadł Blacka.

- Jeszcze coś, Korelu, kapłanie z Babrigore - dorzucił. - Jeśli kiedykolwiek spotkasz swego patrona, który jest w stanie dostarczyć więcej zła niż to, które tu ujrzałeś, powiedz mu, że kiedy zakończone zostaną wszystkie bitwy, jego posąg przybędzie, by go zabić.

Korel zamrugał oczami, a pieprzyk znów zatańczył na jego powiece.

- Pamiętaj - odpowiedział - że nosił on kiedyś świetlisty płaszcz.

Dilvish parsknął śmiechem, a oczy jego rumaka błysnęły w mroku czerwonym światłem.

- Spójrz tam - powiedział wykonując gest ręką. - Oto twój dowód na jego dobroć i światło!

Na niebie krążyło dziewięć czarnych gołębic. Korei pochylił głowę i zamilkł.

- Teraz jadę, by poprowadzić moje legiony. Black stanął dęba na stalowych kopytach i zawtórował śmiechem swojemu jeźdźcy.

Po chwili już ich nie było. Podążyli Traktem Armii, zostawiając w mroku Cytadelę Rahoring i kapłana z Babrigore.

RYCERZ MERYTHY

Kiedy przejeżdżał przez przełęcz, usłyszał krzyk kobiety.

Krzyk odbił się echem i ucichł. Pozostał jedynie odgłos stalowych kopyt rumaka na szlaku.

Zatrzymał się i spojrzał w gęstniejący zmierzch.

- Black, skąd dochodził ten krzyk? - zapytał.

- Nie wiem skąd. W tych górach odgłosy dochodzą ze wszystkich stron - odparł stalowy koń, którego dosiadał.

Dilvish przekręcił się w siodle i popatrzył na przebyty trakt. Daleko, na równinie rozbiła swój obóz przeklęta armia. Dilvish, który sypiał niewiele, popędził naprzód, by rozpoznać drogę wśród gór. Kiedy ostatnim razem przejeżdżał tędy do Rahoringhast, zaskoczyła go noc i prawie nie widział szlaku.

Oczy Blacka zapłonęły lekko.

- Ciemność narasta - powiedział. - Dalsza podróż jest daremna. Niewiele zdołasz ujrzeć. Być może byłoby lepiej zawrócić do obozu, by wysłuchać opowieści twych pradawnych krewnych o pierwszych dniach na ziemi.

- Zgoda... - odparł Dilvish, a kiedy wypowiedział te słowa, krzyk pojawił się znowu.

- To tam! - powiedział wskazując w lewą stronę. - Krzyk dochodzi z przodu, z bezdroży!

- Tak - odpowiedział Black. - Znajdujemy się wystarczająco blisko granic Rahoringhast, dlatego sytuacja taka jak ta jest jeszcze bardziej podejrzana. Wysłuchaj mej rady i nie zważaj na ten krzyk.

- Nocą w głuszy krzyczy kobieta, a ja mam pozostać obojętny? Ruszaj, Black! To narusza zasady mego rodu. Naprzód!

Black wydał odgłos przypominający krzyk wielkiego ptaka na łowach i skoczył naprzód. Minał przełęcz i zboczył ze szlaku, wspinając się na strome urwisko.

Wysoko nad nim migotało światełko.

- To zamek - rzucił Black - a na jego murach stoi kobieta, cała w bieli.

Dilvish spojrzał przed siebie.

Chmury odplynęły, a księżyc rzucił snop światła na budowlę.

Zamek był potężny, choć miejscami w ruinie, a wyglądał jak część masywu górskiego. Otaczał go mrok, z wyjątkiem słabego światełka wydobywającego się z otwartej bramy wiodącej

na dziedziniec. Stary...

Podjechali pod mury zamczyska, a Dilvish zawołał:

- Pani! Czy to ty krzyczałaś?

Kobieta spojrzała w dół.

- Tak - odpowiedziała. - Tak, dobry wędrowcze! To ja.

- Co cię dręczy, o pani?

- Krzyczałam, gdyż usłyszałam, jak przejeżdżasz. Na dziedzińcu jest smok, a ja boję się o własne życie.

- Czy powiedziałaś "smok"?

- Tak, dobry panie. Cztery dni temu sfrunął z nieba i chce tu zamieszkać. Pojmał mnie. Nie mogę się stąd wydostać...

- Zobaczę, co się da zrobić - powiedział. Dilvish wyciągnął swe niewidzialne ostrze.

- O, dobry panie...

- Przez bramę, Black!

- To mi się nie podoba - mruknął Black, kiedy ze stukotem wpadli na dziedziniec.

Dilvish rozejrzał się dookoła.

W jednym rogu dziedzińca płonęła pochodnia. Wokół tańczyły cienie. Poza tym dziedziniec był pusty.

- Nie widzę żadnego smoka - powiedział Black.

- A ja nie czuję zapachu gadziego piżma.

- Tutaj, smoku! - krzyknął Black. - Tutaj, smoku! Podejdź!

Okrążyli dziedziniec zaglądając we wszystkie przejścia.

- Smoka nie ma - zauważył Black.

- Nie ma.

- Szkoda. Ominęła cię przyjemność.

Kiedy przejeżdżali przez ostatnie podwoje, kobieta krzyknęła po raz wtóry.

- Wydaje się, że uciekł, dobry panie.

Dilvish schował miecz Selara do pochwy i zsiadł z konia. Kiedy przekroczyli podwoje, Black zamienił się w stalowy posąg. Kobieta wyszła naprzeciw Dilvisha, a on, uśmiechając się,

pochylił przed nią głowę.

- Twój smok chyba odleciał - odezwał się.

Następnie przeniósł na nią swój wzrok.

Miała czarne, rozplecione włosy opadające na ramiona. Była wysoka, a jej oczy miały kolor leśnego dymu. Płatki uszu ozdobione były rubinami, miała małe podbródek, głowę trzymała prosto. Dilvish przejechał wzrokiem po jej kremowej szyi, aż do kształtnych piersi ukrytych pod obcisłym stanikiem sukni.

- Tak mi się wydaje - odpowiedziała. - Na imię mi Merytha.

- A ja jestem Dilvish.

- Jesteś odważnym mężczyzną, Dilvishu - rzucić się z gołymi rękami na smoka!

- Być może - odrzekł - ale skoro smoka już nie ma...

- Boję się, że do mnie powróci - powiedziała - gdyż jestem ostatnią istotą żyjącą wśród tych murów.

- Sama, tutaj? Co tu porabiasz?

- Moi krewni powrócą jutro z dalekiej podróży. Proszę, zaopiekuj się swym koniem i spożyj ze mną kolację. Jestem samotna i przerażona.

Ułożyła usta w uśmiech, a Dilvish wyraził zgodę.

- Znakomicie.

Następnie powrócił na dziedziniec. Położył dłoń na grzbiecie Blacka i poczuł lekki ruch.

- Black, coś tu nie jest w porządku - oświadczył. - Postaram się dowiedzieć co. Teraz udaję się na posiłek z tą damą.

- Bądź ostrożny - szepnął Black - i zważaj na to, co jesz i pijesz. Nie podoba mi się to miejsce.

- Dobrze, Black - odparł Dilvish i powrócił do Merythy.

Zdobyła skądś płonąca pochodnię, którą przekazała Dilvishowi.

- Komnaty moje znajdują się na górze - rzekła.

Podążył za nią, przedzierając się przez mrok. W rogach zwisały pajęczyny, a ogromne kobierce przedstawiające potężną bitwę pokrywał kurz. Zdawało mu się, że słyszy odgłos uciekających szczurów, a do jego nozdrzy dotarł słaby odór czegoś gnijącego.

Dotarli do półpiętra, a kobieta pchnęła silnym ruchem drzwi.

Pokój oświetlały dziesiątki małych świeczek. Komnata była schludna i ciepła, a w powietrzu unosił się zapach drzewa sandałowego. Na posadzce leżały ciemne skóry zwierząt,

ściany wyłożone były jaskrawymi gobelinami. Dwa otwory okienne wpuszczały nocny podmuch wiatru i przelotne spojrzenia gwiazd. Było tam też wąskie przejście prowadzące na mury obronne, z których został powitany.

Dilvish wszedł do komnaty i gdy tylko przekroczył jej próg, w lewym rogu dostrzegł kominek umieszczony w niszy i tłące się w nim dwie kłody. Na stole przed paleniskiem stało już jadło. Z warzyw i wołowiny unosiła się jeszcze para, chleb był miękki i świeży. Obok stała przezroczysta karafka czerwonego wina. Z boku komnaty zauważył masywne łoże z baldachimem, jego słupki opasane były potężnymi sznurami ze złotych wstążek. Łoże pokryte było pomarańczową narzutą z jedwabiu, a u wezłowania stał rząd pomarańczowych poduch.

- Usiądź i posil się, Dilvishu - odezwała się Merytha.

- Nie będziesz mi towarzyszyć?

- Zjadłam już swój posiłek.

Dilvish spróbował małego kawałka wołowiny. Nie była zepsuta. Popił wina. Było mocne i wytrawne.

- Znakomite - powiedział. - Jak przygotowałaś ten posiłek, że jest jeszcze gorący?

Uśmiechnęła się.

- Udało mi się. Być może wszystko przewidziałam. Dlaczego nie zdejmiesz miecza przy stole?

- Oczywiście - odparł. - Wybacz mi. Odpiął pas i położył go obok siebie.

- Nie nosisz miecza w pochwie. Dlaczego?

- Złamałem go podczas walki.

- Musiałeś jednak wygrać tę potyczkę, w przeciwnym razie nie byłoby cię tutaj.

- Zwyciężyłem - powiedział Dilvish.

- Sir, uważam cię za dzielnego wojownika. Uśmiechnął się.

- Pani, takie słowa mogą przewrócić mi w głowie.

- Czy mogę coś dla ciebie zagrać?

- Spraw mi to przyjemność.

Wówczas sięgnęła po instrument strunowy, jakiego nigdy wcześniej nie widział. Zaczęła grać i śpiewać:

Tej nocy wiał silny wiatr, miłości moja,

Spadła kilka kropel deszczu;

Modliłam się, byś przybył do mnie

I wyzwolił mnie z cierpienia.

Teraz pragnę, by wiatr ten nigdy nie ustał,

Ani błyski w potoku światła.

Przybyłeś wraz z wieczorem,

Żywy, z krwi i kości.

Błagam cię, zostań, na całą noc.

Ty, którynosisz zielone buty.

Rycerzu bez miecza.

Zamknij me oczy słodkimi pocałunkami.

Będę modlić się, by wiatr ten nigdy nie ustał,

Ani błyski w potoku światła.

Byś został na całą noc.

Żywy, z krwi i kości.

Modliłam się, byś przybył do mnie,

Kiedy zgaśnie światło dnia.

Byś wziął mnie w ramiona, kiedy zawieje nocny wiatr

I spadnie kilka kropel deszczu.

Dilvish jadł i popijał wino obserwując jej grę. Palce ledwie muskały struny, głos miała ciepły i czysty.

- To cudowne - odezwał się.

- Dziękuję ci, Dilvishu - odpowiedziała i zagrała kolejną melodię.

Dokończył swój posiłek i popił winem, aż w karafce ukazało się dno. Przerwała śpiew i odłożyła instrument.

- Boję się zostać tu sama - rzekła - dopóki nie powrócą moi krewni. Czy zostaniesz tu ze mną na noc?

- Na to pytanie jest tylko jedna odpowiedź.

Wstała i podeszła doń, dotykając palcami jego policzka. Uśmiechnął się i pogłaskał ją po twarzy.

- Jesteś półkrwi Elfem - powiedziała.

- To prawda.

- Dilvish, Dilvish, Dilvish - ciągnęła - to imię brzmi znajomo... Już wiem! Nazwali cię tak na cześć bohatera Ballady o Portaroy.

- Tak.

- Piękna melodia - rzekła. - Może później zaśpiewam ją dla ciebie.

- Nie - zaproponował Dilvish. - To nie jest moja ulubiona pieśń.

Po czym przyciągnął jej twarz do swojej i dotknął jej warg.

- Ogień dogasa.

- Tak - przytaknął.

- Komnata oziębi się.

- Zdejmij zatem swe zielone buty, bo choć miłe są dla oka, niewygodne będą w łóżku.

Dilvish ściągnął buty, wstał i wziął ją w ramiona.

- Skąd masz te blizny na policzku?

- Mój nieprzyjaciel ciął mnie w twarz.

- Wygląda na to, że miał pazury.

- Tak było.

- Zwierzę?

- Nie.

- Ucałuję je zatem - rzekła - by złagodzić ból.

Zatopiła usta w jego policzku. A on przycisnął ją do siebie. Kobieta westchnęła.

- Jesteś taki silny... - szepnęła. Ogień dogasał, a po chwili zniknął zupełnie.

Nie wiedział, jak długo spał.

Usłyszał trzask pękającego drewna i krzyk dobiegający z nocy.

Potrząsnął głową i spojrzał w jej otwarte oczy.

Na szyi poczuł dziwne ciepło. Dotknął jej wyczuwając coś mokrego. Raz jeszcze potrząsnął głową.

- Proszę, nie gniewaj się - powiedziała. - Pamiętaj, że ugościłam cię, że dałam ci rozkosz...

- Wampir - wymamrotał.

- Nie chciałam pozbawić cię życia, Dilvishu. Pragnęłam jedynie napić się, tylko mały łyk.

Usłyszał łomot za drzwiami, jak gdyby ktoś próbował je staranować.

Uniósł się powoli trzymając głowę w dłoniach.

- Niezły łyk - odezwał się. - Chyba ktoś jest za drzwiami...

- To mój mąż - odparła. - Lord Morin.

- Naprawdę? Chyba nie byliśmy sobie przedstawieni...

- Myślałam, że będzie spał tej nocy, tak jak przez wiele poprzednich. Tydzień temu spożył okazały posiłek, który go nasycił. Ale on jest niczym zgłodniały tygrys - to twoja krew go przyciągnęła.

- Merytho, wydaje mi się, iż jestem w nieco niezręcznej sytuacji - zauważył Dilvish. - Jak mogę być gościem lorda-wampira, któremu przyprawilem rogi? Nie mam pojęcia, co się mówi przy takich okazjach.

- Niczego nie mów - odpowiedziała. - Ja go nienawidzę. To dzięki niemu jestem tym, kim jestem. Żałuję, że się obudził. Teraz ma zamiar cię zabić.

Dilvish przetarł oczy i sięgnął po buty.

- Co uczynisz, Dilvishu?

- Przepraszę i zacznę się bronić.

Trzy kolejne uderzenia prawie wyrwały drzwi z zawiasów.

- Wpuść mnie, Marytho! - zagrział niski głos.

- Chcę, abyś go zabił i został ze mną.

- Wampir - wyrzucił z siebie Dilvish.

- Pragnę, byś został mym panem - mówiła. - Będę dla ciebie dobra. Wybacz mi, że się

obudził... Nie chcę, byś zginął. O, zabij go dla mnie! Zostań tu i kochaj mnie! Mógłbyś go zabić, gdyby się nie obudził... Nie jestem taka, jak te opisywane w baśniach, które żadne są jedynie twej krwi. Twoja krew jest tak dobra, tak dobra! I ciepła! Jej smak... Och, zabij go! I kochaj mnie!

Drzwi rozpadły się i w ciemności Dilvish dostrzegł stojącą w rogu sylwetkę.

Znad prostokątnej brody jaśniała para żółtych oczu, reszta twarzy pogrążona była w ciemności. Morin był wzrostu Dilvisha i niezwykle szeroki w barach. W prawej dłoni trzymał krótki topór.

Dilvish rzucił w niego karafką po winie, a następnie cisnął w niego krzesłem.

Karafka przeleciała obok, a topór pogruchotał krzesło na kawałki.

Dilvish wyciągnął miecz Selara i stanął, gotów do obrony.

Morin rzucił się na niego i wrzasnął, gdy czubek niewidzialnego ostrza przeszył mu ramię.

- To jakieś czary - wykrzyknął, przekładając topór do lewej dłoni.

- Wybacz, zacny panie - odrzekł Dilvish - że nadużyłem gościnności twego domu. Nie wiedziałem, że dama ta jest już komuś poślubiona.

Morin burknął coś i zamachnął się toporem. Dilvish odskoczył i zadał mu cięcie w lewe ramię.

- Nie dostaniesz mnie - oświadczył - ale mimo to, raz jeszcze przepraszam.

- Głupiec! - wrzasnął Morin.

Dilvish odpowiedział na kolejny cios toporem. Ze wschodu nadciągał świt. Merytha łkała cicho.

Morin runął na niego, wykręcając mu ramię. Dilvish chwycił go za przegub i rozpoczęli zapasy.

Morin upuścił topór i uderzył Dilvisha w twarz. Ten upadł do tyłu, uderzając głową o mur.

Przy następnym ataku Dilvish uniósł ostrze miecza.

Morin wydał z siebie przeraźliwy wrzask i padł, ściskając kurczowo brzuch.

Dilvish wyszarpnął ostrze i spojrzał na leżącego, z trudem chwytając powietrze.

- Nie wiesz, co zrobiłeś - stęknął Morin.

Merytha rzuciła się ku miejscu, w którym leżał, ale on odepchnął ją od siebie.

- Trzymaj ją z dala ode mnie! - poprosił. - Nie pozwól, by piła moją krew!

- Gdy ją poślubiłem, nie miałem pojęcia, kim jest - ciągnął Morin - a gdy poznałem prawdę, nie mogłem przestać jej kochać. Nie potrafiłem zrobić jej krzywdy. Służba odeszła ode mnie, zamek niszczał, a ja nie mogłem uczynić tego, com uczynić powinien. Wybaczam ci, Elfie,

bo to ona cię zwiódła. Mnie uśpiła narkotykiem... Wyglądasz na silnego mężczyznę, udowodniłeś to... Wierzę, że jesteś wystarczająco silny, by to uczynić.

Dilvish odwrócił od niego głowę i spojrzał na Merythę, która stała oparta o słupek baldachimu.

- Oszukałaś mnie - rzekł. - Wampir!

- Dokonałeś tego - odpowiedziała. - Zabiłeś go! Mój strażnik nie żyje!

- Nie żyje.

- Czy teraz zostaniesz ze mną?

- Nie - powiedział Dilvish.

- Musisz - stwierdziła. - Pragnę cię.

- Z pewnością - odparł Dilvish.

- Nie, to nie tak. Nie chcę, byś został mym władcą. Przez całe życie pragnęłam kogoś tak silnego jak ty, z tak niezwykłymi oczyma - rzekła - ale z krwi i kości. Czyż nie byłam dla ciebie dobra?

- Przez ciebie zabiłem tego człowieka. Żałuję tego.

Zasłoniła oczy.

- Błagam, zostań! - łkała. - Jeśli tego nie uczynisz, życie moje wypełni pustka... Wkrótce będę musiała odejść do mrocznego, cichego miejsca. Proszę!

Jej oddech stawał się coraz cięższy.

Dilvish wolno pokręcił głową.

Komnata stawała się coraz jaśniejsza.

Ukryte za dłońmi blade oczy otwarły się szeroko.

- Nie chcesz mnie skrzywdzić, prawda? - spytała.

Raz jeszcze potrząsnął głową.

- Dość krzywd wyrządziłem tej nocy. Muszę odejść, Merytho. Wyleczyć cię można tylko w jeden sposób, ale ja nie potrafię podać ci tego lekarstwa. Żegnaj!

- Nie odchodź - powiedziała. - Będę dla ciebie śpiewać. Będę przygotowywać dla ciebie wspaniałe posiłki. Będę cię kochać. Chcę tylko poczuć smak od czasu do czasu, gdy...

- Wampir! - zabrzmiała jego odpowiedź. Usłyszał, jak podąża za nim po schodach. Wstawał szary dzień, kiedy wyszedł na dziedziniec i położył dłoń na szyi Blacka.

Gdy dosiadał konia, dotarł do niego jej przerywany oddech.

- Nie odchodź błagała. - Kocham cię. Kiedy ruszał ku otwartej bramie, wstawało słońce.

Usłyszał za sobą jej przeraźliwy wrzask.

Nie obejrzał się za siebie.

KRÓLESTWO AACHE

Któregoś dnia, przemierzając Krainy Północy, Dilvish Przeklęty znalazł się na krętej drodze wiodącej przez sosnową dolinę. Jego wielki, czarny rumak wydawał się być nieustrudzony, ale nadszedł czas, kiedy Dilvish zatrzymał się i przystąpił do przygotowywania stawy. Bezszelestnie poruszał się w swych zielonych butach po sosnowych igłach. Rozłożył na ziemi płaszcz i umieścił na nim swe jadlo.

- Ktoś nadjeżdża - rzekł Black.

- Dzięki - poluzował miecz i dalej jadł już na stojąco.

Po chwili ukazał się potężny, brodaty mężczyzna na dereszach. Wziął zakręt i zwolnił.

- Witaj, wędrowcze! - pozdrowił. - Czy mogę się do ciebie przyłączyć?

- Oczywiście.

Mężczyzna stanął i zsiadł z konia. Podszedł do Dilvisha z uśmiechem.

- Nazywam się Rogis - rzekł. - A ty?

- Dilvish.

- Z daleka przybywasz?

- Tak, z południowego-wschodu.

- Czy także udajesz się z pielgrzymką do świątyni?

- Jakiej świątyni?

- Świątyni bogini Aache, tam pośród wzgórz. - Wskazał ręką na szlak.

- Nie, nie miałem nawet pojęcia, że ona istnieje. Z czego słynie?

- Bogini może rozgrzeszyć człowieka z morderstwa.

- Och? I dlatego się tam udajesz?

- Tak. Czyniłem to wiele razy.

- Z daleka przybywasz?

- Nie. Mieszkam tam przy drodze. Życie jest przez to łatwiejsze.

- Myślę, że zaczynam rozumieć.

- Doskonale. Zatem bądź tak uprzejmy i podaj mi swą sakiewkę, a zaoszczędzisz bogini

pracy przy dodatkowym rozgrzeszeniu.

- Podejź i weź ją sam - powiedział Dilvish z uśmiechem.

Oczy Rogisa zwały się.

- Niewielu śmiało tak do mnie mówić.

- A ja może jestem tym ostatnim.

- Hm, jestem od ciebie potężniejszy.

- Nietrudno to zauważyć.

- Wszystko utrudniasz. Czy zechciałbyś choć pokazać mi, czy wiesz wystarczającą ilość monet, aby nasze wysiłki były czegoś warte?

- Myślę, że nie.

- Mam inny pomysł. Podzielmy pieniądze, a obędzie się bez rozlewu krwi.

- Nic z tego.

Rogis westchnął.

- Sytuacja stała się niezręczna. Ale popatrzmy. Jesteś łucznikiem? Nie. Nie widzę łuku. Nie nosisz też włóczni. Wydaje się, że mógłbym odjechać cały i zdrowy.

- Aby potem przygotować na mnie zasadzkę? Obawiam się, że nie mogę na to pozwolić. Jest to sprawa przyszłej samoobrony.

- Szkoda - rzekł Rogis - ale i tak wykorzystam swą szansę.

Podszedł do swego rumaka, potem zakręcił się w kółko, trzymając w dłoniach miecz. Ale i Dilvish stał już z wyciągniętą bronią. Wyprowadził cięcie i odparował cios. Rogis zaklął, ciął w odpowiedzi, a następnie wziął zasłonę. Przeprowadzili sześć takich wypadów, aż ostrze Dilvisha ugodziło go w brzuch.

Twarz Rogisa przepełniona była zdumieniem, upuścił swój miecz i kurczowo chwycił się Dilvisha.

Dilvish wyszarpnął ostrze z jego ciała i patrzył, jak pada na ziemię.

- Pechowy dzień dla nas obu - wymamrotał Rogis.

- Dla ciebie bardziej.

- Nie ujdzie ci to na sucho. Bogini darzy mnie swymi względami...

- Ma zatem wyjątkowy gust, jeśli chodzi o ulubieńców.

- Służyłem jej... Zobaczysz... - zamknął oczy i skonał w jękach.

- Black, czy kiedykolwiek słyszałeś o tej bogini?

- Nigdy - odpowiedział stalowy posąg konia - ale w tej krainie istnieje wiele rzeczy, o których nie słyszałem.

- Ruszajmy zatem z tego miejsca.

- A co z Rogisem?

- Pozostawimy go na rozstajach dróg na znak, że świat stał się bezpieczniejszy. Rozwiążę pęta koniowi i niech sam znajdzie drogę do domu.

Tamtej nocy, wiele mil dalej na północ, Dilvish spał niespokojnie. Śniło mu się, że duch Rogisa przybył do jego obozowiska, klęknął przy nim i z uśmiechem położył mu dłonie na szyi. Zerwał się krztusząc, a obok nikło jakieś upiorne światełko.

- Black! Black! Zauważyłeś coś?

Cisza. Po chwili nieruchomy posąg przemówił:

- Byłem daleko stąd. Ale widzę ślady na twojej szyi. Co się stało?

- Miałem sen, że Rogis jest tutaj, że próbował mnie udusić. - Zakasłał i splunął.

- To było coś więcej niż zwykły sen - stwierdził.

- Wkrótce opuścimy tę krainę.

- Im szybciej, tym lepiej.

Za moment znów zapadł w sen. W pewnej chwili Rogis pojawił się raz jeszcze. Tym razem atak był nieoczekiwany i bardziej gwałtowny. Dilvish obudził się wymachując rękami, ale jego uderzenia trafiały w puste powietrze. Był teraz pewien, że widzi światło, a w nim upiorną postać Rogisa.

- Black, obudź się - powiedział. - Musimy zawrócić z drogi, dotrzeć do świątyni i uspokoić tego ducha. Kiedyś trzeba się przecież wyspać.

- Jestem gotowy. Będziemy tam o brzasku. Dilvish zwinął obozowisko i wsiadł na konia.

Świątynia była niskim, rozległym, drewnianym budynkiem, opartym o rdzawą skałę na szczycie wzgórza. Poranne słońce rzucało swe promienie na jej fasadę, w której kryły się prymitywnie rzeźbione, podwójne drzwi z ciemnego drzewa. Dilvish zeskoczył z konia i spróbował je otworzyć. Okazały się zaryglowane, zaczął więc w nie walić.

Po długim oczekiwaniu otworzyło się lewe skrzydło drzwi i wyjrzał z nich mały człowieczek o bladych, blisko osadzonych oczach. Miał na sobie prostą, brązową tunikę.

- Kim jesteś, aby niepokoić nas o tej godzinie? - zapytał.

- Tym, kogo krzywdzi ktoś szczycący się specjalnymi względami twojej bogini. Pragnę

uwolnić się od jego klątwy czy też zaklęcia.

- To ty. Wcześniej przybywasz. Wejdz.

Otworzył szeroko drzwi i Dilvish wszedł do środka. Proste umeblowanie pomieszczenia składało się z kilku ławek i małego ołtarza. Były tam jeszcze tylne drzwi. Pod jedną ze ścian z wąskim oknem widniało pozostawione w nieładzie puste posłanie.

- Nazywam się Task. Usiądź - mężczyzna wskazał na ławki.

- Postoję.

Człowieczek wzruszył ramionami.

- W porządku.

Podszedł do posłania i zaczął składać koce.

- Chcesz, aby zdjęto z ciebie klątwę, by duch Rogisa przestał cię nachodzić?

- A więc już wiesz!

- Oczywiście, Bogini nie lubi, gdy zabija się jej sługi.

Dilvish zauważył, jak zwinnym ruchem Task schował w zwiniętym posłaniu butelkę rzadkiego wina południowego. Dostrzegł też, że ilekroć mężczyzna chował dłonie w tunikę, zniknął z jego palców kolejny drogocenny pierścień.

- Ofiary takich sług również nie lubią, gdy próbuje się je mordować.

- Pstt! Przybyłeś tu, by bluźnić czy po rozgrzeszenie?

- Przybyłem tu, by zdjęto ze mnie tę diabelską klątwę.

- Wpierw jednak musisz złożyć ofiarę.

- Z czego musi się składać?

- Przede wszystkim, ze wszystkich twych pieniędzy, a także szlachetnych kamieni i metali, które nosisz przy sobie.

- Bogini jest takim samym rozbójnikiem jak jej słudzy!

Task uśmiechnął się.

- Wszystkie religie mają jakiś świecki aspekt. W tej wyludnionej okolicy bogini nie ma wielu wyznawców, a datki wiernych nie zawsze wystarczają na pokrycie bieżących kosztów.

- Powiedziałeś "przede wszystkim" - przede wszystkim chcesz moich kosztowności. Co jeszcze?

- Jedynym uczciwym rozwiązaniem jest, abyś własnym życiem zastąpił życie tego, którego zabiłeś. Wystarczy twoja roczna służba.

- Czego miałyby dotyczyć?
- Wzorem Rogisa, pobierałbyś haracz od podróżnych.
- Nie zgadzam się - zaprotestował Dilvish. - Proś o coś innego.
- Nic innego nie pomoże. Taka ma być twa pokuta.

Dilvish obrócił się na pięcie. Przeszedł kilka kroków. Staął.

- Co jest za tymi drzwiami? - zapytał zniechęcony, wskazując na tylną ścianę pomieszczenia.
- To święty teren, zastrzeżony dla wybrańców... Dilvish ruszył ku drzwiom.
- Nie możesz tam wejść! Pchnął drzwi i otworzył je.
- ...zwłaszcza z mieczem!!!

Wszedł do środka. Wewnątrz paliły się małe lampki oliwne. Podłoga pokryta była słomą, przestrzeń wypełniała wilgoć, a w powietrzu unosił się dziwny odór, którego nie mógł rozpoznać. Poza tym pokój był pusty. Potężne, ciężkie drzwi były jednak uchylone, a zza nich dotarł do niego odgłos cichnącego drapania.

Kiedy ruszył ku drzwiom, Task stał u jego boku. Chwycił go mocno za ramię, ale nie mógł utrzymać. Dilvish otworzył pchnięciem drzwi i zajrzał do środka.

Nic. Ciemność i poczucie przestrzeni. Skały po obu stronach. Jaskinia.

- To nasze piwnice.

Dilvish wziął lampkę oliwną i wszedł do wewnątrz. Zapach nasilał się, powietrze stawało się coraz bardziej wilgotne. Task szedł za nim.

- Tu jest niebezpiecznie. Pełno szczelin i przepaści. Mógłbyś się poślizgnąć...
- Zamilcz! Albo wrzucę cię do pierwszej, jaką zobaczę!

Task cofnął się o kilka kroków.

Dilvish posuwał się ostrożnie, wysoko trzymając lampkę. Okrążając skalisty występ spostrzegł niezliczone mnóstwo błysków. Był to staw, przed chwilą wzburzony.

- To pochodzi stąd - odezwał się - bez względu na to, co to jest. - Podeszedł do stawu.
- Zaczekam tu. Mam przeczucie, że wcześniej czy później wynurzy się. Co to takiego?
- Bogini... - powiedział cicho Task. - Naprawdę powinieneś odejść. Właśnie otrzymałem wiadomość. Twój roczny wyrok został darowany. Zostaw tylko pieniądze.

Dilvish parsknął śmiechem.

- Czy boginie mogą się targować? - spytał.

- Czasami - usłyszał w myślach głos. - Zostaw pieniądze.

Jego ciało przeszył dreszcz.

- Dlaczego się ukrywasz? - rzekł.

- Niewielu śmiertelników może spoglądać na mą rasę.

- Nie lubię szantażu; ani ze strony ludzi, ani ze strony sił nadprzyrodzonych. A gdybym tak zepchnął ten głaz do twego stawu?

Nagle woda wzburzyła się. Wyłoniła się z niej twarz kobiety i przesłała mu pozdrowienie. Miała wielkie, zielone oczy i niezwykle bladą skórę. Kędziory czarnych włosów pokrywały jej głowę niczym hełm. Miała szpiczasty podbródek, gdy mówiła, coś nienaturalnego działo się z jej językiem.

- Dobrze, zatem spójrz na mnie. Zamierzam pokazać ci coś więcej.

Wynurzała się dalej - szyja, ramiona, piersi, wszystko blade - aż niespodziewanie cały ludzki wygląd zginął, gdyż poniżej jej talii kołysało się więcej długich, cienkich odnóży niż Dilvish mógł naliczyć.

Krzyknął i chwycił miecz. Ledwie utrzymał w dłoniach lampę.

- Nie zamierzam cię skrzywdzić - dobiegł go jej lekko sepleniący głos. - Pamiętaj, że to ty prosiłeś o audiencję.

- Aache, kim jesteś? - zapytał.

- Moja rasa jest stara. Ale pozostanmy przy tej zapłacie. Miałam przez ciebie wiele kłopotów.

- Twój człowiek zamierzał mnie zabić.

- Wiem. Z pewnością wybrał niewłaściwą ofiarę. Szkoda. Będę musiała znosić głód.

Dilvish ścisnął miecz.

- Co przez to rozumiesz?

- Żywię się miodem.

- Miodem?

- Słodką cieczą wytwarzaną przez latające owady na dalekim południu.

- Wiem, co to takiego, ale nadal nie rozumiem.

- To warunek mojej diety. Muszę go mieć. Tu, na dalekiej północy, nie ma kwiatów, pszczół. Muszę go sprowadzać. A sprowadzanie go z takiej odległości jest kosztowne.

- I to dlatego napadasz na podróżnych?

- Potrzebuję pieniędzy, by go kupić. Robią to dla mnie moi słudzy.

- Dlaczego służą ci w taki sposób?

- Być może z poświęcenia. Ale będę szczerą - niektórych ludzi jestem w stanie kontrolować na odległość.

- Tak jak nasłaniał na mnie tego upiora?

- Nie potrafię kontrolować cię bezpośrednio tak jak Rogisa. Ale mogę zakłócić twój sen.

Dilvish potrząsnął głową.

- Czuję, że im dalej będę od tego miejsca, tym mniejszy będziesz mieć na mnie wpływ.

- Nie mylisz się. Ruszaj zatem. Nigdy nie byłbyś dobrym sługą. Zatrzymaj pieniądze. Zostaw mnie.

- Zaczekaj. Czy masz wielu służących?

- To nie twoja sprawa.

- Nie, ale o czymś pomyślałem. W tej dolinie znajdują się złoża bogactw mineralnych, wiesz o tym?

- Nie wiem i nie rozumiem, o czym mówisz.

- Wiele lat temu brałem udział w kilku akcjach wydobywczych. Kiedy wczoraj przejeżdżałem przez twą dolinę, zauważyłem ślady złóż mineralnych. Jestem przekonany, że są wystarczająco bogate w ciemny metal, za który dobrze zapłacą kupcy z południa. Jeżeli masz wystarczającą ilość ludzi, by zacząć wydobywanie i wytapianie, zarobisz więcej niż na rabowaniu podróźnych.

- Naprawdę tak uważasz?

- Jeśli wypożyczysz mi kilku ludzi, łatwo będzie je odkryć.

- Dlaczego robisz to dla mnie?

- Być może po to, by uczynić ten skrawek świata bezpieczniejszym.

- Dziwny powód. Wracaj do świątyni. Wezwę teraz służących i skieruję ich do ciebie. Zobacz, czy to się da zrobić. Wróc potem do mnie. Sam.

- Wrócę, Aache.

Zniknęła nagle, a staw rozbłysnął ponownie. Dilvish odwrócił się i napotkał wytrzeszczone oczy Taska. Pomaszerował obok niego w milczeniu.

Przez kilka następnych dni wydobywano rudę, powstał piec hutniczy i cała akcja rozpoczęła się na dobre.

Dilvish uśmiechał się na widok ciemnego metalu przetapianego na sztabki. Na tę wieść

uśmiechnęła się też Aache.

- Czy tego jest tam dużo? - spytała.

- Cała góra. Do przyszłego tygodnia będziemy mieć tego pełen wóz. Potem ruszymy pełną parą.

Klęknął przy stawie. Jej palce wynurzyły się i delikatnie dotknęły jego dłoni. Nie cofnął jej, więc sięgnęła wyżej i pogłaskała go w policzek.

- Jaka szkoda, że nie jesteś z mojej rasy - rzekła i po chwili już jej nie było.

Kiedyś, dawno temu, w krainie tej panowały upały; rosły tu kwiaty i żyły pszczoły - powiedział Black. - Aache musi być bardzo stara.

- Nie sposób tego stwierdzić - odrzekł Dilvish, kiedy przemierzali szczyt wzgórza i spojrzął w dolinę, skąd unosił się dym. - Ale jeśli miód wystarcza, by uczynić z niej uczciwą istotę, warto opóźnić nieco naszą podróż.

- Chce, abys w przyszłym tygodniu zabrał ładunek na południe?

- Tak.

- A potem?

- Jej słudzy sami zajmą się wszystkim.

- Jako niewolnicy?

- Nie, stać ją będzie na opłacenie ich, gdy zaczną napływać pieniądze.

- Ach tak. Jeszcze jedno...

- Co takiego?

- Nie ufaj temu kapłanowi.

- Nie ufam. Ma kosztowne upodobania. Jestem przekonany, iż przywłaszcza sobie część... zysku.

- Tego nie wiem. Ale wygląda na kogoś, kto boi się, że zostanie zastąpiony.

- Rozwieję jego obawy w tej sprawie, kiedy będę wyjeżdżał.

Poranek w dzień wyjazdu był pogodny, a kiedy zjeżdżali w dół spadło trochę mokrego śniegu. Poprzedniego wieczora ludzie, którzy ładowali wóz, śpiewali. Teraz stali dokoła uśmiechając się od ucha do ucha, klepiąc go po plecach i ramionach. Załadowali mu prowiant na drogę i popatrzyli, jak odjeżdża skrzypiąc.

- Nie lubię być zwierzęciem pociągowym - odezwał się Black, gdy tylko znaleźli się poza obozem.

- Pewnego dnia ci to wynagrodzę.

- Wątpię, ale zapamiętam.

Nie zaczęli ich żadni rozbójnicy, gdyż lasy te zostały z nich oczyszczone. Podróż stała się ciekawsza, kiedy wyłonili się z łańcucha dolin, a do wieczora przebyli kilka mil. Dilvish posilił się w siodle, a Black posuwał się miarowym krokiem.

Przed wieczorem posłyszeli głos jeźdźca nadjeżdżającego z tyłu. Stanęli, gdy rozpoznali Taska pędzącego na rumaku Rogisa. Koń pieniał się i ciężko dyszał. Zatoczył się na nogach, kiedy Task ściągnął cugle przy wozie.

- Co się stało? - zapytał Dilvish.

- Przepadła. Nie żyje. Z świątyni zostały jedynie popioły - odpowiedział.

- Mów do rzeczy!

- Świątynia spłonęła doszczętnie. Jedna z lamp... słoma...

- A co z Aache?

- Znalazła się w pułapce, w tylnej komnacie... nie mogłem otworzyć drzwi...

- Nie żyje?

- Nie żyje.

- Dlaczego pędziłeś za mną?

- Musiałem dogonić cię, by omówić mój udział w zyskach.

- Rozumiem.

Dilvish dostrzegł, że miał na palcach wszystkie swe pierścienie.

- Najlepiej rozłóżmy tu obozowisko. Twój koń nie jest w stanie jechać dalej.

- Świetnie. Na tym polu?

- Może być.

Tej nocy Dilvish śnił przedziwny sen, w którym trzymał mocno w ramionach kobietę, pieszcząc ją niemal brutalnie, bojąc się spojrzeć w dół. Obudził go krzyk przerażenia.

Podnosząc się zauważył upiorną lunę unoszącą się nad ciałem Taska. Gasła już, ale nigdy nie zapomniał jej kształtów.

- Aache...?

- Śpij, mój jedyny przyjacielu, mój drogi przyjacielu - dotarły do niego słowa - przybyłam tylko po to, co moje. Nie jest tak słodkie jak miód, ale musi starczyć...

Przykrył szczątki kapłana odwracając od niego wzrok. Następnego ranka ruszył w drogę. Cały dzień przejechał w milczeniu.

PODZIELONE MIASTO

Wiosna wolno przedzierała się przez Krainę Północy; posuwając się naprzód, to znów się cofając, zapewniała sobie każdego dnia coraz to inną zdobycz. Pod najwyższymi szczytami nadal leżał głęboki śnieg, ale w ciągu dnia topniał u podnóży, nawadniając okoliczne pola. Strumienie puchły i nabierały rozpędu. W dolinach pojawiła się pierwsza zieleń, a podczas bezchmurnego dnia, takiego jak ten, słońce osuszało szlaki. Do południa powietrze było już nagrzane, napętniając wszystko otuchą.

Podróżny na dziwnym ciemnym koniu, wracający z oswobodzonego Portaroy, stanął na skalistym wzgórzu i wskazał dłonią w stronę północy.

- Black - odezwał się - to wzgórze... jakieś pół mili stąd. Czyś zauważył coś niezwykłego na jego szczycie?

Ogier odwrócił stalowy łeb i utkwiał w nim wzrok.

- Nie. I teraz niczego nie widzę. Jak to wyglądało?

- Jak zarys jakichś budowli. Ale już zniknęły.

- Może to słońce zamigotało na lodzie.

- Być może.

Ruszyli naprzód, schodząc ze zbocza. Kilka minut później, na kolejnym wzgórzu, które zdobyli, stanęli, by ponownie spojrzeć w tamtym kierunku.

- Tam! - wykrzyknął jeździec z rzadkim dla siebie uśmiechem.

Black potrząsnął łbem.

- Widzę. To wygląda na mury jakiegoś grodu...

- Może dostaniemy tam świeży posiłek... i kąpiel. I prawdziwe łóżko. Spieszmy się więc!

- Czy mógłbyś spojrzeć na mapę? Jestem ciekaw, jak nazywa się to miejsce.

- Zaraz się tego dowiemy. Ruszaj!

- Ustąp mi, w imię starej przyjaźni.

Jeździec zatrzymał się i zanurzył rękę w swej sakwie podróżnej. Pogrzebał w niej przez moment, a następnie wyciągnął mały zwój, który wyjął z futerału, rozwinął i rozłożył przed sobą.

- Hmm - odezwał się po chwili. Po czym zwinął mapę i wsadził ją do futerału.

- I co? Jak nazywa się to miejsce?

- Nie wiem. Nie widnieje na mapie.

- Aha!

- Wiesz przecież, że nie będzie to pierwszy błąd, jaki znaleźliśmy na tej mapie. Jej twórca albo zapomniał o tym miejscu, albo go nie znał. A może miasto powstało niedawno...

- Divilshu...?

- Tak?

- Czy często udzielam ci rad?

- Dostyc często.

- Czy często się mylę?

- Mógłbym znaleźć parę przykładów.

- Nie mam ochoty spędzać nocy w miejscu, które istnieje przez chwilę, a potem znika.

- Bzdura! To tylko załamanie światła albo jakaś inna sztuczka przestrzenna.

- Jestem podejrzliwy...

- ...z natury. Wiem o tym. Ale doskwiera mi głód. Świeża ryba z jednego z tych strumieni, upieczona z ziołami...

Black prychnął lekką wstęgą pary i ruszył.

- Twój żołądek stanowi nagle problem.

- Tam mogą być też kobiety.

- Hmph!

Szlak wiodący pod górę do wrót miasta nie był szeroki, a brama stała otworem. Dilvish zatrzymał się tuż przed nią, ale nic się nie wydarzyło. Uważnie przyjrzał się wieżom i murom, lecz nie ujrzał żywego ducha. Wyteżył słuch. Dotarł do niego jedynie szum wiatru i śpiew ptaków.

- Naprzód - rozkazał, a Black przeniósł go przez bramę.

Ulice wiodły na prawo i lewo, skręcając za rogami murów. Droga, na której stał, prowadziła prosto kończąc się przy jakichś domostwach, które wychodzić mogły na mały rynek. Wszystkie ulice były brukowane i starannie utrzymane. Domy wybudowano z kamienia i cegły - stały pod kątem prostym, gładkie. Kiedy tak podążali tą ulicą, Dilvish zauważył, że w rynsztoku nie płyną żadne nieczystości.

- Spokojne miejsce - stwierdził Black.

- Zgadza się.

Po stu krokach Dilvish ściągnął cugle i zeskoczył z konia. Wszedł do sklepu po lewej

stronie. Chwilę później pojawił się na zewnątrz.

- Co to takiego?

- Nic. Pusty. Bez towarów. Bez kawałka mebla. Przeszedł przez ulicę i wkroczył do drugiego budynku. Opuścił go kręcąc głową.

- To samo - rzekł dosiadając rumaka.

- Jedziemy? Wiesz, co o tym myślę.

- Wpierw rzućmy okiem na rynek. Jak dotąd nie widać tu śladów przemocy. Może obchodzą tutaj jakieś święto.

Kopyta Blacka zaklekotały na bruku.

- Pewnie święto umarłych.

Ruszyli dalej zaglądając po drodze w boczne uliczki, krużganki i dziedzińce. Nie zauważyli żadnego ruchu ani śladu człowieka. W końcu wjechali na rynek. Po obu stronach stały puste kramy, pośrodku - mała, nieczynna fontanna, a w jednym rogu - ogromny pomnik dwóch ryb. Dilvish przystanął i zwrócił uwagę na pradawny symbol. Górna ryba obrócona była w lewą stronę, ryba na dole kierowała się na prawo. Przeszedł go dreszcz.

- Miałeś rację - wydusił z siebie. - Rusz...

W powietrzu rozległ się pojedynczy huk dzwonu kołyszącego się w wysokiej wieży po lewej stronie.

- To dziwne...

Zza pomnika wyszedł młodzieniec - miał jasne włosy, różowe policzki. Odziany był w pogniecioną, białą koszulę i zielone pończochy. U boku nosił krótki miecz, napięcie pończoch przykryte było bogato zdobionym kawałkiem materiału. Uśmiechał się wspierając jedną rękę na boku.

- Dziwne? - odezwał się. - Tak. Ale jeszcze dziwniejszy widok ujrzysz niebawem, wędrowcze. Patrz!

Zrobił zamaszty gest, kiedy dzwon zabił znowu.

Dilvish odwrócił głowę i wstrzymał oddech. Cicho, niczym koty, budynki zaczęły krążyć wokół rynku. Kręciły się to w przód, to w tył. Przystawiały się, zmieniając położenie, jak gdyby w jakimś absurdalnym, gigantycznym tańcu. Dilvish wodził za nimi wzrokiem, a dzwon bił bez przerwy.

W końcu zapytał młodzieńca:

- Co to za czary?

- Po prostu czary - nadeszła odpowiedź. - Prawdziwa magia, która przekształciła to miasto w labirynt wokół ciebie.

Przy kolejnym uderzeniu dzwonu Dilvish potrząsnął głową.

- Ten pokaz wywarł na mnie duże wrażenie - wydobył z siebie. - Ale jaki jest tego cel?

- Możesz nazwać to grą - odrzekł młodzieniec. - Labirynt będzie gotów, jak tylko dzwon zakończy swój śpiew, jeszcze kilka uderzeń. Potem będziesz miał godzinę, dopóki nie zabrzmie ponownie. Jeśli nie uda ci się znaleźć w tym czasie wyjścia z miasta, poruszające się budynki zetrą cię w popiół.

- Ale po co ta gra? - zapytał Dilvish, a po kolejnym uderzeniu usłyszał odpowiedź.

- Tego się nigdy nie dowiesz, Elfie, bez względu na to, czy wygrasz, czy też przegrasz. Jesteś jedynie częścią gry. Jednak obowiązkiem moim jest ostrzec cię, iż niezależnie od wybranej drogi, możesz być zaatakowany.

Przy dźwiękach dzwonu budynki kontynuowały swój taniec.

- Nie obchodzi mnie ta gra - stwierdził Dilvish sięgając po ostrze. - Mam zamiar zabawić się w coś innego. Właśnie wybrałem cię na przewodnika, który mnie stąd wyprowadzi. Odmów tylko, a pożegnasz się z własną głową.

Młodzieniec wyszczerzył zęby i podnosząc lewą dłoń chwycił w nią pukiel włosów. Prawą wyciągnął miecz. Błyszcząca jak pochodnia broń przeszła szybkim, silnym ruchem przez środek jego szyi.

Uniósł w górę lewą rękę trzymając w niej odrąbaną głowę - wciąż z uśmiechem. Dzwon zaśpiewał znowu. Usta poruszyły się.

- Czy myślałeś, że masz do czynienia ze śmiertelnikami, przybyszu?

Dilvish przybrał srogą minę.

- Rozumiem - rzekł. - Doskonale. Do dzieła, Black!

- Z radością - odpowiedział Black, a w jego pysku zatańczyły ogniki, które wypełniły też jego oczy. Cofnął się wraz z kolejnym uderzeniem dzwonu.

Twarz na odrąbanej głowie wyrażała teraz nagłe zdziwienie. Powietrze wypełniło się elektrycznością. Kopyta Blacka waliły na oślep, przecinając powietrze w niekońskim ruchu. Kiedy młodzieniec parł do przodu, Black nacierał na niego w takt silnego grzmotu, który zagłuszył kolejne uderzenie dzwonu. Leżąca istota wydała z siebie przeraźliwy wrzask, a potem rozplynęła się w powodzi ognia. Dzwon uderzył jeszcze dwa razy, zanim Black odzyskał równowagę. Stali teraz obaj, patrząc na zwęglony bruk. Po chwili nastąpiła cisza. Budynki stanęły w miejscu.

- Świetnie - odezwał się w końcu Dilvish. - Ostrzegałeś mnie. Dobra robota.

Black zrobił jeszcze jedno okrążenie. Przypatrywali się teraz nowemu ułożeniu ulic, które prowadziły od rynku.

- Jakieś szczególne życzenia? - zapytał Black.

- Spróbujmy tędy - odpowiedział Dilvish, wskazując na uliczkę po lewej stronie.

- Zgoda - rzekł Black. - A skoro o tym mowa, tę sztukę widziałem już w lepszym wykonaniu.

- Czyżby?

- Opowiem ci kiedyś o tym.

Podążyli wybrukowaną ulicą. Wokół panowała cisza.

Uliczka była wąska i krótka. Po obu stronach otaczały ich budynki. Nagły skręt w prawo, potem znowu w lewo.

- Psst! Tutaj! - odezwał się głos z lewej strony.

- Pierwsza pułapka - zamruczał Dilvish, odwracając głowę i sięgając po miecz.

Z otwartych drzwi obserwował ich niski, ciemnooki człowieczek; jego włosy, długie i siwe, upięte były w wysoki kok. Ręce trzymał na wysokości ramion, dłonie na zewnątrz, jakby na dowód, że są puste. Ubrany był w szary, zniszczony strój.

- Wszystko w porządku - szepnął piskliwie. - To nie sztuczka. Pragnę ci pomóc.

Dilvish nie opuścił miecza.

- Kim jesteś? - zapytał.

- Drugą stroną - zabrzmiała odpowiedź.

- Co to znaczy?

- To gra, bez względu na to, czy się podoba czy nie - odrzekł człowieczek. - Toczy się między dwoma graczami. Druga strona chce, abyś tu zginął. Moja strona zwycięży, jeśli ujdiesz z życiem. Druga strona odpowiedzialna jest za miasto. Moja rola polega na zniweczeniu jej planów.

- Skąd mogę wiedzieć, czy mówisz prawdę? Jak mam poznać, która strona jest która?

Mężczyzna spuścił wzrok na koszulę i zmarszczył brwi.

- Czy mogę opuścić jedną rękę?

- Śmiało.

Opuścił prawą rękę i rozsunał luźną koszulę na piersiach. Oczom Dilvisha ukazał się znak ryby płynącej w prawo. Mężczyzna dotknął jej palcem.

- Ten, kto posiada rybę płynącą w prawo - powiedział - pragnie, abyś bezpiecznie opuścił to miejsce. Teraz poddaj próbie moje słowa. Jeszcze dwa zakręty, a bądź przygotowany na atak z góry.

Po tych słowach mężczyzna oparł się o drzwi i otworzył je. Po chwili zamknął je za sobą, a Dilvish usłyszał odgłos opadającej kraty.

- Jedźmy - nakazał Blackowi.

Przy pierwszym zakręcie słyhać było jedynie stukot kopyt Blacka. Dilvish jechał z uniesionym ostrzem, a jego oczy bacznie obserwowały wszelkie otwory.

Drugi zakręt przechodził przez bramę. Zatrzymał się i dokładnie ją obejrzał. Potem ruszyli znów, tym razem wąską uliczką. Minęli okratowane drzwi prowadzące na mały dziedziniec. Dilvish spojrział w dół i w górę, ale niczego nie zauważył.

Wtem, gdzieś nad głową, usłyszał zgrzyt metalu o kamień. Uniósł wzrok i wrzasnął:

- W tył! W tył!

Jego rumak, nie odwracając się, zmienił kierunek, a poruszał się teraz bardzo szybko, gdyż z góry spadał wodospad wrzącej oliwy i uderzał o bruk. Dilvish kątem oka dostrzegł dwie postacie na dachu po prawej stronie.

Nagle rozległ się potężny łomot, który odbił się echem ze wszystkich stron. Patrząc za siebie, Dilvish zobaczył masywną kratę opadającą w bramie. Jezioro wrzącej oliwy powiększało się.

- Nie utrzymam równowagi - odezwał się Black.

- Drzwi, na prawo! Wyłam je!

Black obrócił się i z trzaskiem rozbił okratowane drzwi. Rozpadły się na kawałki. Weszli i znaleźli się na małym, posępnym dziedzińcu z miniaturową, wyschniętą fontanną. W drugim końcu widniały jeszcze jedne drewniane drzwi.

- Oszukiwałeś! - odezwał się głos z góry po lewej stronie.

- Czy ktoś cię ostrzegł? Dilvish spojrział w górę.

Tam, na maleńkim balkonie na trzecim piętrze stał człowiek wyglądem przypominający ich poprzedniego informatora. Tylko jego włosy związane były niebieską wstęgą, a na przedzie nosił znak ryby płynącej w lewo. W dłoniach trzymał kuszę, którą uniósł w górę, a potem westchnął.

Dilvish ześliznął się z Blacka i przykucnął. Dobiegł go odgłos uderzenia bełtu w metalową skórę Blacka.

- Przez drugie drzwi, zanim znowu napnie kuszę! Pobiegnę za tobą!

Black ruszył pędem. Nie zwolnił nawet, gdy wyważał drzwi. Dilvish skoczył za nim.

- Oszustwo! Oszustwo! - słyszał za sobą wołanie.

Uliczka rozwidlała się.

- W prawo - zdecydował Dilvish, siadając na konia.

Black pognał we wskazanym kierunku. Dotarli do rozstajów. Skręcili w lewo i popędzili drogą, która prowadziła lekko pod górę.

- Może warto zaryzykować wspinaczkę na szczyt jakiegoś wysokiego domu - stwierdził Dilvish. - Wtedy mógłbym zobaczyć drogę odwrotu.

- Nie ma takiej potrzeby - usłyszał znajomy głos z prawej strony. - Zaoszczędzę wam czasu i wysiłków. Właśnie znalazłeś jeden ze skrótów. Tam z tyłu. To nie jest daleko.

Dilvish spojrział w oczy mężczyzny z upiętymi wysoko włosami. Ryba na jego koszuli płynęła w prawą stronę. Stał w niskim okienku, tuż obok.

- Ale musisz się spieszyć. On już popędza swe siły w kierunku bramy. Jeżeli dotrze tam pierwszy, wszystko przepadło.

- Przecież mógł strzec jej od samego początku i poczekać tam na mnie.

- Tego mu nie wolno. Tam nie może zaczynać gry. Skręć w prawo, potem w lewo i dwa razy w prawo. Przejedziesz aleją, która wychodzi na szeroki dziedziniec. Brama będzie otwarta po lewej stronie. Spiesz się!

Dilvish skinął głową, a Black ruszył z kopyta kierując się na prawo za najbliższym rogiem.

- Wierzysz mi? - zapytał Black. Dilvish wzruszył ramionami.

- Muszę spróbować wykorzystać straszliwą szansę.

- Co masz na myśli?

- Użyć najsilniejszej magii, jaką znam.

- Jednej z Najstraszliwszych Formuł, którą poznałeś w Piekło na wypadek spotkania z wrogiem?

- Tak. To jedna z dwunastu, które mogą zrównać miasto z ziemią.

Black skręcił ostrożnie w lewo i pocwałował dalej.

- Czy myślisz, że okazałaby się skuteczna przeciwko magicznej budowli takiej jak ta?

- Nie można porównywać jej do ziemskiej magii, to surowa moc...

- Ale nic cię nie ostrzeże przed niebezpieczeństwem. Jeśli popełnisz błąd, nie będziesz miał drugiej szansy.

- Nie musisz mi tego przypominać.

Black stanął na następnym rogu, wyjrzał zza niego i popędził dalej.

- Jeśli mówił prawdę, to jesteśmy na miejscu - szepnął. - Miejmy nadzieję, że pokonaliśmy drugiego gracza. A następnym razem ufaj bardziej swym mapom!

- Zgoda. Oto zakręt. Teraz ostrożnie...

Wypadli zza kolejnego rogu. Przed nimi biegła długa aleja, a na jej końcu migotało światełko.

- Jak dotąd wygląda na to, że mówił prawdę - wyszeptał Black zwalniając, by stłumić stukot swych kopyt.

Gdy dotarli do końca alei, zatrzymał się i obaj zajrzeli na dziedziniec.

Człowiek, którego pozostawili wcześniej na balkonie, stał teraz na środku dziedzińca i uśmiechał się w ich kierunku. W prawej dłoni trzymał drzewce piki.

- Zmusiłeś mnie do wielkiego wysiłku - odezwał się. - Ale moja droga była krótsza, jak widzisz.

Spojrzał w prawą stronę.

- Oto brama.

Unióś drzewce i trzykrotnie uderzył w ziemię. Wtem wokół niego uniosły się kamienne płyty niczym drzwi zapadowe, a spod nich powstały jakieś postacie. Na dziedzińcu pojawiło się ze czterdziestu ludzi. Każdy z nich ścisnął drzewce. Każdy z nich podnosił lewą rękę, łapał się za włosy i podnosił swą głowę ponad ramionami. Wśród śmiechu zamieniali się głowami, a następnie, dzierżąc w dłoniach drzewce, ruszyli przez podwórze.

- Z powrotem! - wykrzyknął Dilvish. - Bo nigdy nam się nie uda!

Pomknęli aleją i skręcili w lewo. Za sobą słyszeli głosy pikinierów.

- Na to podwórze wychodziło kilka innych ulic - zauważył Dilvish. - Może pojedziemy dokoła.

- Kolejna ulica...

- Skręć w lewo! Skręcili.

- Jeszcze jedna.

- W prawo!

Droga wychodziła na plac na rozdrożu, w jego centrum stała fontanna. Niespodziewanie na plac wkroczyli pikinierzy - z lewej strony i bezpośrednio z przodu. Z tyłu nadal dochodziły odgłosy pogoni.

Popędzili w prawo, a po krótkim dystansie jeszcze raz w prawo. Na końcu ulicy pojawiła się brama, która zatrzasnęła się tuż przed nimi. Skręcili w lewo, w długi, arkadowy korytarz prowadzący wzdłuż ogrodu.

- Przez ogród - doleciał ich głos zza krzaków. - Za nim jest brama!

Ujrzeni małego człowieczka z wyciągniętą ręką.

- Pamiętaj, dwa razy w lewo, potem w prawo, dwa razy w lewo i znów w prawo - cały czas dookoła!

Kopyta Blacka przedzierały się przez ogród, kiedy kierowali się ku bramie. Nagle Black cofnął się i zamarł, gdy powietrze przeszło pojedyncze uderzenie dzwonu.

- Och, och! - odezwał się człowieczek z kokiem na czubku głowy.

Budynek po lewej stronie obrócił się o dziewięćdziesiąt stopni, cofnął się i ześlizgnął się po ulicy. Spod ziemi wyrosła kamienna balustrada. Wieża przesunęła się do przodu. Pojawił się drugi człowieczek i uśmiechając się stanął obok pierwszego. Ten się nie uśmiechał.

- Czy to już koniec? - zapytał Black, kiedy obok przeleciało skrzydło budynku i przeszło pod sklepieniem, które kroczyło w ich kierunku.

- Obawiam się, że tak - odpowiedział Dilvish, wyciągając ramiona i unosząc je nad głowę. - Mabra, brahoring Mabra...

Nadleciał silny wiatr i dało się słyszeć jakieś zawodzenie. Zawirował wokół nich, ale nie poczuli niczego, prócz lekkiego chłodu. Z każdego budynku wydobywał się ciemny kłęb mgły. Dilvish mówił dalej, a ze wszystkich stron dobiegały trzaski i łomoty, wkrótce potem dał się słyszeć odgłos rozpadających się tynków. Gdzieś w oddali zachwiała się dzwonnica i runęła na ziemię, a gdy roztrzaskiwała się o uciekający sklepik czy dom mieszkalny, jej dzwon wydał ostatnie ochryple tchnienie.

Ziemia zadrżała, kiedy zawodzenie przeszło w rozdzierające wycie. Budynek zapadał się otoczony płaszczem własnych prochów. Nagle rozległ się łomot, jakby setka drzew padła pod uderzeniem pioruna, a wiatr wygasł równie szybko, jak się pojawił.

Dilvish i Black stali na pokrytym słońcem szczycie wzgórza. Wokół nie było ani śladu miasta.

- Moje gratulacje - powiedział Black. - To była bardzo dobra robota.

- Ja również miałem w tym swój udział - usłyszeli z tyłu znajomy głos.

Obracając się, Dilvish dostrzegł małego człowieczka z kokiem na głowie. Jego ryba płynęła w prawą stronę.

- Serdecznie przepraszam - ciągnął dalej. - Nie zdawałem sobie sprawy, że uwieźliśmy tu brata-czarodzieja. To była Najstraszliwsza Formuła, prawda? Nigdy wcześniej nie widziałem jej działania.

- Tak, to była ta Formuła.

- Dobrze, że w pośpiechu dotarłem do strefy chronionej. Oczywiście, mój brat musiał odejść ze swym miastem. Chcę ci bardzo za to podziękować.

- Czekam na wyjaśnienie - rzekł Dilvish. - Co tu się właściwie działo? Czy nie mieliście lepszych sposobów, aby się rozerwać?

- O, szlachetny panie! - odpowiedział człowieczek załamując ręce. - Czy nie odgadłeś niczego po wyglądzie? Byliśmy bliźniakami - a to najgorsza sytuacja, gdy jest się praktykiem tajemnej sztuki. Moc jest wtedy podzielona. Każdy jest tylko w połowie silny.

- Coś zaczyna mi świtać - powiedział Dilvish.

- Tak. Próbowaliśmy pojedynków, ale byliśmy zbyt sobie równi. A więc zamiast dzielić się słabością, zawarliśmy układ. Każdy z nas spędzał dziesięć lat na wygnaniu w astralnej otchłani, podczas gdy drugi korzystał tu z pełni swej mocy. Pod koniec tego okresu zwykliśmy grywać w tę

grę, by zobaczyć, kto przez następne dziesięć lat cieszyć się będzie życiem na ziemi. Jeden z nas wznosił miasto, drugi stawiał na zawodnika, który miał wyjść z jego labiryntu. Kiedy tym razem wylosowałem zawodnika, byłem raczej załamany, gdyż zazwyczaj wygrywało miasto. Ale ty, sir, przyniosłeś mi szczęście. Powinniśmy byli coś podejrzewać, gdy ujrzeliśmy twego rumaka. Ale kto mógł odgadnąć Najstraszliwszą Formułę? Musiałeś przejść piekło, by się jej nauczyć.

- Tak było.

- Teraz jestem twoim dłużnikiem, a dysponuję pełną mocą. Czy jest coś, w czym mógłbym ci pomóc?

- Tak - odpowiedział Dilvish.

- Co to takiego?

- Szukam człowieka. Nie, raczej czarnoksiężnika. Jeśli wiesz, gdzie przebywa, powiedz mi. Ryzykowne jest wypowiedzenie jego imienia, bo być może skupił już swą uwagę na naszych ostatnich czarach. Dysponuje najpotężniejszą i najciemniejszą mocą. Czy wiesz, o kim mówię?

- Ja... Nie jestem pewien. Dilvish westchnął.

- Dobrze.

Zsiadł z konia i czubkiem miecza wydrapał na błocie imię Jelerak. Mały czarownik zbladł i ponownie załamał ręce.

- O, szlachetny panie! Szukasz swej śmierci!

- Nie, jego - odparł Dilvish ścierając imię czubkiem buta. - Czy możesz mi pomóc?

Człowieczek przełknął ślinę.

- Ma siedem zamków, o których wiem, w różnych częściach świata. Każdy strzeżony jest w inny sposób. Zatrudnia sługi, zarówno ludzi jak i nie ludzi. Powiadają, że potrafi przemieszczać się szybko między swymi posiadłościami. Jak to możliwe, że o tym nie wiesz?

- Nie było mnie przez długi czas. Wytrzymaj jeszcze trochę. Gdzie się one znajdują?

- Chyba już wiem, kim jesteś - odparł czarownik klękając i rysując coś na ziemi.

Dilvish przykucnął obok i obserwował, jak mapa nabiera kształtów.

- Oto jeden z nich na skraju świata, który widział jedynie w snach. To jest Czerwona Warownia... Następny znajduje się daleko na południu...

Dilvish notował wszystko w pamięci.

- Zatem najbliższy to ten, który nazywasz Lodową Wieżą - odezwał się Dilvish - ponad sto mil stąd na północny-zachód. Słyszałem różne wieści o tym miejscu. Szukałem go.

- Skorzystaj z mej rady, Oswobodzicielu - odpowiedział czarownik podnosząc się z ziemi. - Nie...

Znów otaczało ich miasto, ale zmienione. Zaczynało się u podnóża i ciągnęło się w dal jak okiem sięgnąć.

- Chyba nie wezwałeś go z powrotem dla żartu? - zapytał czarownik.

- Nie.

- Obawiałem się, że to powiesz. Powstało niezwykle spokojnie, prawda?

- Tak.

- Znacznie większe niż Stradd i ja mogliśmy kiedykolwiek stworzyć. Ale co teraz? Myślisz, że chce nas przez nie przepędzić?

Niebo nad ich głowami pociemniało.

- Zgodziłbym się na to z przyjemnością, gdyby oczekiwał mnie w środku.

- Nie mów tego, przyjacielu! Spójrz!

Niczym wolna błyskawica z nieba spłynęły dywany ognia, w ciszy pokrywając leżące pod nimi miasto. Po chwili miasto zaczęło płonąć. Poczuli zapach dymu. Wokół dryfowały popioły. Wkrótce otoczył ich gigantyczny mur płomieni, poczuli napływające fale gorąca.

- Ładna robota - zauważył czarownik, wycierając czoło rękawem. - Mam zamiar zdradzić ci me imię - Strodd - w akcie najwyższej wspaniałomyślności z mojej strony, gdyż być może obaj skazani jesteśmy na śmierć. Ja chyba zgadłem twoje, prawda?

- Prawda.

Ognie zaczęły opadać. Miasta już nie było.

- Tak, to była ładna robota - zauważył Strodd. - Jestem pewien, że pokaz dobiega końca, ale zastanawiam się, dlaczego nie skierował ognia na nas?

Black parsknął szorstkim, metalicznym śmiechem.

- Powodów nie brakuje - rzekł.

Ogień zamigotał i zgasł, zostawiając szczyt wzgórza w takim samym słońcu jak przed chwilą.

- No i proszę! - powiedział Strodd. - Nagle zapragnąłem wyruszyć w długą podróż, dla zdrowia. Wędrując w astralnych otchłaniach stajemy się słabi. Nadal jestem twoim dłużnikiem, ale przeraża mnie towarzystwo, które mógłbym z tobą spotkać. Wolałbym, abyś wezwał mnie w kilku drobnych sprawach niż w tej jednej, poważnej, która cię opętała; jeśli wiesz, co mam na myśli?

- Zapamiętam to - odpowiedział Dilvish z uśmiechem. Wsiadł na Blacka i skierował się na północny wschód.

Strodd zadrżał.

- Obawiam się, że pojedziesz tą drogą - rzekł. - No, cóż. A więc, powodzenia!

- Wzajemnie.

Przed odjazdem Dilvish oddał czarownikowi pożegnalny salut.

- Lodowa Wieża? - spytał Black.

- Lodowa Wieża.

Kiedy Dilvish obejrzał się za siebie, na wzgórzu nie było już nikogo.

BIAŁA BESTIA

Przez cały dzień, przejeżdżając przez lodowe pola, jeździec na błyszczącej, czarnej bestii wiedział, że jest ścigany. Daleko, wśród zasp, wypatrzył wielki, biały kształt poruszający się susami. Teraz, w świetle księżyca skrzącym się w gładkich, śnieżnych formach i przy lodowatym wietrze schodzącym z gór przez zatopioną w nocy dolinę, usłyszał pierwsze wycie swego prześladowcy.

Góry leżały teraz bardzo nisko. Gdzieś u ich podstawy była z pewnością jakaś kotlina, jaskinia czy umocnione schronienie - miejsce, w którym mógłby odetchnąć między skałami, rozpalając przed sobą ognisko i trzymając miecz na kolanach.

Znowu usłyszał wycie. Jego wielki, czarny rumak przyspieszył galopu. Przed nimi i wokół nich leżały rozrzucone wielkie głazy... Przedarł się między nimi, a jego oczy poszukiwały jakiegokolwiek otworu w pokrytej lodem skarpie.

- Tam, przed nami w górze - dobiegł Dilvisha niski głos rumaka.

- Tak, widzę. Zmieścimy się?

- Jeśli nie, to go powiększę. Dalsze poszukiwania mogą być niebezpieczne. Drugiego takiego może już nie być.

- Prawda.

Stanął przed otworem. Mężczyzna zsiadł z konia, a jego zielone buty bezszelestnie poruszały się po śniegu. Black wszedł pierwszy.

- Jest większa niż myślałem, pusta i sucha. Wejdz!

Mężczyzna wszedł do jaskini, pochylając głowę pod jej zewnętrznym sklepieniem. Klęknął i namacał hubkę.

- Kilka patyczków, gałąź, liście...

Ułożył z nich mały stos i usiadł. Rumak stał za jego plecami. Odpiął miecz i położył go przy dłoni.

Z niedalekiej odległości dobiegło go ponowne wycie.

- Chciałbym, aby ten przeklęty biały wilk odważył się wreszcie na atak. Nie będę mógł zasnąć, dopóki nie wyjaśnimy sobie wszystkich rozbieżności - powiedział mężczyzna natrafiając na krzesiwo. - Krąży za nami cały dzień, tropiąc, obserwując, czekając...

- Myślę, że to mnie boi się najbardziej - odezwał się ciemny kształt. - Przeczuwa, że jestem inny i będę cię bronił.

- Też bym się bał - odparł mężczyzna ze śmiechem.

- Ale ty masz rozum istoty ludzkiej. A to coś!

- Co przez to rozumiesz?

- Nic. Naprawdę. Nie wiem. Jedz. Odpoczywaj. Ja będę cię strzegł.

Pod snopem iskier liście zajęły się ogniem i zatliły się.

- Jeśli to coś miałooby przewyciężyć ogień, skoczyć szybko i pochwycić mnie, mogłoby pociągnąć mnie stąd - w jakąś śnieżną otchłań, gdzie ktoś z twoją masą ugrzązłby z pewnością. Ja bym tak postąpił.

- Przypisujesz mu zbyt dużą inteligencję.

Mężczyzna dorzucił do ognia i rozłożył swój posiłek.

- Widzę, jak porusza się między skałami. Jest głodny, ale woli czekać - na stosowny moment.

Wydobył miecz z pochwy.

- Czy są jakieś sposoby, by rozpoznać bestię? - spytał.

- Nie, dopóki nie zobaczysz, jak się zmienia lub mówi.

- Hej, ty tam! - wykrzyknął niespodziewanie mężczyzna. - Zawrzemy układ? Podzielę się z tobą moją racją żywnościową, a potem się rozstaniemy. Dobrze?

Odpowiedzią był tylko wiatr.

Podniósł kawałek mięsa, nadział na ostrze i wsadził do ognia. Podzielił go na dwie części, a jedną odłożył na bok.

- Jesteś śmieszny - mruknął jego towarzysz.

Mężczyzna wzruszył ramionami i zabrał się do jedzenia. Rozpuścił nieco śniegu, zmieszał z winem i wypił. Minęła godzina. Siedział owinięty płaszczem i pod kocem, dorzucając drewna do ognia. Na zewnątrz śnieżny kształt podszedł bliżej. Po raz pierwszy mężczyzna dostrzegł refleks ogniska w oczach nieznajomego; stał po lewej stronie, w miejscu niewidocznym dla jego czarnego rumaka. Nie odezwał się ani słowem. Patrzył. Oczy zbliżyły się - duże i żółte. W końcu usadowiły się, nisko, tuż w rogu, u wylotu jaskini.

- Mięso! - rozległ się pełen pożądania szept.

Położył dłoń na przedniej nodze swego rumaka, nakazując mu milczenie. Drugą ręką podniósł kawałek mięsa i rzucił go na zewnątrz. Zniknęło natychmiast, a po chwili usłyszał odgłosy żucia.

- Czy to wszystko? - odezwał się za moment głos.

- Połowa mojej racji, tak jak obiecywałem - szepnął.

- Jestem bardzo głodny. Obawiam się, że będę musiał pożreć i ciebie. Przepraszam.

- Wiem. Mnie także jest przykro, ale to, co zostało, musi starczyć mi aż do Lodowej Wieży. Jeśli spróbujesz schwytać mnie, będę musiał cię zniszczyć.

- Lodowa Wieża? Zginiesz tam marnując jedzenie. Zmarnuje się twoje ciało. Pan tego miejsca zabije cię. Czyżbyś o tym nie wiedział?

- Nie dojdzie do tego, jeśli ja zabiję go pierwszy. Biała bestia dyszała przez moment.

- Jestem taki głodny - bąknął znowu. - Za chwilę będę musiał cię zjeść. Niektóre rzeczy są gorsze od śmierci.

- Wiem.

- Zdradzisz mi swe imię?

- Dilvish.

- Zdaje się, że słyszałem to imię, dawno temu...

- Być może.

- Jeśli on cię nie zabije. - Spójrz na mnie! Ja też kiedyś próbowałem go zabić. Ja też kiedyś byłem człowiekiem.

- Nie znam zaklęcia, które mogłoby cię odczarować.

- Za późno. To już mnie nie interesuje. Zależy mi tylko na jedzeniu.

Dilvish usłyszał odgłos cieknącej śliny, a po chwili bestia wciągnęła głęboko powietrze. Mężczyzna chwycił w dłonie miecz i czekał.

Wtem:

- Dawno temu słyszałem o Dilvishu, zwanym Oswobodzicielem - dobiegły go powolne słowa. - Był silny.

Cisza.

- Ja nim jestem. Cisza.

- Pozwól mi podejść bliżej... Twoje buty są zielone!

Biały kształt znów się cofnął. Żółte oczy spotkały się z jego oczami.

- Jestem głodny, zawsze głodny.

- Wiem.

- Znam tylko jedną rzecz, która jest silniejsza. Ty też ją znasz. Żegnaj.

- Żegnaj.

Oczy odwróciły się. Ciężka postać zniknęła z jaskini. Później Dilvish usłyszał z oddali wycie.

Potem nastąpiła cisza.

LODOWA WIEŻA

Ciemna bestia w kształcie konia zatrzymała się na lodowym szlaku. Z głową odwróconą w lewo, ku górze, patrzyła na zamek stojący na szczycie lśniącej góry.

- Nie tutaj - stwierdził w końcu mężczyzna.

Czarna bestia pędziła dalej, lód pękał pod jej niepodkutymi, metalowymi kopytami, wokół hulał śnieg.

- Zaczynam podejrzewać, że nie ma tu żadnego szlaku - oświadczył po chwili stwór. - Przejechaliśmy już ponad połowę drogi.

- Wiem - odpowiedział opatulony jeździec w zielonych butach. - Mógłbym wejść na szczyt, ale wtedy zostałbyś w tyle.

- Nie byłoby to zbyt rozsądne z twojej strony - odparł jego rumak. - Znasz mą przydatność w pewnych sytuacjach - szczególnie w tej, której stawiasz czoło.

- Racja. Ale jeśli okaże się, że jest to jedyna droga...

Jechali dalej, zatrzymując się co jakiś czas, by zbadać wzgórze.

- Dilvishu, niedaleko za nami stok był nieco łagodniejszy - poinformowała bestia. - Gdybym dobrze się rozpędził, mógłbym przebiec całkiem niezły dystans. Nie na sam szczyt, ale blisko niego.

- Jeśli okaże się, że to jedyny sposób, Black, pojedziemy tą drogą - zgodził się jeździec, a wiatr rozwiewał jego parujący oddech. - Ale możemy też szukać dalej. Hej! Co to...

Po zboczu góry zleciała jakaś ciemna postać. Gdy już miała uderzyć w lód tuż przed nimi, rozpostarła bladezielone skrzydła nietoperza i uniosła się w górę. Dokonała szybkiego okrążenia, nabrała wysokości, a następnie ruszyła w ich kierunku.

Dilvish chwycił gwałtownie za miecz i wyprostował go pionowo przed sobą. Odchylił się do tyłu i utkwiał wzrok w nadlatującej postaci. Na widok jego broni zmieniła natychmiast kierunek.

Zamachnął się, lecz chybił. Stwór odleciał.

- Z pewnością nasza obecność tutaj nie jest już tajemnicą - skomentował Black, obracając się w kierunku lecącego stwora.

Ten zanurkował ponownie, a Dilvish znów wziął zamach. Stwór skręcił w ostatniej chwili, ale nie zdążył uciec przed uderzeniem. Padł, zatrzepotał skrzydłami i uniosł się ponownie w powietrze. Wykonał kilka okrążeń, wzniósł się jeszcze wyżej i skręcił. Odleciał z powrotem ku Lodowej Wieży.

- Tak. Wygląda na to, że nie uda nam się nikogo zaskoczyć - zauważył Dilvish. - Choć

myślałem, że zauważy nas wcześniej.

Schował miecz do pochwy.

- Poszukajmy tego szlaku, o ile w ogóle istnieje.

Ruszyli drogą u podnóża góry.

Z lustra wyglądała trupia, biało-zielona twarz. Przed zwierciadłem nie stał nikt, kto mógłby przywołać taki obraz. W lustrze odbijała się wysoka, kamienna komnata; na jej ścianach wisiały wytarte kobierce. Otoczona była kilkoma wąskimi oknami. Stał tam długi, ciężki stół, a w jej końcu płonął kandelabr. Wiatr jęczał w kominie gasząc, to znów unosząc płomień w solidnym kominku.

Wydawało się, że twarz z lustra przygląda się biesiadnikom: szczupłemu, ciemnowłosemu młodzieńcowi o czarnych oczach, w czarnym kubraku podszytym zielonym suknem, który jadł bez apetytu i nerwowym gestem raz po raz dotykał palcami ciężkiego pierścienia z czarnego metalu z jasnoróżowym kamieniem, zwisającego z łańcucha noszonego na szyi; i dziewczynie, o podobnych włosach i oczach, której szerokie usta wykrzywiały się przedziwnym, prędkim uśmiechem, gdy jadła z apetytem. Na ramionach miała brązowo-czerwony płaszcz, którego brzegi zwijały się na jej kolanach. W przeciwieństwie do mężczyzny nie miała nisko osadzonych oczu i nie miotła spojrzeniami tak jak on.

Postać w zwierciadle poruszyła bladymi ustami.

- Czas mija - oznajmiła głębokim, monotonnym głosem.

Mężczyzna pochylił się do przodu i ukroił kawałek mięsa. Dziewczyna uniosła puchar z winem. Przez moment zdawało się, że coś zatrzepotało za oknem.

Gdzieś z końca długiego korytarza, po prawej stronie dziewczyny, zabrzmiał umęczony głos:

- Uwolnij mnie! Och, proszę, nie czyn tego! Błagam! To tak bardzo boli!

Dziewczyna upiła łyk.

- Czas mija - powtórzyła postać w lustrze.

- Ridley, czy mógłbyś podać mi chleb? - poprosiła dziewczyna.

- Proszę bardzo.

- Dziękuję.

Odlamała kawałek i zanurzyła go w sosie. Mężczyzna patrzył, jak jadła, zafascynowany samym aktem.

- Czas mija - odezwał się głos.

Nagle Ridley uderzył w stół. Zabrzęczały sztuce. Krople wina rozlały się na talerzu.

- Reena, nie możesz uciszyć tego przeklętego lustra? - krzyknął.

- Dlaczego? Ty przecież je wezwałeś - odpowiedziała słodko. - Dlaczego nie machniesz czarodziejską różdżką, nie pstrykniesz palcami i nie odprawisz go należycie?

Ponownie uderzył w stół, unosząc się z miejsca.

- Nie dam z siebie żartować - warknął. - Ucisz je!

Wolno pokręciła głową.

- To nie moja dziedzina magii - odrzekła już mniej słodko. - Traktuję takie rzeczy poważnie.

Komnata zapełniła się krzykami:

- To boli! Och proszę, nie! Tak bardzo boli...

- ...Albo to - odezwała się bardziej surowo. - W dodatku powiedziałeś mi kiedyś, że służy dobremu celowi. ^

Ridley usiadł na krześle.

- Gdy to robiłem, nie byłem... sobą - szepnął miękko, opróżniając kielich wina.

Z ciemnego rogu obok kominka wyskoczyła postać o twarzy mumii, ubrana w czarną liberię i napełniła kielich.

Cicho i z daleka dochodziło pobrzękiwanie, jakby łańcuchów. Ciemny kształt zatrzepotał o drugie okno. Ridley dotknął palcami swego łańcucha i przechylił puchar.

- Czas mija - ogłosiła trupia twarz za szkłem.

Ridley cisnął w nią kielichem. Kielich roztrzaskał się, ale lustro pozostało nienaruszone. W kącikach upiornych ust pojawił się najślabszy ze wszystkich uśmiechów. Sługa popędził po następny kielich. Komnata znów pełna była płaczu.

- Niedobrze - stwierdził Dilvish. - Objechaliśmy górę dookoła. Nie widzę żadnej drogi prowadzącej ku górze.

- Wiesz, jacy są czarownicy - szczególnie ten.

- To prawda.

- Powinieneś był poradzić się tego wilkołaka.

- Teraz jest już za późno. Jeśli nie będziemy się zatrzymywać, to wkrótce dotrzemy do tego zbocza, o którym wspominałeś.

- Nareszcie - odpowiedział Black, z trudem posuwając się naprzód. Mógłbym wypić wiadro demonicznego soku. Nie odmówiłbym nawet wina.

- Sam napiłbym się wina. Ten latający stwór nie pojawił się ponownie - spojrzał na ciemniejące niebo. W górze ujrzał zamek przykryty lodem i śniegiem. Jego główne okno jaśniało pełnym blaskiem.

- Chyba że popędził w górę. Trudno powiedzieć, tyle tu śniegu i cieni - dokończył.
- Dziwne, że nie wysłał czegoś bardziej śmiercionośnego.
- Też nad tym myślałem.

Jechali dalej. Stok stawał się coraz łagodniejszy. Lodowa ściana obniżała się ku nieco łagodniejszej pochyłości. Dilvish rozpoznał teren, przez który już przejeżdżali, choć ślady kopyt Blacka zostały całkowicie zatarte.

- Wyczerpują się twoje zapasy? - zapytał Black.

- Tak.

- Myślę zatem, że musimy coś szybko przedsięwziąć.

Dilvish uważnie przyglądał się zboczowi, kiedy przejeżdżali u jego podnóża.

- Tam dalej jest trochę lepiej - zauważył Black. Po chwili dodał:

- Dobry pomysł miał ten czarownik, Strodd, którego spotykaliśmy.

- O czym mówisz?

- Udał się na południe. Ja nienawidzę zimna.

- Nie zdawałem sobie sprawy, że i dla ciebie będzie to problemem.

- Tam, skąd pochodzę, jest o wiele cieplej.

- Masz ochotę tam powrócić?

- Po tym, jak o tym wspomniałeś, to nie. Kilka minut później okrążyli lodową bryłę.

Black stanął i obrócił łeb.

- To jest droga, jaką bym wybrał. Stąd możesz ją ocenić najlepiej.

Dilvish zmierzył wzrokiem stok. Sięgał trzech czwartych drogi wiodącej do zamku. Nad nim wznosiła się stroma i ostra ściana.

- Jak myślisz, jak wysoko możesz mnie donieść? - zapytał.

- Będę musiał się zatrzymać, gdy zacznie wznosić się pionowo. Czy zdołasz pokonać dalszy odcinek?

Dilvish zasłonił oczy i zmrużył je.

- Nie wiem. Nie wygląda dobrze. I jeszcze ta pochyłość. Jesteś pewien, że dotrzesz aż tak wysoko?

Black pomilczał przez chwilę i rzekł:

- Nie jestem. Ale objechaliśmy wzgórze dookoła i to jest jedyna droga, po której mógłbym spróbować przejechać.

Dilvish spuścił wzrok.

- Co proponujesz?

- Jedźmy!

* * *

Nie rozumiem, jak możesz jeść w ten sposób! - stwierdził Ridley, odrzucając nóż. - To obrzydliwe!

- Trzeba utrzymywać klasę w obliczu klęski - odparowała Reena, sięgając po kolejny kęs. - Poza tym, dziś jadlo jest wyjątkowo smaczne. Kto je przygotował?

- Nie mam pojęcia. Nie rozróżniam służby. Po prostu wydaję im polecenia.

- Czas mija - odezwało się lustro.

Coś ponownie zatrzepotało za oknem i tamże zawisło. Reena westchnęła, odłożyła sztućce i wstała. Przeszła koło stołu i podeszła do okna.

- W taką pogodę nie mam zamiaru otwierać okna! - wrzasnęła. - Już ci to mówiłam! Jeśli chcesz dostać się do środka, możesz wlecieć kominem! Albo stercz tam!

Przez moment nasłuchiwała gwałtownego szwargotu dochodzącego zza szyby.

- Nie, nawet tym razem nie otworzę! - odpowiedziała. - Już ci to mówiłam, zanim odleciałeś!

Odwróciła się i dumnym krokiem wróciła do stołu. Na kobiercach zamigotał jej cień, kiedy zabłyśły świece.

- Och, nie... Proszę, nie. Och! - rozległ się ponownie krzyk w komnacie.

Usiadła na krześle, zjadła ostatni kęs i popiła winem.

- Musimy coś zrobić - odezwał się Ridley, głaszcząc pierścień na łańcuchu. - Nie możemy tak po prostu siedzieć.

- Mnie jest całkiem wygodnie - odrzekła.

- Tkwisz w tym tak samo jak ja.

- Nie bardzo.

- On tak nie uważa.

- Nie byłabym tak pewna. Ridley parsknął.
- Twoje wdzięki nie uratują cię przed ostatecznym rozrachunkiem.

Wysunęła dolną wargę w zabawnym grymasie.

- W dodatku obrażasz moją kobiecość.
- Przypierasz mnie do muru, Reena!
- Wiesz, co z tym zrobić, prawda?
- Nie! - walnął pięścią w stół. - Nie zrobię tego!
- A czas mija - powiedziało lustro. Skrył twarz w dłoniach i pochylił głowę.
- Ja... boję się... - szepnął miękko.

Nie zauważył, jak zmarszczyła brwi i zmrużyła oczy.

- Boję się... tego drugiego - dodał.
- Nie przychodzi ci do głowy inny sposób?
- Zrób coś! To ty posiadasz moc!
- Nie aż taką - odpowiedziała. - Z tym drugim to może miałabym jakąś szansę.
- Ale on nie jest godny zaufania! Nie mogę już dłużej na niego czekać!
- Staje się coraz silniejszy. Wkrótce będzie wystarczająco mocny.
- Nie... Nie wiem...
- A kto wciągnął nas w te kłopoty?
- To co mówisz jest nieuczciwe!

Gdy opuszczał dłonie i podnosił głowę, w kominie rozległ się stukot. Na języki ognia spadły drabiny sadzy i tynku.

- Naprawdę?! - zdumiała się.
- Ten szalony, stary nietoperz... - zaczął obracając głowę.
- Też nieładnie - oświadczyła Reena. - Tak czy inaczej...

Posypał się popiół, gdy mała postać uderzyła w płonące belki, odbiła się i wyskoczyła na posadzkę bijąc długimi, zielonymi i błoniastymi skrzydłami, strząsając iskry z futerka. Była wielkości małej małpki o pomarszczonej, prawie ludzkiej twarzy. Przy każdym skoku wydawała pisk, a niektóre z jej odgłosów przypominały ludzkie przekleństwa. W końcu przystanęła w ukłonie, uniosła głowę i spojrzała na nich płonącymi oczami.

- Próbowaliście mnie spalić - zaćwierkał przeraźliwie stworek.

- Daj spokój! Nikt nie próbował cię spalić - odezwała się Reena.

- ...powiedziałaś "komin" - wrzasnął.

- Na górze jest wiele kominów - stwierdziła Reena. - To głupota wybierać ten dymiący.

- ...Nie głupota!

- A jak inaczej możesz to nazwać? Stworek kilkakrotnie pociągnął nosem.

- Przepraszam - powiedziała Reena. - Ale mogłaś być bardziej ostrożna.

- Czas mija - odezwało się lustro. Potworek odwrócił swój mały łepiek i wysunął język.

- Skoro wiecie - odezwał się. - On... on mnie uderzył!

- Kto? Kto cię uderzył? - zapytał Ridley.

- ...Mściciel - stworek machnął prawym skrzydłem. - On jest tam, na dole.

- To nie do wiary! - Ridley pobladał. - Jesteś tego pewna?

- ...Uderzył mnie - powtórzył stworek. Potem zaczął skakać po podłodze, zatrzepotał skrzydłami i wylądował pośrodku stołu.

Z dala dobiegł cichy brzęk łańcuchów.

- Skąd... Skąd wiesz, że to mściciel? - spytał Ridley.

Potworek zrobił parę skoków na stole, chwycił szponami chleb, wepchnął kawałek do pyska i zaczął głośno przeżuwać.

- ...Moje maleństwa, śliczności - zanucił po chwili, rozglądając się po komnacie.

- Przestań! - wrzasnęła Reena. - Odpowiedz na jego pytanie! Skąd wiesz, kto to taki?

Potworek podniósł skrzydła na wysokość uszu.

- Nie krzycz! Nie krzycz! - zawołał. - ...Widziałem! Wiem! Uderzył mnie, biedną istotę, mieczem!

Przerwał i otulił się skrzydłami.

- Zleciałem, by mu się bliżej przyjrzeć. Wzrok mam słaby... Jeździ na diabelskiej bestii! Krąży, krąży wokół góry! Idzie, idzie tu!

Ridley spojrzał na Reenę. Ścisnęła usta i potrząsnęła głową.

- Jeśli ta bestia nie potrafi fruwać, nigdy nie dotrze do wieży - powiedziała. - Nie miał skrzydeł, prawda?

- Nie, to był koń - odpowiedział stworek, chwytając za chleb.

- Przy południowej ścianie było obsunięcie - zastanowił się Ridley. - Ale nie. Nawet tam nie da rady. Nie na koniu...

- ...na diabelskim koniu.

- Nawet na diabelskim koniu!

- Boli! Boli! Nie wytrzymam! - rozległ się przesywający krzyk.

Renna podniosła kielich. Kiedy zauważyła, że jest pusty, odstawiła go z powrotem. Mumio-głowy wypadł z cienia, by go napelnić.

Przez kilka chwil obserwowali posilającego się skrzydlatego stworka.

- To mi się nie podoba - przerwała ciszę Reena. - Wiesz, jaki jest przebiegły.

- Wiem.

- ...I te zielone buty - zaświergotał stworek. - Buty elfów. Zawsze upadnie na obie nogi. Wy mnie poparzyliście, on mnie uderzył... Biedna Meg! Biedna Meg! Ale i was dostanie...

Zeskoczyła i przeleciała lekko nad podłogą.

- Moje maleństwa, moje śliczności! - zawołała.

- Nie tutaj! Wynoś się stąd! - wrzasnął Ridley. - Zmień postać lub odejdz! Trzymaj je z daleka!

- Maleństwa! Śliczności! - usłyszał cichy głos, kiedy Meg pognała korytarzem w kierunku wrzasków.

Reena potrząsnęła winem w kielichu, pociągnęła łyk i oblizała usta.

- Już czas - obwieściło nieoczekiwane zwierciadło.

- A teraz co masz zamiar zrobić? - zapytała Reena.

- Nie czuję się dobrze - odpowiedział Ridley.

Gdy podeszli do podnóża stoku, Black zatrzymał się i przez chwilę stał jak posąg, badając go wzrokiem. Padał śnieg. Wiatr rozsypywał wokół nich płatki śniegu.

Minęło kilka minut. Black ruszył naprzód i sprawdził nachylenie, wspinając się kilka kroków w górę, stając całym swym ciężarem na śniegu, z pochyloną głową, tupiąc i kopiąc kopytami.

W końcu zszedł na dół i odwrócił się.

- Jaka jest twoja decyzja? - dopytywał się Dilvish.

- Nadal mam ochotę spróbować. Moja ocena naszych szans pozostaje niezmieniona. Czy

pomyślałeś, co zrobisz, jeśli lub raczej kiedy dotrzesz na szczyt?

- Będę szukał kłopotów - odrzekł Dilvish. - Będę bronił się przez cały czas i walczył, gdy tylko ujrzę nieprzyjaciela.

Black zaczął wolno oddalać się od stoku.

- Prawie wszystkie z tych zaklęć mają charakter ofensywny - stwierdził. - Większość jest zbyt straszna, by je używać, z wyjątkiem sytuacji ostatecznych. Wiesz, powinieneś poświęcić czas na naukę jakichś pomniejszych i pośrednich czarów.

- Wiem. To akurat doskonała pora na wykład o stanie sztuki.

- Chciałem tylko powiedzieć, że jeśli wpadniesz tam w pułapkę, wiesz jak zrównać to całe przeklęte miejsce z ziemią. Nie wiesz jednak, jak za pomocą zaklęć otworzyć zamek w drzwiach...

- To nie takie proste zaklęcie!

- Nikt tak nie twierdzi. Wskazuję zaledwie na twe ułomności.

- Trochę na to za późno, prawda?

- Obawiam się, że tak - przytaknął Black. - A więc są trzy dobre, powszechnie stosowane zaklęcia chroniące przed magicznym atakiem. Podobnie jak ja, wiesz, iż twój nieprzyjaciel może je złamać. Jednak te silniejsze mogą opóźnić jego działanie i dać ci czas na podjęcie decyzji. Nie pozwolę ci iść na górę bez znajomości jednego z nich, sprawującego nad tobą pieczę.

- Więc obdarz mnie najsilniejszym.

- Potrzeba na to całego dnia. Dilvish potrząsnął głową.

- Na takim mrozie? To za długo. A co z innymi?

- Pierwsze możemy odrzucić jako niewystarczające przeciwko każdemu biegłemu w tej sztuce. Drugie wymaga niemal godziny, aby je przywołać. Zapewni ci ochronę na pół dnia.

Dilvish pomilczał przez moment.

- Spróbujmy - odezwał się.

- W porządku. Ale tam z pewnością są też słudzy dbający o zachowanie ładu. Na pewno będą mieć nad tobą przewagę.

Dilvish wzruszył ramionami.

- Być może służba nie jest tak liczna. W tak niedostępnym miejscu jak to, silna straż nie jest potrzebna - odparł. - Wykorzystam swą szansę.

Black doszedł do miejsca znajdującego się w znacznej odległości od zbocza. Obrócił się i zerknął na wieżę.

- Odpoczywaj - powiedział - a ja tymczasem wypracuję zaklęcie ochronne. Potem nic nie będzie cię ochraniać.

Dilvish westchnął i pochylił się do przodu. Black zaczął przemawiać dziwnym głosem. Jego słowa wydawały się trzaskać na mrozie.

Ostatni wrzask zabrzmiał już słabszą nutą. Ridley wstał i przechodząc przez komnatę dotarł do okna. Potarł dłonią zmrożoną szybę szybkim, okrężnym ruchem. Przywarł twarzą do oczyszczonej powierzchni i wstrzymał oddech.

W końcu Reena zapytała go:

- Co tam widzisz?

- Śnieg - odmruknął - lód...

- Coś jeszcze?

- Moje odbicie - odpowiedział ze złością odwracając się.

Zaczął spacerować. Gdy przechodził obok twarzy w lustrze, jej usta poruszyły się.

- Już czas - odezwała się.

Zareagował przekleństwem. Spacerował dalej trzymając z tyłu splecione dłonie.

- Myślisz, że Meg naprawdę zobaczyła coś na dole? - spytał.

- Tak. Nawet lustro zmieniło ton.

- Jak myślisz, co to takiego?

- Mężczyzna na dziwnym rumaku.

- A może on nie jedzie tutaj. Może jest w drodze do innego miejsca.

Zaśmiała się cichutko.

- Może w drodze do sąsiedniej gospody na kilka drinków - odparła.

- Dobrze! Dobrze! Nie mogę się skupić! Jestem przygnębiony! Przypuśćmy tylko, że się tu dostanie. Jest sam.

- Ale ma miecz. Kiedy ostatnio trzymałeś miecz w dłoniach?

Ridley oblizał wargi.

- ...I musi być bardzo stanowczy - rzekła. - Przebył taki szmat drogi przez te pustkowia.

- Mam służbę. Są mi posłuszni. Ponieważ są i tak martwi, trudno mu będzie ich zabić.

- Służba pójdzie za tobą. Z drugiej jednak strony, są powolniejsi i bardziej niezręczni od zwykłych ludzi i można ich posiekać na kawałki.

- Nie robisz wiele, aby mnie podtrzymać na duchu, wiesz?

- Staram się być realistką. Jeśli tam w dole jest człowiek noszący buty Elfów, ma on szansę, aby się tu dostać. Jeśli jest twardy i dobrze włada mieczem, ma szansę dokonania tego, po co został przysłany.

- A ty będziesz żartować i kpić, kiedy on obetnie mi głowę? Pamiętaj jednak, że twoja głowa też się potoczy!

Odpowiedziała uśmiechem.

- Nie jestem w żaden sposób odpowiedzialna za to, co się stało.

- Czy naprawdę uważasz, że on się tym przejmuje?

Spojrzała w bok.

- Miałaś szansę - cedziła słowa - być jednym z największych. Ale obrałaś złą drogę rozwoju. Byłaś żądny władzy. Działałaś w pośpiechu. Podejmowałaś ryzyko. Doprowadziłaś do podwójnie niebezpiecznej sytuacji. Mogłaś wyjaśnić przypieczętowanie jako eksperyment, który się nie powiódł. Mogłaś przeprosić. Zdenerwowałaby się, ale z pewnością by zrozumiał. Teraz, kiedy nie potrafisz odwrócić tego, co uczyniłaś lub zrobić czegoś innego w tej sprawie, on będzie chciał się dowiedzieć, co się stało. Dowie się, że próbowałaś zwiększyć swą moc do tego stopnia, by rzucić mu wyzwanie. Wiesz, jaka w tych okolicznościach będzie jego odpowiedź. Właściwie mu współczuję. Gdybym była na jego miejscu, postąpiłabym tak samo: zniszczyłabym cię, zanim przyjąłbyś nade mną kontrolę. Stałaś się wyjątkowo niebezpiecznym człowiekiem

- Ale ja jestem bezsilny! Niczego nie mogę dokonać! Nie potrafię nawet uciszyć tego prostego lustra! - wykrzyknął wskazując na twarz, która znowu przemówiła. - W tym stanie nie jestem dla nikogo zagrożeniem.

- Sprawiałaś mu kłopot, odcinając dostęp do jednej z jego fortec - ciągnęła. - Będzie musiał wziąć pod uwagę możliwość, z której ty się wycofujesz, a mianowicie, że jeśli zdobędziesz nad nim władzę, staniesz się jednym z najpotężniejszych czarowników na świecie. Jako jego uczeń, o przepraszam, eks-uczeń, który najwyraźniej przywłaszczył sobie część jego majątku, liczyć możesz tylko na jedno: magiczny pojedynek, który da ci szansę pokonania go. Ponieważ pojedynek taki jeszcze się nie rozpoczął, musiał odgadnąć, iż nie jesteś jeszcze gotów, albo że grasz na zwłokę. W tym celu wysłał ludzkiego mściciela nie ryzykując, że wpadnie w magiczną pułapkę.

- Wszystko to mogło stanowić zwykły przypadek. Będzie musiał rozważyć i taką możliwość...

- Czy w tych okolicznościach ryzykowałbyś takie podejście i czekał? Znasz odpowiedź. Zabiłbyś mordercę.

- Byłem dobrym sługą. Doglądałem tego miejsca...

- Następnym razem, gdy go ujrzysz, błagaj go o zmiłowanie.

Ridley zatrzymał się i załamał ręce.

- Może potrafiłabyś go uwieść. Jesteś wystarczająco urodziwa...

Reena uśmiechnęła się.

- Nie miałabym nic przeciwko temu, aby przespać się z nim gdzieś na Lodowej Górze - powiedziała. - Jeśli miałyby to uwolnić nas z kłopotów, zaoferowałabym mu najwspanialszą przejażdżkę jego długiego życia. Ale taki czarownik...

- Nie on. Jest jedynie wysłannikiem mściciela.

- Och!

Zaczerwieniła się nagle. Następnie potrząsnęła głową.

- Nie przypuszczam, aby ktokolwiek, kto przebył tak długą podróż, mógł zrezygnować z zamierzonego celu na rzecz chwili spędzonej z kobietą i mojego niekwestionowanego uroku. Nie mówiąc już o karze za niepowodzenie. Nie. Znowu pomijasz problem najważniejszy. Masz tylko jedno wyjście, wiesz o tym.

Opuścił wzrok i dotknął palcami pierścienia na łańcuchu.

- Ten drugi - powiedział. - Gdybym miał nad nim władzę, skończyłyby się nasze problemy...

Jak zahipnotyzowany wpatrywał się w pierścień.

- Dobrze - odrzekła. - To jedyna prawdziwa szansa.

- Wiesz, czego się obawiam...

- Tak. Też się tego boję.

- ...że może się nie udać - że ten drugi zdobędzie władzę nade mną!

- Tak czy inaczej, nadszedł twój kres. Pamiętaj tylko, jeden sposób jest pewny. Drugi... Szansa wciąż istnieje.

- Zgadza się - rzekł odwracając od niej wzrok. - Ale nie wiesz, jakie to straszne!

- Domyślam się.

- Ale nie musisz sama przez to przechodzić!

- Ja nie doprowadziłem do tej sytuacji. Popatrzył na nią z furją.

- Mam już dosyć słuchania zapewnień o twojej niewinności, tylko dlatego, że ten drugi nie jest istotą taką jak ty! Najpierw przyszedłem do ciebie i przedstawiłem ci moją propozycję! Czy spróbowałaś mnie od tego odwieść? Nie! Widziałaś płynące z tego korzyści dla nas obojga! Towarzyszyłaś mi we wszystkich mych poczynaniach!

Przykryła usta koniuszkami palców i delikatnie ziewnęła.

- Braciszku - odezwała się. - Myślę, że masz rację. To niczego nie zmieni, prawda? Niczego, co musi być zrobione?...

Zazgrzytał zębami i odwrócił się.

- Nie zrobię tego. Nie mogę!

- Poczujesz się inaczej, gdy on zapuka do drzwi.

- Istnieje wiele sposobów uporania się z jednym człowiekiem; nawet jeśli jest sprawnym rycerzem!

- Ale czy nie rozumiesz? Nawet jeśli wygrasz, odwlekasz jedynie decyzję nie rozwiązując problemu.

- Potrzebuję czasu. Może znajdę jakiś sposób, by zdobyć nad nim przewagę.

Twarz Reeny złagodniała.

- Naprawdę w to wierzysz?

- Przypuszczam, że wszystko jest możliwe... Westchnęła i podniosła się. Ruszyła w jego kierunku.

- Ridley, oszukujesz sam siebie - stwierdziła. - Nigdy nie będziesz silniejszy niż teraz.

- To kłamstwo! - wrzasnął ruszając z miejsca. - Kłamstwo!

W komnacie rozległ się ponowny krzyk. Zwierciadło powtórzyło swe posłanie.

- Powstrzymaj go! Musimy go powstrzymać! Potem będę się martwić o tego drugiego!

Odwrócił się i wybiegł z pokoju. Reena opuściła podniesione dłonie i powróciła do stołu, by dokończyć wino. Kominek wzdychał nadal.

Black dokończył zaklęcia. Przez krótką chwilę pozostali w bezruchu.

- Czy to wszystko? - spytał Dilvish.

- Tak. Jesteś teraz chroniony na drugim poziomie.

- Czuję się tak samo.

- Bo tak powinieneś się czuć.

- Czy jest coś, co powinienem zrobić, aby w razie potrzeby wezwać ochronę?

- Nie, to działa automatycznie. Ale niech to nie odwodzi cię od stosowania zwykłej ostrożności w zetknięciu z magią. Każdy system ma swoje słabości. Ale to było najlepsze, co mogłem zrobić w tak krótkim czasie.

Dilvish kiwnął głową i podniósł wzrok na Lodową Wieżę. Black również uniósł łeb i spojrzał w tym kierunku.

- Przypuszczam zatem, iż przygotowania zostały zakończone - powiedział Dilvish.

- Na to wygląda. Jesteś gotowy?

- Tak.

Black ruszył naprzód. Dilvish zerknął w dół i dostrzegł, że jego kopyta wydawały się teraz szersze, bardziej płaskie. Chciał o to zapytać, ale gdy nabierali prędkości, poczuł powiew wiatru i postanowił oszczędzać oddech. Śnieg kłuł go w policzki i dłonie. Zmrużył oczy i jeszcze bardziej pochylił się do przodu.

Nadal pędzili po równym terenie. Stopniowo Black nabierał prędkości. Kiedy jego kopyto uderzyło w jakiś kamień, rozległ się dźwięk przypominający uderzenie dzwonu. Wkrótce gnali szybciej od wszystkich innych koni. Wszystko po obu stronach stawało się śnieżną plamą. Dilvish, chroniąc twarz i oczy, starał się nie patrzeć przed siebie. Poprawił się w siodle i pomyślał o drodze, którą przebył.

Wydostał się z samego Piekła, po dwóch wiekach wielkich cierpień. Większość ludzi, których znał wcześniej, już nie żyła, a i świat się nieco zmienił. Ale ten, który skazał go na banicję, rzucając nań przekleństwo, pozostał. Stary czarownik Jelerak. Od czasu swego powrotu przez długie miesiące próbował trafić na jego ślad. Pod murami Portaroy wypełnił swój stary obowiązek. Teraz, jak sam siebie przekonywał, żył jedynie zemstą. A ta, ta Lodowa Wieża, jedna z siedmiu twierdz Jeleraka, była najbliższej. Tu mógł spotkać swego wroga. Z Piekła wyniósł kolekcję Najstraszliwszych Formuł; zaklęć o tak śmiertelnej mocy, że stawały się niebezpieczne nie tylko dla ofiary, ale i dla tego, kto je wypowiadał. Działały jednak bez zarzutu. Od swego powrotu tylko raz skorzystał z takiej formuły. Dzięki niej udało mu się zrównać z ziemią całe miasteczko. Teraz uderzały w niego lodowate podmuchy wiatru, ale wzdrygnął się na wspomnienie tamtego dnia na szczycie wzgórza.

Brak równowagi świadczył o tym, że Black dotarł już do zbocza i zaczął wspinać się pod górę. Wiatr ryczał straszliwie. Na jego pochyloną głowę padał lodowaty deszcz. Czuł pod sobą rytmiczny chrzęst kopyt Blacka, a każdy ruch był niezwykle silny. Gdyby Black się poślizgnął, byłby to koniec... Żegnaj raz jeszcze świecie i Jeleraku - wciąż nie ukarany.

Błyszcząca tafla przesuwiała się pod spodem, a Dilvish starał się wyrzucić wszystkie myśli o Jeleraku, śmierci i zemście ze swego umysłu. Wsłuchując się w wiatr i trzaskający lód, uwolnił się na moment od tych myśli; wracając pamięcią do lat pełnych nieszczęść, dni kampanii bitewnych, wędrówek - przypomniał sobie odpoczynek pewnego mglistego poranka na polanach dalekiej Krainy Elfów, kiedy wyruszył na polowanie w pobliżu zamku Mirata. Słońce było tam wielkie i złote, chłodny powiew wiatru, a wokół - zieleń. Czuł wtedy zapach ziemi i dotyk kory drzewa... Czy kiedyś raz jeszcze tego doświadczy?

Wydał nieartykułowany okrzyk - przeciwko wiatrowi, przeznaczeniu i zadaniu, które sobie postawił. Zaklął potem i mocniej ścisnął kolana, gdyż równowaga znów została zachwiana. Wiedział, że szlak staje się coraz bardziej stromy.

Kopyta Blacka stuknęły troszeczkę wolniej. Dilvishowi drętwiały ręce, stopy i twarz. Zastanawiał się, jak wysoko dotarli. Zaryzykował spojrzenie przed siebie, lecz ujrzał jedynie padający śnieg. Przejechaliśmy spory kawałek, stwierdził. Gdzie jest koniec tej drogi?

Przywołał w pamięci obraz stoku widzianego z dołu, próbując ocenić swe położenie. Z pewnością byli w połowie trasy. A może już wyżej...

Policzył uderzenia swego serca, policzył uderzenia kopyt Blacka. Tak, wielka bestia wyraźnie zwalniała...

Ponownie spojrzął przed siebie.

Tym razem zdołał ujrzeć nad sobą i pod sobą niebotyczne wzniesienie połyskujące w ciemności nocy; strome i szkliste. Zasłaniało teraz znaczną część nieba, wiedział zatem, że są już blisko.

Black nadal zwalniał kroku. Ryczący wiatr przycichł. Śnieg padał z nieco mniejszą siłą.

Obejrzał się przez ramię. Dostrzegł wielkie zbocze rozciągające się za nimi; lśniące jak kolorowe kafelki w łaźniach Ankyry. W dół, w dół i z powrotem... Przejechali spory kawał drogi.

Black zwolnił jeszcze bardziej. Dilvish słyszał i czuł trzask suchego śniegu i pękającego lodu. Zwolnił uchwyt, przechylił się trochę do tyłu i podniósł głowę. Oczom jego ukazała się ostatnia platforma wieży o ciemnym połysku. Była już blisko.

Niespodziewanie wiatr ustał. - To pewnie przez ten wielki monolit - stwierdził. Tu śnieg padał łagodniej. Kroki Blacka przeszły w cwał, choć starał się nie mniej niż poprzednio. Podróż w białym tunelu zbliżała się do końca.

Dilvish poprawił się w siodle, by lepiej ocenić wysoką skarpe. W tej części jej powierzchnia zamieniła się w tekturę. Dzięki grze cieni dostrzec mógł wypukłości i szczeliny. W wielu miejscach wystawała goła skała. Szybko zaczął obmyślać ewentualne szlaki prowadzące na szczyt.

Black zwolnił, podążał teraz stępem, ale już znajdowali się koło miejsca, gdzie zaczynała się największa stromość. Dilvish szukał miejsca, gdzie mogliby się zatrzymać.

- Black, co myślisz o tym występie po prawej stronie? - spytał.

- Taki sobie - otrzymał odpowiedź. - Ale tam się kierujemy. Najtrudniej będzie dostać się tam, na tę skałę. Nie puszczaj jeszcze cugli.

Dilvish uczeplił się go kurczowo, a Black przeszedł sto kroków i jeszcze sto.

- Stąd wygląda na szerszy niż stamtąd - zauważył.

- Tak. I wyższy. Zaczekaj. Jeśli się tu poślizgniemy, to czeka nas długa droga w dół.

Black przyspieszył kroku, zbliżając się do występu skalnego, który wystawał ze zbocza prawie na wysokość człowieka. Powierzchnia urwiska pokryta była licznymi żłobieniami.

Black skoczył.

Jego tylne kopyta uderzyły w wypukłość znajdującą się na wysokości pasa; gołą fałdę lodowej skały biegnącej poziomo poniżej krawędzi. Siłą rozpędu przeleciał nad nią. Pękła i spadła w dół, ale jego przednie nogi były już na występie, a tylne prostowały się po skoku. Wgramolił się na górę i odzyskał równowagę.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

- Tak - odpowiedział Dilvish.

Jednocześnie odwrócili głowy i spojrzeli w dół, tam, gdzie wiatry przepędzały białe fale, niczym chmury dymu po błyszczącej drodze. Dilvish wyciągnął rękę i poklepał Blacka po

ramieniu.

- Dobra robota - powiedział. - Tu i tam byłem lekko przerażony.

- Myślisz, że ty jeden?

- Nie. Czy uda nam się tędy wrócić? Black skinął głową.

- Będziemy musieli poruszać się znacznie wolniej. Być może będziesz musiał iść obok mnie, trzymając się boku. Zobaczymy. Wydaje się, że ten występ ciągnie się nieco dalej. Zbadam go, kiedy ty wypełniać będziesz swoje zadanie. Może droga w dół jest lepsza. Tu łatwiej będzie to stwierdzić.

- Dobrze - zgodził się Dilvish zsiadając na ziemię, tuż przy urwisku.

Zdjął rękawice, potarł dłonie, pochuchał na nie i na chwilę wsunął je pod pachy.

- Czy wybrałeś już miejsce do wspinaczki?

- Tam z lewej strony - Dilvish wskazał ręką. - Ta szczelina wiedzie ku górze i po obu stronach jest nieregularna.

- To chyba dobry wybór. Jak się tam dostaniesz?

- Wspinaczkę rozpocznę tutaj. Te występy skalne wyglądają całkiem dobrze. Do szczeliny dotrę przy tej pierwszej dużej wyrwie.

Dilvish odpiął pas z mieczem i przewiesił go sobie przez plecy. Ponownie roztarł dłonie i naciągnął rękawice.

- Jestem gotowy do drogi - rzekł. - Dziękuję, Black. Do zobaczenia.

- Całe szczęście, że masz na sobie buty Elfów - odpowiedział Black. - Jeśli się poślizgniesz i tak wylądujesz na obie nogi.

Dilvish odsapnął i chwycił się pierwszego uchwytu.

W kącie długiej, podziemnej izby, na małym stolku siedziała starucha odziana w czarną suknię i zielony szal. W dwóch ściennych otworach płonęły i dymiły pochodnie, topiąc kawałki lodowej pokrywy na ścianach i suficie. U jej stóp, na kamiennej posadzce usłanej słomą, paliła się oliwna lampka. Nuciała coś do siebie, pieszcząc jeden z bochenków chleba, które nosiła w szalu.

Przed nią widniało troje ciężkich, drewnianych drzwi okolonych pasami z zardzewiałego metalu, a po ich środku umieszczone były małe, okratowane okienka. Z środkowych dobiegały nikłe odgłosy ruchu, ale ona nie zwracała na nie uwagi. Woda kapiąca z nieregularnego sufitu nad pochodniami uformowała małe kałuże, które rozlały się po słomie, zatracając dawne kształty. Dźwięk kapania wtórował jej zawodzeniu.

- ...Moje maleństwa, moje śliczności - śpiewała. - Chodźcie do Meg. Chodźcie do Mamy Meg.

W ciemnym rogu obok drzwi po lewej stronie rozległ się w słomie odgłos szybkich kroczków. W pośpiechu ułamała kawałek chleba i rzuciła go w tym kierunku. Znowu coś

zaszeleściło i poruszyło się. Pokiwała głową, przechyliła się na stołku, a na jej twarzy pojawił się uśmiech.

Zza środkowych drzwi dobiegł cichy jęk. Na moment podniosła głowę, ale jęk się nie powtórzył.

Rzuciła w kąt następny kawałek chleba. Odgłosy, które nastąpiły, były bardziej gwałtowne i wyraźniejsze. Słoma unosiła się i opadała. Rzuciła kolejny kawałek, wydeła usta i wydała swiergocący dźwięk.

Rzuciła więcej.

- ...Moje maleństwa - zanuciła, a wokół niej zebrał się ponad tuzin szczurów. Rzuciły się na chleb, rozdzierały go na kawałki i połykały. Z ciemności wyszło ich jeszcze więcej i dołączając do reszty, rozpoczęły walkę o pożywienie. Częstotliwość pisków narastała, aż stopniowo przerodziły się one w chór.

Zachichotała. Rzuciła więcej chleba. Teraz walczyło o niego trzydzieści albo czterdzieści szczurów.

Zza środkowych drzwi dochodził szczeł łańcuchów i kolejne jęki. Jednak ona pochłonięta była swoimi maleństwami.

Pochyliła się do przodu i przesunęła lampkę pod ścianę po prawej stronie. Przełamała kolejny bochenek i rozsypała jego okruchy na podłodze, tuż przy stopach. Małe ciała zaszeleściły w słomie. Pisk stawał się coraz głośniejszy.

Zabręczały łańcuchy, dolatujący jęk przybrał na sile. Coś poruszyło się w celi i runęło z trzaskiem na drzwi. Łomot powtórzył się, a kolejny jęk zagłuszył piski szczurów.

Obróciła głowę i zmarszczyła brwi.

Następne uderzenie w drzwi było jednym wielkim łoskotem. Przez chwilę wydawało się, że przez kraty spogląda jakieś wielkie oko.

Jęk powtórzył się, a tym razem zabrzmiał jak słowa.

- ...Meg! Meg...

Uniosła się ze stołka i wbiła wzrok w drzwi celi. Następne uderzenie - jak dotąd najgłośniejsze - zatrzęsło nimi potężnie. Szczury ocierały się o jej nogi, stając na tylnych łapach, tańcząc. Wyciągnęła dłoń, by pogłaskać jednego, drugiego... Karmiła je z ręki.

Jęki dochodzące z celi narastały, układając się w przedziwne kombinacje.

- ...Mmmmmegg... Mmeg - dobiegał z za drzwi głos.

Raz jeszcze uniosła głowę i spojrzała w tym kierunku. Poruszyła się, jakby chciała wstać.

Właśnie wtedy jeden ze szczurów wskoczył jej na kolana. Drugi wdrapał się po plecach i usadowił się na prawym ramieniu.

- Śliczności moje... - szepnęła, pocierając jednego policzkiem i głaszcząc drugiego. -

Śliczne...

Rozległ się stukot pękającego łańcucha, po nim nastąpiło niesamowite walnięcie w drzwi. Nie zwróciła jednak na to uwagi, gdyż jej małenstwa właśnie tańczyły i dokazywały...

* * *

Reena wyciągała z szafy suknię za suknią. Pokój jej pełen był sukien, płaszczy, rękawiczek i kapeluszy, pelerynek i butów, bielizny i mitenek. Leżały w nieładzie na łóżku, wszystkich krzesłach i dwóch ławach pod ścianą.

Kręcąc głową, zrobiła jedno okrążenie przeglądając wszystko po kolei. Przy drugim okrążeniu wyciągnęła suknię ze stosu i przewiesiła ją przez lewe ramię. Następnie zdjęła z haka ciężką, futrzaną pelerynę. Obie rzeczy wręczyła wysokiemu, blademu mężczyźnie, który w milczeniu stał przy drzwiach. Jego mocno pomarszczona twarz przypominała twarz człowieka, który podawał je kolację; puste, bez wyrazu oczy.

Wziął od niej ubrania i zaczął je składać. Podała mu drugą suknię, kapelusz, pończochy i bieliznę. Rękawiczki... Przyjął od niej dwa ciężkie koce, które zdjęła z półki. Więcej pończoch... Włożył wszystko do wełnianego worka.

- Przynies to - i jeden pusty - powiedziała kierując się ku drzwiom.

Przeszła przez korytarz i zeszła schodami w dół. Sługa podążył za nią, trzymając jeden worek z przodu, przy szyi. Drugi, złożony, trzymał pod ręką, która sztywno zwisała u jego boku.

Reena minęła korytarze i dotarła do wielkiej, opuszczonej kuchni, w której pod paleniskiem wciąż tlił się ogień. W kominie świszczwał wiatr.

Przeszła obok potężnego pniaka i skręciła w lewo, do spiżarni. Przejrzała półki, skrzynie i szafki, zatrzymując się jedynie po to, by schrupać ciasteczko.

- Podaj mi tę torbę - rzekła. - Nie, nie tę. Pustą.

Rozwinęła ją i zaczęła ją napełniać suszonym mięsem, serem, butelkami wina, bochnami chleba. Przystanęła, rozejrzała się wokół i dorzuciła woreczek herbaty, torbę cukru. Włożyła też mały dzbanek i naczynia.

- Ten też zabierz - poleciła w końcu, wychodząc ze spiżarni.

Szła teraz ostrożniej, za nią stapał cicho sługa, trzymając torby w obu rękach.

Zatrzymała się i nasłuchiwała odgłosów dobiegających z rogów i klatki schodowej. Jedyne co usłyszała, to wrzaski z oddali.

W końcu dotarła do długich, wąskich schodów prowadzących w dół i ginących w mroku.

- Czekaj - odezwała się cicho. Podniosła dłonie, złożyła je przy twarzy i delikatnie nań dmuchając, czekała.

Między dłońmi pojawiła się nikła iskierka, zniknęła i znów się pojawiła, kiedy Reena przemówiła do niej łagodnie.

Rozwarła dłonie wciąż poruszając ustami. Małe światełko zawisło tuż przed nią. Powiększało się, a jego blask stawał się coraz mocniejszy. Miało białobłękitny kolor i jasność równą światłu kilkunastu świec.

Wypowiedziała ostatnie słowo, a światełko poruszyło się, płynąc przed nią, gdy schodziła po schodach. Podążała za nim. Za nią szedł sługa.

Schodzili dość długo. Schody miały kształt spirali; wydawało się, że nie mają końca. Prowadziło ich światło. Ściany stawały się wilgotne; zimno, coraz zimniej, w dole pokrywała je wspaniała patyna oszronionych wzorów. Otuliła się szczelniej płaszczem. Mijały minuty.

W końcu dotarli na sam dół. W czarnej czeluści nie było widać odległych ścian. Skręciła w lewo, a światełko ustawiło się przed nią.

Przeszli przez długi korytarz, który łagodnie opadał w dół. Po pewnym czasie znaleźli następne schody, a było to w miejscu, gdzie ściany rozszerzały się z jednej strony, a skalny sufit utrzymywał swój poziom, aby zniknąć z widoku, kiedy schodzili w dół.

Nie sposób było dostrzec rozmiarów komnaty, do której weszli. Bardziej przypominała jaskinię niż komnatę. Podłoga pełna była załamania i niezwykle zimna.

Jeszcze bardziej wtuliła się w płaszcz i ukryła pod nim dłonie. Przeszła przez salę, kierując się w prawo, na skos.

Oczom jej ukazały się wielkie sianie w kształcie pudełka. Z ich lewej płozy zwisał pokryty woskiem strzęp materii. Sianie stały przy ścianie u wylotu tunelu, w którym hulał lodowaty wiatr. Światełko ustawiło się nad nimi.

Reena przystanęła i odwróciła się do sługi.

- Połóż je tam - nakazała wyciągając rękę - z przodu.

Westchnęła, a następnie pochyliła się do przodu, by przykryć wszystko białym futrem, które leżało złożone na siedzeniu.

- W porządku - rzekła odwracając się. - Teraz musimy wracać.

Wskazała kierunek z którego przyszli, a światełko podążyło za jej palcem.

W okrągłej sali, na szczycie najwyższej wieży, Ridley przewracał strony w jednej z wielkich ksiąg. Nad posmołowanym dachem wyl wiatr niczym zjawą zwiastująca śmierć. Od czasu do czasu dach gwałt się pod jego naciskiem. Chwiała się lekko cała wieża.

Ridley mruzczał coś cicho do siebie, dotykając palcami skórzanej okładki i przeglądając kremowe kartki. Nie miał już na sobie łańcucha z pierścieniem. Łańcuch leżał na wierzchu małej komody stojącej przy ścianie obok drzwi. Nad nią wisiało wysokie, wąskie lustro, w którym się odbijał. Pierścień rzucał nań blady blask.

Mrucząc wciąż przewrócił jedną stronę, potem jeszcze jedną i przerwał. Zamknął na

moment oczy, odwrócił się, zostawiając księgę na pulpicie. Przeszedł na środek pokoju i stał tam przez chwilę, w centrum czerwonego diagramu wyrysowanego na posadzce. Nie przestawał mrużyć.

Odwrócił się nagle i podszedł do komody. Sięgnął po łańcuch i pierścień. Odpiął łańcuch i zdjął z niego pierścień.

Trzymając pierścień między kciukiem a palcem wskazującym prawej dłoni, wyciągnął lewy palec wskazujący i szybko wsunął na niego klejnot. Zdjął go prawie natychmiast i wciągnął głęboko powietrze. Ujrzał swe odbicie w zwierciadle. Szybko nałożył pierścień ponownie, wytrzymał kilka chwil i ściągnął go znacznie wolniej.

Obrócił go i przyjrzał mu się dokładnie. Zdawało się, że kamień świeci teraz nieco jaśniej. Po raz kolejny nasunął pierścień na palec, zdjął go, zrobił przerwę, nasunął go ponownie, zdjął, nałożył, odczekał, zdjął, nałożył, zrobił dłuższą przerwę, zsunął wolno, nasunął...

Gdyby spojrział wtedy w lustro, zauważyłby, iż każdy ruch pierścieniem powodował zmianę w wyrazie jego twarzy. Przedstawiała ona całą gamę odczuć, od zmieszania do przyjemności, od strachu po satysfakcję.

Zdjął klejnot z palca i położył go na wierzchu komody. Potarł palec, popatrzył na swe odbicie w zwierciadle, a następnie przeniósł wzrok na klejnot, podziwiając jego głębię. Obliznął wargi.

Odwrócił się, przeszedł kilka kroków po malowidle i stanął. Ponownie spojrzął na pierścień. Cofnął się, podniósł go i zważył w prawej dłoni. Znow wsunął go na palec i stał tam przez chwilę ściskając go mocno palcami drugiej ręki. Zacisnął zęby i zmarszczył brwi.

Kiedy tak stał, lustro okryło się parą i zaczęło pokazywać nowy obraz. Skąły i śnieg... Jakiś ruch... Człowiek... Człowiek przedzierający się przez śnieg... Nie. Dłonie mężczyzny znalazły punkt oparcia. Podciągnął się do góry, a nie do przodu! Wspiął się, a nie przedierał przez śnieg.

Obraz stał się bardziej wyraźny.

Kiedy mężczyzna podciągnął się wyżej i znalazł oparcie dla stóp, Ridley zauważył, że miał na nogach zielone buty. Nagle...

Rzucił polecenie. Poleciał lustru przedstawić ujęcie z dołu. Mężczyzna był teraz mniejszy, a urwisko szersze i wyższe. Nad wspinającym się rozpościerał się zamek, jego zamek; widać było światło wydobywające się przez okno jego pokoju w wieży!

Przeklinając zdarł pierścień z palca. Obraz zatarł się gwałtownie, a w lustrze pojawiła się jego wściekła twarz.

- Nie! - krzyknął. Podszedł dużymi krokami do drzwi i odryglował je. - Nie!

Otworzył je gwałtownie i pognął w dół krętymi schodami.

Dilvish odpoczywał przez chwilę, plecami i nogami opierał się o skalisty komin. Trzymając rękawice na kolanach chuchał w dłonie i rozcierał je. Komin kończył się tuż nad jego głową. Potem nie liczył już na żaden odpoczynek, aż do chwili dotarcia na sam szczyt. Co czekało go na górze - ktoś to wiedział?

Spadło na niego kilka płatków śniegu. Zbadał dokładnie ciemne niebo obawiając się powrotu latającego stworka, ale niczego nie ujrzał. Trwogą napawała go myśl, że potwór mógłby dopaść go w tym trudnym do obrony miejscu.

Wciąż pocierał dłonie, aż go zapiekły i poczuł powracającą falę gorąca. Następnie wdział rękawice, odchylił jak najdalej głowę i spojrzał w górę.

Przebył już ponad dwie trzecie drogi po pionowej ścianie. Znalazł kolejne punkty oparcia. Wsłuchał się w bicie serca, które teraz pracowało normalnie. Ostrożnie i powoli przeciągnął się i rozpoczął wspinaczkę.

Podciągnął się ku górze. Minał komin, natrafił na oparcie w kamiennej ścianie i zrobił kolejny ruch do góry. Nogi natrafiły na jakiś występ, podciągnął się na jednej ręce. Zastanowił się, czy Black znalazł jakieś dobre zejście w dół. Pomyślał o swojej ostatniej strawie, zimnej i suchej, prawie przymarzającej do języka. Wróciły wspomnienia doskonałego wiktury z dawnych czasów. Poczul, jak ślina napływa mu do ust.

Dotarł do skały pokrytej lodem, ale ominął ją bez trudu. Od dłuższego czasu miał dziwne uczucie, że ktoś go obserwuje. Pospiesznie zerknął na niebo, ale stwora nigdzie nie było.

Wciągając się na grube, skaliste wybrzuszenie uśmiechnął się, gdyż zobaczył, że ściana biegnie teraz ukosem. Oparł się nogami o skałę i kontynuował wspinaczkę.

Poruszał się teraz znacznie szybciej, a oczom jego ukazała się ostra grań, która mogła być szczytem. Zbocze stawało się coraz bardziej spadziste, poruszał się więc na czworakach, zważając na każdy ruch.

Podciągał się coraz szybciej, przykucnął nisko w miejscu, gdzie zbocze stawało się łagodniejsze. Zbliżając się do miejsca, które wziął za szczyt, zwolnił i położył się płasko na krawędzi. Nasłuchiwał przez jakiś czas, ale dobiegały go jedynie odgłosy wiatru.

Trzymając rękawice w zębach, ostrożnie ściągnął z ramienia swój pas z mieczem. Rozpiął go i położył na ziemi. Poprawił ubranie i zawiesił pas na biodrach.

Ruszył wolno w kierunku krawędzi. Kiedy podniósł głowę, zobaczył jaśniejącą biel zamku, który niczym cukrowe cacko wznosił się nie opodal.

Przyglądał mu się przez kilka minut. Dokoła wirował śnieg. Poszukał wzrokiem bocznych drzwi, niskiego okna, jakiegoś tylnego wejścia...

Kiedy doszedł do wniosku, że znalazł to, czego szukał, wciągnął się na krawędź i rozpoczął swój marsz.

Meg śpiewała tańczącym szczurom. Migotały pochodnie. Wilgotniały ściany. Drażniła zwierzątka okruciami chleba. Głaskała je, drapała, śmiejąc się po cichu.

Kolejny cios wstrząsnął drzwiami. Tym razem pękł kawałek drzewa przy zawiasach.

- Mmeg... Mmeg!... - rozległ się głos, a za kratami pojawiło się wielkie oko.

Spojrzała w górę, napotykając wilgotny, błękitny wzrok. Na jej twarzy zawitało zmartwienie.

- Tak?... - odezwała się cicho.

- Meg!

Kolejne uderzenie. Drzwi zadrżały. Na całej ich długości pojawiły się szczeliny.

- Meg!

- Kolejny łomot. Drzwi zaskrzypiały i wysunęły się poza framugę, szczeliny stały się jeszcze większe.

Potrząsnęła głową.

- Tak? - powiedziała nieco głośniejszym głosem, lekko podniecona.

Szczury zeskakiwały z jej kolan, ramion, biegając jak oszalałe po słomie.

Następne uderzenie wyrwało drzwi z zawiasów, uchylając je na szerokość stopy. Na ich brzegu ukazała się wielka, trupiobiała łapa zakończona szponami. Łańcuch zwisający z kajdanów zaciśniętych na nadgarstku uderzał o ścianę, o drzwi...

- Meg?

Podniosła się wysypując z szala resztki chleba. Czarna trąba powietrzna złożona z futrzanych ciał zawirowała wokół nich, a pisk zagłuszył jej odpowiedź. Ruszyła w kierunku drzwi.

Były już całkowicie wypchnięte z zawiasów. Zza nich wyglądała gigantyczna, łysa głowa z opadającą marchewką zamiast nosa. Szyja była tak gruba, iż wydawało się, że sięga na szerokość ramion. Ramiona postaci przypominały swą wielkością uda dorosłego mężczyzny, skóra albinosa pokryta była plamami tłuszczu. Odepchnął na bok drzwi i pojawił się w całej okazałości; pochylony pod nienaturalnym kątem, z głową wysuniętą do przodu, ruszył na słupki nogach. Miał na sobie strzępy koszuli i podziurawioną parę bryczesów, które podobnie jak i ich właściciel, straciły dawną barwę. Utkwił w Meg swe niebieskie oczy, które w świetle pochodni zachodziły łzami.

- Mack?... - szepnęła.

- Meg?...

- Mack!

- Meg!

Pospieszyła, by objąć ćwierć tony śnieżnych mięśni, a gdy delikatnie przycisnął ją do siebie, w jej oczach zabłyśły łzy. Mruczeli coś cicho do siebie.

W końcu objęła jego potężne ramię swą małą ręką.

- Chodź. Chodź, Mack - rzekła. - Jedzenie. Ciepło. Będziesz wolny. Chodź.

Poprowadziła go do wyjścia, zapominając o swych ulubieńcach.

Służący o pergaminowej skórze, na którego nikt nie zwraca teraz uwagi, poruszał się cicho

po komnatach Reeny, zbierając porozrzucane stroje i układając je na półkach i w szafie.

Reena siedziała przy toalecie szczotkując włosy. Kiedy służący doprowadził pokój do porządku, podszedł i stanął obok niej. Podniosła wzrok i rozejrzała się wokół.

- Świetnie - mruknęła. - Nie jesteś mi już potrzebny. Możesz wracać do swej trumny.

Postać w czarnej liberii odwróciła się i opuściła pokój.

Reena podniosła się i sięgnęła po miskę stojącą pod łóżkiem. Postawiła ją na stojaku i dołała wody z niebieskiego dzbana. Wróciła do serwantki, wzięła jedną ze świec i postawiła ją po lewej stronie miski. Następnie pochyliła się nad nią i spojrzała na wilgotną taflę.

Pojawiły się na niej jakieś obrazy... Zlewały się w całość, rozpadały się, przemieszczały się...

Mężczyzna zbliżał się do szczytu. Zadrżała lekko, gdy zobaczyła, jak stanął, by zdjąć miecz i przypiąć go u boku. Patrzyła, jak wspinał się coraz wyżej, na sam czubek góry. Widziała, jak przez chwilę badał wzrokiem zamek. Podciągnął się wyżej i ruszył przez śnieg... Dokąd? Gdzie zamierzał szukać wejścia?

...Na północ. W kierunku okien zaciemnionej spiżarni z tyłu zamku. Ależ tak! Tam śnieg uformował najwyższe i najtwardsze zaspę. Z łatwością mógł wspiąć się na okapnik. Będzie potrzebował jedynie kilku chwil, by wybić otwór koło klamki używając rękojeści miecza, włożyć rękę i otworzyć okno. Kilka długich minut spędził na rozbijaniu szronu na ościeżnicy. Więcej czasu pochłonie mu samo otwieranie. Potem będzie musiał znaleźć spojenie okiennic, wcisnąć między nie ostrze, podnieść je, przekręcić klamkę... Potem zgubi się w ciemnym pokoju pozostawionym w strasznym nieładzie. I jeszcze parę minut na pertraktacje...

Lekko dmuchnęła w taflę wody. Obraz znikł pośród drobnych fal. Podniosła świecę i odniosła ją na toaletkę. Miskę wsunęła pod łóżko.

Siadła przed lustrem, wzięła w ręce małą szczoteczkę, niewielkie metalowe pudełeczko i zaczęła malować usta.

Ridley obudził jednego ze służących i zaprowadził go na górę. Przeszli korytarzem i dotarli do pokoju, z którego dobiegały krzyki. Stojąc pod drzwiami wyszukał właściwy klucz i przekręcił go w zamku.

- Nareszcie! - odezwał się głos. - Proszę! Teraz...

- Zamilcz! - odpowiedział i odwrócił się. Wziął służącego pod ramię i obracając w kierunku otwartych drzwi, wepchnął go do ciemnego pokoju po drugiej stronie korytarza.

- Stój z boku - nakazał. - Tam. Poprowadził go dalej.

- Tam nikt cię nie zobaczy, nikt, kto będzie tedy przechodził, ale ty będziesz mógł go obserwować. Weź ten klucz i słuchaj uważnie. Jeśli ktokolwiek pojawi się tu, by sprawdzić te wrzaski, musisz być gotów. Jak tylko zaczniesz otwierać drzwi, zajdź go cicho od tyłu, ogłusz i wepchnij do środka - z całej siły. Potem szybko zamknij drzwi i przekręć klucz. Wtedy już możesz wracać do swej trumny.

Ridley zostawił go i ruszył korytarzem. Tam zawahał się przez moment i majestatycznym krokiem udał się do komnaty jadalnej.

- Nadszedł czas - powitała go twarz w lustrze, gdy wchodził.

Podszedł i spojrział na srogie oblicze. Wziął w dłoń pierścień i nasunął na palec.

- Milcz! - powiedział. - Spełniłeś swoją misję. Znikaj!

Twarz zniknęła, kiedy tylko usta przygotowywały się do wypowiedzenia znajomych słów. Teraz Ridley mógł ujrzeć swe niewyraźne odbicie otoczone bogato zdobioną ramą.

Na moment uśmiechnął się; po chwili twarz jego spoważniała. Zmrużył oczy, jego odbicie poruszyło się. Lustro zaparowało, potem odzyskało dawną przejrzystość. Ujrzał mężczyznę w zielonych butach, stojącego na krawędzi okna i odłupującego kawałki lodu...

Zakręcił pierścieniem. Zagryzając usta obracał go dookoła palca. Nagle jednym szarpnięciem ściągnął pierścień i głęboko westchnął. Na jego twarz odbita w zwierciadle powrócił uśmiech.

Obrócił się na pięcie i przeszedł przez komnatę, mijając po drodze zapadnię i drzwi zapadowe. Ruszył w dół po drabinie, a potem, korzystając ze wszystkich znajomych skrótów, pobiegł w kierunku pokoju służby.

Rozwierając okiennice, Dilvish wśliznął się do pokoju. Nikłe światelko dochodzące z okna za jego plecami oświetlało panujący tu straszny bałagan. Zatrzymał się na parę chwil, by zapamiętać jego układ, a następnie odwrócił się i przymknął okno. Silnie oszronione szyby blokowały dostęp światła, ale nie chciał ryzykować wpadki przez zdradziecki przeciąg.

Z mapą w głowie poruszał się bezszelestnie. Schował swój długi miecz do pochwy, a w dłoniach trzymał jedynie sztylet. Zanim dotarł do drzwi, potknął się tylko raz - o wystającą nogę od krzesła. Jednak poruszał się tak wolno, że nie spowodował żadnego hałasu.

Lekko otworzył drzwi, spojrział w prawo. Korytarz, mrok...

Zrobił krok naprzód i zerknął w lewo. Stamtąd dobiegało światło. Ruszył w jego kierunku. Po kilku krokach zorientował się, że dochodzi z prawej strony - albo z bocznego korytarzyka, albo z otwartego pokoju.

Powietrze stawało się coraz cieplejsze; było to najprzyjemniejsze uczucie, jakiego doznał w ostatnich tygodniach. Zatrzymał się, by wsłuchać się w niepokojące odgłosy i porozkoszować się ciepłem. Minęło kilka chwil i zza rogu dotarł do niego cichutki brzęk. Podszedł bliżej i czekał. Dźwięk umilkł.

Opuścił nóż, posunął się kilka kroków do przodu i ujrzał drzwi do pokoju. W środku siedziała kobieta i czytała książkę. Na małym stoliku po jej prawej stronie stała szklanka z jakimś napojem. Rozejrzał się w obie strony i upewniwszy się, że jest sama, wszedł do pokoju.

- Nie próbuj krzyczeć - nakazał. Opuściła książkę i spojrzała na niego.

- Nie będę - odpowiedziała. - Kim jesteś? Zawahał się.

- Mów do mnie Dilvish - rzekł.

- Nazywam się Reena. Czego chcesz? Opuścił lekko ostrze.

- Przybyłem tu, aby zabić. Nic ci się nie stanie, jeśli nie będziesz mi przeszkadzać. Nie posłuchasz, zaszkożysz samej sobie. Co porabiasz w tym domostwie?

Zbladła. Badawczo przyjrzała się jego twarzy.

- Jestem... więźniem - odpowiedziała.

- Dlaczego?

- Zablockowana jest droga odwrotu. Nie można się też tutaj dostać.

- Jak?

- To był wypadek... coś w rodzaju wypadku. Nie przypuszczani jednak, abyś mi uwierzył.

- Dlaczego nie? Wypadki się zdarzają. Rzuciła mu zdziwione spojrzenie.

- To cię tu sprowadziło, prawda? Wolno potrząsnął głową.

- Chyba cię nie rozumiem.

- Kiedy odkrył, że lustro nie przenosi go już do tego miejsca, wysłał cię, byś zabił tego, kto jest za to odpowiedzialny. Czy mam rację?

- Nikt mnie tu nie przysłał - odparł Dilvish. - 'Przybyłem tu z własnej woli i potrzeby.

- Teraz ja cię nie rozumiem - zdziwiła się Reena. - Powiedziałeś, że przybyłeś tu, by zabić, a Ridley oczekuje kogoś, kto ma go pozbawić życia. Oczywiście...

- Kim jest Ridley?

- To mój brat, uczeń czarownika doglądający tego miejsca.

- Twój brat jest uczniem Jeleraka?

- Błagam! To imię!

- Męczy mnie wyszeptywanie go! Jelerak! Jelerak! Jelerak! Jeśli mnie słyszysz, Jeleraku, przybądź tu! Jestem gotów! Skończmy z tym raz na zawsze! - krzyknął.

Milczeli przez parę chwil, oczekując odpowiedzi lub jakiegoś znaku. Nic się nie wydarzyło. W końcu Reena chrząknęła.

- Wiesz zatem spór z mistrzem, a nie z jego uczniem?

- Zgadza się. Sztuczki twego brata nic dla mnie nie znaczą, o ile oczywiście nie przeszkodzą mi w realizacji moich własnych celów. Być może mimowolnie już mi pokrzyżował szyki, zagroził mojemu wrogowi dostęp do tego miejsca. Ale nie jest to powód do zemsty. Co to za przenoszące lustro, o którym wspomniałaś? Czy stłukł je?

- Nie - padła odpowiedź - fizycznie pozostało nietknięte. Choć mógłby je zbić. Udało mu się w jakiś sposób zawiesić jego zdolność przenoszenia. To lustro jest niczym brama używana przez mistrza. Wykorzystywał je, by tu przybywać - a stąd mógł wyruszać do swych pozostałych twierdz oraz do innych miejsc. Ridley zablokował je, gdy... nie był sobą.

- Może spróbujemy go przekonać, aby je odblokował. Wtedy Jelerak przybędzie, by poznać przyczynę kłopotów. A ja będę na niego czekał.

Potrząsnęła głową.

- To nie takie łatwe - powiedziała. - Nie jest ci chyba wygodnie w tej bojowej pozycji, którą przybrałeś. Ja też czuję się niezręcznie patrząc na ciebie. Dlaczego nie siądziesz? Może kieliszek wina?

Dilvish zerknął przez ramię.

- Nie obraż się - odrzekł - ale wolę postać.

Schował jednak sztylet i podszedł do serwantki, na której stała otwarta butelka i kilka kielichów.

- Czy ty pijesz?

Uśmiechnęła się i wstała. Przeszła przez pokój i stanęła obok niego. Uniosła butelkę i napełniła dwa kielichy.

- Podaj mi jeden, sir.

Podniósł kielich i podał jej z wytwornym ukłonem. Ich oczy spotkały się, gdy piła.

Trzymając swój kielich powąchał wino i pociągnął łyk.

- Bardzo smaczne.

- Z zapasów mojego brata - powiedziała. - On lubi najlepsze.

- Powiedz mi coś o swoim bracie. Odwróciła się częściowo i oparła o serwantkę.

- Na ucznia wybrano go z grona wielu kandydatów - zaczęła - gdyż posiadał wspaniałe, naturalne zdolności w tym kierunku. Czy wiesz, że na wyższym poziomie magia wymaga przyjęcia sztucznie stworzonej osobowości, starannie wyszkolonej, zdyscyplinowanej, noszonej jak rękawiczka podczas jej stosowania?

- Tak - padła odpowiedź. Spojrzała na niego z ukosa i ciągnęła:

- Lecz Ridley był zawsze inny od pozostałych. Różnił się tym, że zawsze posiadał dwie osobowości. W zasadzie jest uprzejmy, dowcipny, interesujący. Czasami jednak zwycięża jego druga natura i wtedy staje się przeciwieństwem tej pierwszej: okrutny, porywczy, przebiegły. Kiedy zaczął pracować nad magią wyższego stopnia, jego drugie "ja" zmieszało się z jego osobowością magiczną. Pojawiało się zawsze wtedy, gdy musiał przyjąć niezbędne postawy psychiczne i emocjonalne, konieczne w trakcie czarów. Był na dobrej drodze, by zostać świetnym czarownikiem, ale kiedy tylko pracował, zawsze się w coś przemieniał, w coś

nieprawdopodobnego. Nie byłoby to zbyt wielką przeszkodą, gdyby mógł powrócić do swej pierwotnej postaci równie łatwo, jak się zmieniał, za pomocą pierścienia, który w tym celu wykonał. Po jakimś czasie to drugie "ja" zaczęło przeciwstawiać się powrotom do stanu pierwotnego. Ridley uwierzył, że ta druga natura pragnie objąć nad nim władzę.

- Słyszałem o takich ludziach, którzy mają więcej niż jedną naturę i charakter - odezwał się Dilvish. - Co się w końcu stało? Która strona zatriumfowała?

- Walka wciąż trwa. Teraz dominuje jego lepsze "ja". Ale boi się stanąć w obliczu tego drugiego, który stał się jego osobistym demonem.

Dilvish pokiwał głową i dokończył picia wina. Wskazała na butelkę. Ponownie napelnił swój kielich.

- Zatem kiedy blokował czarodziejską moc lustra - stwierdził Dilvish - kontrolę sprawowało drugie "ja".

- Tak, ten drugi lubi zostawiać go z niedokończonym zadaniem, aby musiał wezwać go powtórnie...

- Ale kiedy był tym drugim - czy powiedział, dlaczego zrobił z lustrem to, co zrobił? To wygląda na coś więcej niż część walki psychologicznej. Na pewno zdawał sobie sprawę, iż naraża, się na poważne kłopoty z zewnątrz.

- Wiedział, co robi - odrzekła. - Ten drugi jest nie zwykłym egoistą. Uważa, że jest w stanie spotkać się z samym mistrzem w walce o władzę. Zniekształcone lustro miało być wyzwaniem. Wtedy powiedział mi, iż miało rozwiązać dwie sprawy za jednym zamachem.

- Chyba potrafię zgadnąć, czego dotyczyła ta druga - bąknął Dilvish.

- Tak - odparła. - Ten drugi jest przekonany, że wygrywając taki pojedynek, sam stanie się osobowością dominującą.

- Co o tym myślisz?

Przeszła kilka kroków przez komnatę i odpowiedziała:

- Być może... ale nie wierzę, by wygrał.

Dilvish opróżnił kielich i odstawił go. Następnie skrzyżował ręce na piersiach.

- Czy jest jakaś możliwość, by Ridley zdobył kontrolę nad tym drugim "ja", zanim dojdzie do konfliktu?

- Nie wiem. Próbuje, ale ten drugi go przeraża.

- Ale gdyby zwyciężył? Czy uważasz, że to zwiększyłoby jego szansę?

- Kto to wie? Z pewnością nie ja. To wszystko doprowadza mnie do nudności. Nienawidzę tego miejsca! Chciałabym znaleźć się tam, gdzie jest gorąco, w Tooma lub w Ankyrze!

- A co byś tam robiła?

- Chciałabym zostać najlepiej opłacaną kurtyzaną w mieście, a gdyby mi się to znudziło, być może wyszłabym za jakiegoś szlachcica. Pragnę życia w lenistwie, luksusie i ciepłe, a z dala od potyczek między adeptami!

Wlepiała wzrok w Dilvisha.

- Masz w sobie krew Elfów, prawda?

- Tak.

- Wydaje się, że wiesz sporo o tych sprawach. Z pewnością na spotkanie z mistrzem przyniosłeś coś więcej niż sam miecz.

Dilvish uśmiechnął się.

- Mam dla niego podarunek z Piekła.

- Czy jesteś czarownikiem?

- Moja wiedza o tych sprawach jest dość specyficzna. Czemu pytasz?

- Pomyślałam, że jeśli jesteś wystarczająco dobry, by zfeperować zwierciadło, mogłabym użyć go do ucieczki i usunąć się wszystkim z drogi.

Dilvish potrząsnął głową.

- Magiczne lustro to nie moja specjalność. A szkoda. Zmartwił mnie fakt, że przebyłem tak długą drogę w poszukiwaniu wroga, a potem dowiedziałem się, że zamknięto mi drogę do zamku.

Reena wybuchnęła śmiechem.

- Chyba nie przypuszczasz, że coś takiego może go powstrzymać?

Dilvish spojrzał w górę, opuścił ramiona i rozejrzał się.

- Co masz na myśli?

- Prawdą jest, że ten, którego szukasz, będzie miał kłopoty przez taki stan rzeczy. Ale nie jest to przeszkoda, której nie da się pokonać. Po prostu na ten czas odrzuci swe ciało.

Dilvish przeszedł kilka kroków.

- Więc co go powstrzymuje? - spytał.

- Na początku będzie musiał stworzyć sobie właściwą moc. Jeśli przybędzie w niematerialnej postaci, co ustawi go w nieco gorszej sytuacji, musi skumulować całą swą moc.

Dilvish odwrócił się na pięcie i spojrzał jej w oczy.

- Nie podoba mi się to wszystko - odezwał się. - W końcu chcę czegoś, co można ściąć. A nie jakieś bezcielesne widmo! Jak myślisz, długo będzie tworzył tę moc? Kiedy tu przybędzie?

- Nie słyszę wibracji na tej płaszczyźnie. Nie wiem.

- Czy jest jakiś sposób, by zmusić twego brata do...

Ściana za Dilvishem rozsunała się i sługa o twarzy mumii uderzył Dilvisha maczugą w tył głowy. Słaniając się na nogach, Dilvish odwrócił się. Maczuga uniosła się w górę i padł kolejny cios. Runął na kolana, a następnie osunął się na ziemię.

Ridley pchnął służącego i wszedł do komnaty. Za nim wkroczył właściciel maczugi z drugim sługą.

- Bardzo dobrze, siostrzyczko. Bardzo dobrze - zauważył Ridley - że zatrzymałaś go tutaj do naszego przyjścia.

Ridley przyklęknął i wyciągnął długie ostrze z pochwy u boku Dilvisha. Rzucił je przed siebie. Obracając Dilvisha, wysunął sztylet z mniejszej pochwy i uniósł go.

- Ten też jest niebezpieczny - rzekł.

- Ty głupcze! - krzyknęła podchodząc i chwytając go za rękę. - Ten człowiek mógł być przyjacielem! Nie zależy mu na tobie! Pragnie zabić mistrza! Ma do niego osobisty uraz.

Ridley opuścił sztylet. Dziewczyna nadal trzymała go za rękę.

- I ty w to uwierzyłaś? - zdziwił się. - Jesteś tu zbyt długo. Pierwszy mężczyzna, jaki się tu pojawił, przekonał cię...

Uderzyła go w twarz.

- Nie masz prawa tak do mnie mówić! Nie wiedział nawet, kim jesteś! Mógł być pomocny! Teraz przestanie nam ufać!

Ridley obejrzał twarz Dilvisha. Wstał opuszczając rękę. Puścił sztylet i kopnął go mocno. Poluźniła ucisk na jego dłoni.

- Chcesz jego życia? - powiedział. - W porządku. Ale jeśli on nie może nam ufać, my nie możemy ufać mu także.

Zwrócił się do służących, którzy stali nieruchomo w tyle.

- Zabierzcie go - nakazał - i zrzucie do jamy, tam gdzie Mack.

- Powielasz swe błędy - powiedziała.

Jego oczy napotkały jej pełne wściekłości spojrzenie.

- Zmęczyły mnie twoje kpiny - odpowiedział. - Ofiarowałem ci jego życie. Nie zmieniaj niczego, zanim zmienię zdanie.

Służący pochylili się nad osłabionym Dilvishem i podnieśli z podłogi. Ponieśli go ku drzwiom.

- Bez względu na to, czy się myliłem co do niego, czy też nie - rzekł Ridley, dając ostatni znak sługom - atak i tak nadejdzie. Wiesz o tym. W takiej czy innej postaci. Muszę się przygotować i nie chcę, by mi przeszkadzano.

Odwrócił się z zamiarem odejścia. Reena zagryzła wargi.

- Jak blisko jesteś... kompromisu? Staął w miejscu, nie odwracając głowy.

- Bliżej niż myślałem - odparł. - Czuję teraz, że mam szansę na uzyskanie przewagi. I dlatego nie mogę pozwolić sobie na żadne ryzyko, nie zniosę dalszych przerw ani opóźnień. Wracam do wieży.

Ruszył do drzwi, przez które właśnie wyniesiono Dilvisha.

Reena pochyliła głowę.

- Powodzenia - powiedziała cicho.

Ridley opuścił majestatycznie komnatę.

Milczący słudzy nieśli Dilvisha słabo oświetlonym korytarzem. Kiedy dotarli do wgłębienia w ścianie, stanęli i położyli go na podłodze. Jeden z nich wszedł do niszy i podniósł drzwi zapadowe. Wracając do bezwładnego ciała, pomógł je podnieść. Spuścili go, stopami do przodu, w ciemny otwór, który się pojawił. Poleciał w dół i zniknął z widoku. Jeden z nich zatrzasnął drzwi. Ruszyli z powrotem korytarzem.

Dilvish czuł, że zjeżdża po pochyłej powierzchni. Przez moment oczyma wyobraźni ujrzał Blacka zsuwającego się ze wzgórza. Teraz on zsuwał się z Lodowej Wieży, a kiedy uderzył o coś twardego...

Otworzył oczy. Cierpiał na klaustrofobię. Pomknął przez mrok. Kiedy skręcał, poczuł obok siebie mur. Gdyby wyciągnął ręce, skóra zostałaby zdarta do żywego.

Rękawice! przecież wsadził je za pas...

Sięgnął po nie, wyciągnął i zaczął je naciągać. Pochylił się do przodu. Wydało mu się, że widzi przed sobą nikłe światełko. Wyciągnął w obie strony ręce i nogi. Prawa pięta, podobnie jak dłonie, natrafiły na przesuwającą się ścianę. Teraz lewa...

Pulsowały mu skronie. Wzmocnił nacisk na wszystkie cztery miejsca. Dłonie rozgrzały się od tarcia, ale powoli zwalniał. Pchnął jeszcze mocniej, zaparł się piętami. Zwalniał. Wykorzystał całą swą moc. Na rękawicach pojawiły się dziury. Lewa rozdarła się zupełnie. Dłoń zaczęła palić.

Szary kwadrat przed nim powiększył się. Zdał sobie sprawę, że nie będzie w stanie się zatrzymać, póki do niego nie dotrze. Nacisnął raz jeszcze. Poczul zapach zgniłej słomy, a w chwilę potem na niej wylądował.

Upadł na obie nogi, ale natychmiast osunął się na ziemię.

Piekący ból w lewej ręce powstrzymywał go przed zemdleniem. Wciągał głęboko cuchnące powietrze. Nadal był oszołomiony. Piekielnie bolała go potylicza. Nie mógł sobie przypomnieć, co się stało.

Leżał na ziemi z trudem chwytając powietrze, aż serce zwolniło swój rytm. Podłoga pod nim była zimna. Skrawek po skrawku, wracała mu pamięć...

Przypomniał sobie wspinaczkę na zamek, wejście... Kobieta o imieniu Reena... Rozmawiali...

Ogarnęła go wściekłość. Oszukała go. Przedłużała rozmowę, czekając na pomoc...

Ale jej opowieść była tak przemyślana, pełna niepotrzebnych szczegółów... Zastanowił się. Czy było to coś więcej niż pospolita zdrada?

Westchnął.

Nie mógł jeszcze myśleć. Gdzie był?

Ze słomy dobiegły go ciche głosy. Może to jakaś cela? Czy był tu jeszcze jakiś lokator?

Coś przebiegło mu po plecach.

Wyprostował się gwałtownie, ale poczuł, że znów upada. Przekręcił się na drugą stronę. W przyćmionym świetle ujrzał małe, ciemne kształty. Szczury.

To one. Zlustrował połowę celi. Nie dostrzegł niczego...

Przewracając się na drugi bok, zauważył wyłamane drzwi.

Usiadł, o wiele ostrożniej niż poprzednio. Potarł głowę i zmrużył oczy na widok światła. Szczur uciekł przestraszony nagłym ruchem.

Wstał i otrzepał ubranie. Poszukał swej broni i - nie zdziwił go jej brak.

Nachodziły go fale zawrotów głowy. Zbliżył się do wyłamanych drzwi, dotknął ich.

Opierając się o ościeżnicę zajrzał do środka ogromnej komnaty o oszronionych ścianach. Po obu ich stronach migotały pochodnie. Naprzeciw niego stały otwarte drzwi; poza nimi była tylko ciemność.

Przeszedł przez nie, rozglądając się wokół. Nie słyszał żadnych innych głosów prócz cichego pisku szczurów i kapiącej wody. Zerknął na pochodnie. Ta po lewej stronie była nieco większa. Podeszedł do niej i wyciągnął ją z uchwytu. Po chwili skierował się ku ciemnemu przejściu.

Kiedy tamtędy przechodził, zimny powiew wiatru wzniecił płomienie. Był teraz w drugiej komnacie, mniejszej od tej, którą właśnie opuścił. Przed sobą ujrzał schody. Podeszedł i zaczął się wspinać w górę.

Kiedy wchodził, schody zmieniły kierunek. Na szczycie napotkał pustą ścianę po prawej stronie i szeroki, niski korytarz po lewej. Skręcił w korytarz.

Minęło pół minuty i zauważył coś, co wyglądało na podest, balustradę wysuniętą z tylnej ściany. Zbliżył się i zobaczył, że jest tam też otwór, z którego wychodziła balustrada. Cichutko wszedł na podest i nasłuchując, wyjrzał zza rogu.

Nic. Nikogo. Tylko długie, ciemne schody prowadzące w górę.

Przełożył palącą się już małym płomieniem pochodnię do drugiej ręki i zaczął szybko

wspinać się ku górze. Te schody były wyższe od poprzednich i miały kształt spirali. Dotarł do ich końca, upuścił pochodnię i przez moment przydeptywał ogień.

Nasłuchiwał, stojąc na najwyższym stopniu, a następnie wszedł w korytarzyk. Na podłodze leżał długi chodnik, ściany wyłożono boazerią. Wzdłuż korytarza paliły się długie świece ustawione w specjalnych stojakach. Po prawej stronie wznosiły się ku górze szerokie schody. Przystanął przy ich dolnej części z przekonaniem, że dotarł do bardziej uczęszczanej części zamku.

Raz jeszcze otrzepał ubranie, zdjął rękawice i wsunął je za pas. Przeczesał dłonią włosy, rozglądając się za czymkolwiek, co mogłoby posłużyć za broń. Nie znalazł nic odpowiedniego i ruszył schodami w górę.

Kiedy dotarł na półpiętro, usłyszał mrożący krew w żyłach wrzask.

- Proszę! Och, proszę! Ten ból!

Zamarł, jedną dłoń położył na balustradzie, drugą sięgnął po miecz, którego nie było.

Minęła cała minuta. Zaczęła się następna. Wrzask nie powtórzył się. Z tego kierunku nie nadleciał już żaden inny głos.

Miał się teraz na baczności. Ruszył do przodu trzymając się blisko ściany, badając każdy stopień, zanim stanął na nim całą swą masą.

Kiedy dotarł na sam szczyt, sprawdził korytarz w obu kierunkach. Wydawał się pusty. Wrzask mógł dochodzić gdzieś z prawej strony. I tam też się skierował.

Kiedy tak szedł, z lewej strony i z przodu dobiegło go ciche szlochanie. Doszedł do uchylonych lekko drzwi, zza których ono docierało. Schylił się i przyłożył oko do dziurki od klucza. Pokój był oświetlony, ale niczego nie dojrzał za wyjątkiem gołej ściany i krawędzi małego okna.

Wyprostował się i postanowił znaleźć jakąś broń.

Atak wielkiego służącego był całkowicie bezgłówny. Wznosił się teraz nad Dilvishem trzymając uniesioną maczugę.

Dilvish zablokował cios lewym przedramieniem. Napastnik pchnął go jednak do przodu. Dilvish uderzył plecami w drzwi, które otwarły się szeroko, i wpadł do pokoju za nimi.

Kiedy próbował się podnieść, rozległ się wrzask. Jednocześnie ktoś zatrzasnął drzwi i Dilvish usłyszał zgrzyt przekręcanego klucza.

- Ofiara! Przysyła mi ofiarę, podczas gdy ja chcę się stąd uwolnić! - westchnęło coś. - Bardzo dobrze...

Gdy tylko Dilvish usłyszał głos, odwrócił się szybko i powrócił pamięcią do jeszcze jednego miejsca.

Jasnoczerwone ciało, długie cienkie odnóża, szpony na końcu każdego palca, spiczaste uszy, zagięte do tyłu rogi i wąskie, złociste oczy. Potwór kuczał na środku pięciokąta, zamiatając stopami, próbując go dosięgnąć...

- Głupia kreaturo! - warknął Dilvish, przechodząc na inny język. - Czy chcesz zniszczyć swego wyzwoliciela?

Demon cofnął swe kończyny, a źrenice jego oczu powiększyły się.

- Bracie! Nie znałem cię w ludzkiej postaci! - odpowiedział w Mabrahoring, języku demonów. - Wybacz mi!

Dilvish podszedł bliżej.

- Powinienem pozwolić, abyś tu gnął za takie przyjęcie! - powiedział i rozejrzał się po komnacie.

Pokój przeznaczony był do takich rzeczy, zauważył teraz Dilvish. Wszystko stało nieruchomo na swym miejscu. Na przeciwległej ścianie wisiało ogromne lustro w dziwnie zdobionej, metalowej ramie...

- Wybacz! - krzyknął demon, nisko się kłaniając. - Zobacz, jak się upokarzam! Czy naprawdę możesz mnie uwolnić? Zrobisz to?

- Najpierw opowiedz mi, jak znalazłeś się w tak rozpaczliwym położeniu - poprosił Dilvish.

- Och! Był tu młody czarownik. On jest szalony! Nawet teraz widuję go w wieży bawiącego się własnym szaleństwem! On jest dwojgiem ludzi w jednej postaci! Któregoś dnia jeden z nich musi zwyciężyć. Ale do tego czasu rozpoczyna prace i pozostawia je nieskończone; takie jak wezwanie mego biednego „ja” do tego przekłętą miejsca, przykucie do tego podwójnie przekłętą pentagramu i zabranie po trzykroć przekłętą własnego „ja” bez zwolnienia mnie! Och! Niech tylko będę wolny, a rozłupię go na kawałki. Proszę! Ten ból! Uwolnij mnie!

- Ja także wiem coś o bólu - odezwał się Dilvish - a ty jeszcze trochę pocierpisz, gdy zadam ci następne pytania.

Uniósł dłoń.

- Czy to lustro służy do przenoszenia się w inne miejsca?

- Tak! Tak właśnie!

- Czy mógłbyś je zreperować?

- Ale potrzebna by mi była pomoc istoty ludzkiej, która by nałożyła przeciwczar. Jest zbyt silne jak na mnie.

- Świetnie. Powtórz teraz sobie przysięgi uwolnienia, a ja zrobię wszystko, co niezbędne, byś stał się wolny.

- Przysięgi? Między nami? Och! Rozumiem! Boisz się, że mogę pozazdrościć ci twojego ciała! Jesteś mądry... Jak sobie życzysz. Moje przysięgi...

- Mają objąć wszystkich w tym domostwie - dodał Dilvish.

- Och! - zawył demon. - Pozbawisz mnie możliwości zemsty na tym szalonym czarowniku!

- Oni teraz należą do mnie - odpowiedział Dilvish. - Nie próbuj się ze mną targować!

Demon spojrzał chytrze.

- Och?... - powiedział. - Och! Rozumiem! Twoi... No, cóż, jakaś zemsta jednak będzie. - Ufam, że pełna łomotu i pisku. To wystarczy.

Wiedząc o tym, łatwiej mogę zrezygnować ze wszystkich roszczeń. Moje przysięgi...

Zaczął przerażającą litanie, a Dilvish słuchał bacznie, czy nie ma jakiś odstępstw od niezbędnych formuł. Nie było.

Dilvish rozpoczął recytację słów oswobodzenia. Demon objął się i pochylił głowę.

Po zakończeniu Dilvish spojrzał na pentagram. Demona już tam nie było. Stał w kącie komnaty uśmiechając się z wdzięcznością.

Dilvish zadarł głowę.

- Jesteś wolny - powiedział. - Idź!

- Chwileczkę, panie! - odpowiedział, czołgając się ze strachu. - Dobrze jest być wolnym i dzięki ci za to. Wiem też, że tylko jeden z wszechmocnych Dołu mógł dokonać tego uwolnienia przy nieobecności ludzkiego czarownika. Zatem będę się przed tobą czołgał i schlebiał ci nieco dłużej, bo pragnę cię ostrzec. Być może ciało przytępiło twe zmysły. Jestem przekonany, iż wiesz, że czuję teraz wibracje z innego wymiaru. Nadchodzi coś strasznego, i jeśli nie jesteś tego częścią, albo to coś nie jest częścią twoich praktyk, to pomyślałem, że muszę cię ostrzec, o wspaniały!

- Wiedziałem o tym - odrzekł Dilvish - ale cieszę się, że mi powiedziałaś. Jeśli chcesz mi wyświadczyć ostatnią przysługę, zniszcz zamek w drzwiach. A potem możesz odejść.

- Dzięki! W dniach gniewu pomyśl o Quennelu, o tym, że tu Ci służył!

Demon odwrócił się i wydawało się, iż rozpląnął się niczym mgła na wietrze przy akompaniamencie głuchych, ryczących dźwięków. Chwilę później od strony drzwi doleciał ostry trzask.

Dilvish przeszedł przez komnatę. Zamek został zniszczony.

Otworzył drzwi i wyrzwał na zewnątrz. Korytarz był pusty. Zawahał się, gdzie pójść. Po chwili, wzruszywszy lekko ramionami, skreślił w prawo i podążył w tę stronę.

Doszedł do wielkiej, pustej jadalni. W palenisku wciąż tlił się ogień, a w kominie hulał wiatr. Obszedł całą komnatę poruszając się pod ścianami; minął okna, lustro i wrócił do punktu wyjścia. W żadnej ze ściennych nisz nie dostrzegł dodatkowych drzwi.

Wyszedł na korytarz. Tam usłyszał, jak ktoś szeptem wypowiedział jego imię. Stanął. Drzwi po lewej stronie były lekko uchylone. Obrócił głowę. To szeptała kobieta.

- To ja, Reena.

Pchnął drzwi. Zobaczył jak stała tam, w środku, trzymając w dłoniach długi miecz. Wyciągnęła rękę.

- Twój miecz. Weź go! - rzekła.

Sięgnął po broń, obejrzał ją i schował do pochwy.

- Zrobił z nim to samo.

- Przykro mi - powiedziała - że tak się stało. Byłam równie zaskoczona jak i ty. To był plan mojego brata, a nie mój.

- Myślę, że mógłbym ci uwierzyć - stwierdził. - Jak mnie odszukałaś?

- Poczekalam i upewnilam sie, ze Ridley wrócił do swojej wieży. Potem szukał cię w piwnicznych celach, ale ciebie już tam nie było. Jak się wydostałeś?

- Wyszedłem.

- To znaczy, że znalazłeś drzwi w takim stanie?

- Tak.

Usłyszał, jak głęboko wciągnęła powietrze, prawie zaparło jej dech.

- To niedobrze - odezwała się. - Oznacza to, że Mack jest z pewnością poza domem.

- Kim jest Mack?

- Poprzednik Ridleya, był tu uczniem. Nie wiem dokładnie, co mu się przytrafiło; czy przeprowadzał jakiś eksperyment, który nie wyszedł, czy też jego przemiana była karą wymierzoną przez mistrza za nierozważny czyn. Tak czy inaczej, przemieniony został w tępą bestię i uwięziony tutaj, a to z powodu wielkiej siły i okazjonalnych przebłysków w pamięci dotyczących szkodliwych zaklęć. Po tym zdarzeniu jego żona zwariowała. Ona nadal tu mieszka. Swego czasu także była uczennicą mistrza. Musimy stąd uciekać.

- Może masz rację - powiedział Dilvish - ale dokończ swe opowiadanie.

- Och, odkąd cię zaczęłam szukać, zauważyłam, że demon w wieży przestał wrzeszczeć. Weszłam tam i sprawdziłam. Wiedziałam, że ktoś go wypuścił. Byłam całkiem pewna, że Ridley nadal przebywa w wieży. To twoja sprawka, prawda?

- Tak, uwolniłem go.

- Pomyślałem, że możesz być gdzieś niedaleko. Usłyszałam nagle, jak ktoś przechadza się po jadalni. Ukryłam się więc tutaj i czekałam. Przyniosłam twoją broń, by dowieść, że nie chcę cię skrzywdzić.

- Doceniam to. Zastanawiam się teraz, co robić. Jestem pewien, że masz jakieś pomysły.

- Tak. Mam przeczucie, że mistrz pojawi się tu wkrótce i zabije każdą żywą istotę pod tym dachem. Nie chcę być tego świadkiem.

- W zasadzie powinien pojawić się tutaj niebawem. Tak powiedział mi demon.

- Trudno stwierdzić, co wiesz, a czego nie wiesz - odparła - co możesz zrobić, a czego nie.

Oczywiście, znasz się na tym rzemiośle. Czy zamierzasz pozostać tu i stawić mu czoła?

- Taki był cel całej mojej wędrówki do tego miejsca - odparł. - Ale zamierzam spotkać się z nim, gdy przybierze ludzką postać. Gdyby mi się to nie udało, postanowiłem wykorzystać wszelkie możliwe magiczne środki transportu i poszukać go w innych twierdzach. Nie mam pojęcia, w jaki sposób moje specyficzne zdolności wpłyną na jego niematerialną postać. Wiem, że moje ostrze na nic się nie przyda.

- Rozsądnie byś postąpił - odezwała się biorąc go pod ramię - bardzo rozsądnie, przekładając pojedynek na inny dzień.

- Zwłaszcza że teraz potrzebujesz mojej pomocy w ucieczce - mruknął.

Kiwnęła głową.

- Nie wiem, co was poróżniło - odparła, opierając się o niego - a ty jesteś niezwykłym mężczyzną. Moim zdaniem jednak, nie powinieneś żywić żadnej nadziei na zwycięstwo. Będąc przygotowanym na najgorsze zgromadzi ogromną moc. Będzie bardzo ostrożny. Znam drogę ucieczki, jeśli tylko mi pomożesz. Ale musimy się spieszyć. On już może tu być. On...

- Jesteś bardzo przebiegła, kochanie - odezwał się suchy, chropawy głos z tyłu komnaty, skąd przybył Dilvish.

Rozpoznając go, odwrócił się. Przy wejściu do jadalni stała postać w ciemnym kapturze.

- A ty - oświadczył - Dilvishu! Ciebie najtrudniej jest się pozbyć, potomku Selara, choć od naszego ostatniego spotkania minęło tak wiele czasu.

Dilvish sięgnął po ostrze. Na usta cisnęła mu się Najstraszliwsza Formuła, ale powstrzymał się od jej wypowiedzenia, gdyż nie był pewien, czy to, co widzi, jest rzeczywistym tworem fizycznym.

- Jakie nowe tortury mogę dla ciebie wymyśleć? - zapytał ten drugi. - Transformację? Degenerację? A może...

Dilvish ruszył w jego stronę, ignorując wypowiedziane słowa. Z tyłu usłyszał szept Reeny:

- Wracaj...

Szedł dalej w kierunku postaci swego wroga.

- Dla ciebie nie miało to znaczenia - zaczął.

- Zakłóciłeś ważny rytuał.

- ...a ty zabrałeś moje życie i wyrzuciłeś je. Dotknęła mnie straszna zemsta z twojej strony, ale dla ciebie było to normalne, jak dla innego strzepnięcie komara.

- Rozgniewałeś mnie, tak jak innego mógł rozgniewać komar.

- Potraktowałeś mnie jak przedmiot, a nie jak człowieka. A tego wybaczyć nie mogę.

Spod kaptura doleciał cichy chichot.

- Wygląda na to, że w obronie własnej muszę potraktować cię podobnie.

Postać uniosła w górę dłoń, wyciągając w jego kierunku dwa palce.

Dilvish zaczął biec i unosząc ostrze powtórzył ochronne zaklęcie Blacka. Wciąż nie miał ochoty użyć własnego.

Wydawało się, że wyciągnięte palce zamigotały przez moment, a Dilvish poczuł wiejący wiatr. To było wszystko.

- Czy jesteś jedynie złudzeniem tego miejsca? - spytał ten drugi cofając się. Po raz pierwszy w jego głosie zabrzmiała cicha nuta przerażenia.

Dilvish zamachnął się mieczem, ale nie natrafił na żaden opór. Postać zniknęła. Stała teraz w cieniu, daleko, po drugiej stronie jadalni.

- Czy to twoja sprawka, Ridley? - usłyszał nagle. - Jeśli tak, należy ci się pochwała za przywołanie czegoś, czego nie miałem zamiaru wspominać. Jednak to mnie nie pokona od razu. Ukaż się, jeśli starcza ci odwagi.

Dilvish usłyszał odgłos przesuwającej się ściany z lewej strony. Zza niej wynurzył się młody, drobny mężczyzna z lśniącem pierścieniem na palcu wskazującym lewej dłoni.

- Świetnie. Obejdzie się bez tych przedstawień - rozległ się głos Ridleya. Miał lekką zadyszkę i próbował ją opanować.

- Jestem panem samego siebie i tego miejsca - ciągnął.

Zwrócił się do Dilvisha.

- Ty, człowieku! Służyłeś mi dobrze. Ale teraz nie masz tu czego szukać, ponieważ to dotyczy tylko nas obu. Pozwalam ci odejść i przybrać naturalną postać. W nagrodę możesz zabrać ze sobą dziewczynę.

Dilvish zawahał się.

- Mówię ci, idź! Natychmiast! Dilvish wycofał się z komnaty.

- Widzę, że nie chcesz wykazać skruchy - usłyszał głos Jeleraka - i że nauczyłeś się niezbędnej odporności. To może być ciekawe.

Dilvish zauważył, jak między nimi wyrasta niska ściana ognia. W komnacie rozległ się śmiech, czyj, tego nie był pewien. Chwilę później dotarł do niego jakiś trzask i fala osobliwych zapachów. Nagle komnata rozjaśniała pełnym blaskiem. Równie szybko pograżyła się w mroku. Śmiech nie ustawał. Ze ścian zaczęły opadać kafelki.

Odwrócił się. Reena stała w miejscu, w którym ją zostawił.

- Zrobił to - szepnęła. - Zdobył kontrolę nad tym drugim. Naprawdę to zrobił...

- Nic tu po nas - oświadczył Dilvish. - Jak powiedział, to dotyczy tylko ich dwu.

- Ale jego nowa moc może nie wystarczyć!

- Wydaje mi się, że o tym wie. Dlatego chce, bym cię stąd zabrał. - Podłoga zadrżała pod nimi, a z pobliskiej ściany spadł obraz.

- Dilvishu, nie wiem, czy mogę go tak zostawić.

- Być może oddaje za ciebie swe życie, Reeno. Mógł wykorzystać swą nową moc, by naprawić zwierciadło, lub opuścić to miejsce w inny sposób. Słyszałaś, jak się wyraził. Czy mogłabyś odrzucić jego podarunek?

Jej oczy wypełniły się łzami.

- Być może nigdy się nie dowie - rzekła - jak bardzo chciałam, aby mu się udało.

- Mam przeczucie, że tak nie będzie - stwierdził Dilvish. - A teraz zastanówmy się, jak cię uratować.

- Chodź tędy - powiedziała biorąc go pod ramię. Wtem w komnacie rozległ się odrażający wrzask, który wstrząsnął całym zamczyskiem. Kiedy prowadziła go korytarzem, z tyłu migotały kolorowe światelka.

- Mam sanie - szepnęła - na dole, w jaskini. Wypełnione są prowiantem.

- Jak... - zaczął Dilvish i zatrzymał się unosząc ostrze.

Przed nimi, u wejścia na schody, stała stara kobieta. Rzuciła nań piorunujące spojrzenie. Nie ona jednak przyciągnęła wzrok Dilvisha, lecz wielki, błyśnięty kolos wspinający się na ostatnie stopnie, z głową odwróconą w ich kierunku.

- Mack, tam - wrzasnęła niespodziewanie. - To człowiek, który mnie uderzył! Zranił mnie w bok! Stratuj go!

Dilvish skierował czubek w gardło nadchodzącego stwora.

- Jeśli mnie zaatakuje, zabiję go - ostrzegał. - Nie chcę tego, ale nie do mnie należy wybór, lecz do ciebie. Być może jest wielki i silny, ale nie jest szybki. Widziałem, jak się porusza. Zrobię w nim wielką dziurę, z której wyleje się morze krwi. Słyszałem, pani, że kiedyś go kochałaś. Co zamierzasz zrobić?

Twarz Meg zmieniała się pod wpływem zapomnianych uczuć.

- Mack, zatrzymaj się! - krzyknęła. - To nie ten. Pomyliłam się!

Mack stanął.

- Nie ten? - wymamrotał.

- Nie. Myliłam się.

Skierowała wzrok na korytarz, z którego dobywały się fontanny ognia i huczały setki odgłosów, jak w starciu między dwiema wrogimi armiami.

- Co to takiego? - spytała podnosząc rękę.

- Młody mistrz walczy ze starym mistrzem - odpowiedziała Reena.

- Dlaczego wciąż boisz się wypowiedzieć jego imię? - zapytał Dilvish. - On tam jest, w korytarzu. To Jelerak.

- Jelerak? - Oczy Macka pojaśniały, kiedy Dilvish pokazywał na straszliwą komnatę. - Jelerak?

- Tak - padła odpowiedź. Błady stwór odwrócił się od niego i powłókł się w kierunku komnaty.

Dilvish poszukał wzrokiem Meg, ale już jej nie było. Potem usłyszał krzyk:

- Jelerak! Zabić!

Spojrzał w górę i dostrzegł stworka o zielonych skrzydłach, który kiedyś go zaatakował (kiedy to było?) lecącego w tym samym kierunku.

- Oni idą na pewną śmierć - odezwała się Reena.

- Jak myślisz, długo czekali na taką okazję? - powiedział. - Jestem pewien, że wiedzą, iż przegrali już dawno temu. Ale teraz sama szansa jest dla nich zwycięstwem.

- Lepiej zginąć tam niż od ostrza twego miecza.

Dilvish odwrócił się.

- Nie jestem taki pewien, czy on by mnie nie zabił - bąknął. - Dokąd idziemy?

Tędy.

Poprowadziła go w dół schodami, potem następnym korytarzem, kierując się na północ. Nagle zaczęło wokół nich drżeć. Meble przewracały się, okna rozlatywały się na kawałki, z sufitu spadała belka. Na moment zapanowała cisza. Ruszyli biegiem.

Kiedy zbliżali się do kuchni, zamek zatrzęsł się z taką siłą, że oboje znaleźli się na podłodze. Zewsząd dobywał się drobny pył, a w ścianach zarysowały się szczeliny. W kuchni zauważyli gorący popiół, który wyrzucony z paleniska, dymił się na podłodze.

- Chyba Ridley wciąż utrzymuje swoją osobowość.

- Z pewnością - odrzekł z uśmiechem.

Ruszyli w kierunku schodów, a z tyłu dobiegły ich brzęki i stukoty garnków i patelni. W szufladach tańczyły sztuce.

Stanęli przy wejściu na schody i właśnie wtedy przez cały zamek przeleciał niehumaniczny jęk. Po nim rozpętał się lodowaty wiatr. Z kuchni wypadł na nich sznur.

Reena dała znak Dilvishowi, by zaczekał chwilę, a sama oparła się o ścianę i przyłożyła dłonie do twarzy. Wydawało się, że coś do nich szepce, a za moment pojawiło się małe światełko, które powiększając się zawisło tuż przed nią. Rozłożyła dłonie, a światełko poszybowało w kierunku schodów.

- Chodź - powiedziała do Dilvisha i poprowadziła go w dół.

Kroczył za nią, a od czasu do czasu zatrzeszczała jakaś ściana. Wtedy światelko wirowało przez chwilę i na krótko gasło. Gdy schodzili, dźwięki z góry stawały się coraz bardziej przytłumione.. Dilvish zatrzymał się i położył dłoń na ścianie.

- Czy to daleko? - spytał.

- Tak. Dlaczego pytasz?

- Nadal czuję silne wibracje - odpowiedział. - Musimy być głęboko pod samym zamkiem, w głębi góry.

- Prawda - potwierdziła skracając w bok.

- Na początku obawiałem się, że mogą zwalić nam cały zamek na głowę...

- Jeśli potrwa to dłużej, to z pewnością zburzą to miejsce - rzekła. - Jestem dumna z Ridleya, mimo tych wszystkich niedogodności.

- Nie to miałem na myśli - zaproponował Dilvish kontynuując wędrówkę. - Tam! Jest coraz gorzej!

Wyciągnął rękę, by utrzymać równowagę, kiedy schodami wstrząsnął kolejny szok.

- Czy nie wydaje ci się, że trzęsie się cała góra?

- Tak - przytaknęła. - A zatem to prawda.

- Co?

- Słyszałam, że przed wiekami, będąc u szczytu swej świetności, Jelerak wzniósł tę górę, używając swych magicznych sztuczek.

- I co z tego?

- Jeśli jego moc wyczerpie się, to przypuszczam, że mógłby sięgnąć do pradawnych zaklęć, by ją odzyskać. A wtedy...

- Góra zawałiłaby się razem z zamkiem?

- To jest możliwe. Och, Ridley! Świetne widowisko!

- Nie będzie takie świetne, jeśli znajdziemy się pod spodem!

- Racja - stwierdziła przyspieszając kroku. - Ponieważ on nie jest twoim bratem, rozumiem twój argument. Ale przecież musi cieszyć cię fakt, że Jelerak przyparty został do muru.

- Oczywiście - przyznał Dilvish - ale powinnaś przygotować się na każdą ewentualność.

Milczała przez chwilę.

- Śmierć Ridleya? - spytała. - Tak. Od jakiegoś czasu zdaję sobie sprawę, że to jest

możliwe, bez względu na wynik ich starcia. Ale odejść w taki sposób, to naprawdę wielka sprawa, wiesz o tym.

- Tak odpowiedział Dilvish. - Sam o tym wielokrotnie myślałem.

Nagle dotarli na płaski podest. Dziewczyna skręciła gwałtownie i poprowadziła go do tunelu. Skalistą podłogę pod nimi drżała niespokojnie. Światelko znowu zawirowało. Dobiegł ich powolny, zgrzytliwy dźwięk i trwał przez dziesięć sekund. Rzucili się biegiem do tunelu.

- A ty? - zapytała nie przerywając biegu. - Jeśli Jelerak przeżyje, czy nadal będziesz go tropił?

- Tak - odparł. - Wiem, że posiada co najmniej sześć innych cytadel. Znam położenie niektórych z nich. Odszukałbym je, tak jak i to miejsce.

- Byłam w trzech z nich - powiedziała. - Jeśli przeżyjemy, opowiem ci o nich. Niełatwo byłoby wziąć je szturmem.

- To nie ma znaczenia - stwierdził Dilvish. - Nigdy nie uważałem, że to będzie proste. Jeśli pozostanie przy życiu, udam się do nich. Jeśli go nie spotkam, zniszczę je po kolei, aż sam do mnie przyjdzie.

Zgrzyt powtórzył się. Obok nich spadły kawałki skał. Płynące przed nimi światelko znikło.

- Nie ruszaj się. Zrobię następne - powiedziała.

Po chwili drugie światelko zabłysło między jej dłońmi.

Szli naprzód. Dźwięki między skałami ucichły na moment.

- Co uczynisz, jeśli Jelerak zginie? - zapytała.

Dilvish nie odpowiadał przez moment, a potem rzekł:

- Odwiedzę swą ojczyznę. Nie byłem tam od dawna. A co ty zrobisz, jeśli uda nam się stąd wydostać?

- Tooma, Ankyra, Blostra - odrzekła - tak jak powiedziałam, gdybym tylko znalazła gentlemana, który by mnie tam dowiózł bezpiecznie.

- To się chyba da załatwić - powiedział Dilvish.

Gdy zbliżyli się do końca tunelu, cała góra zachwiała się pod potężnym wstrząsem. Reena potknęła się. Dilvish chwycił ją i wpadł na ścianę. Przez ramiona czuł gwałtowne wibracje wewnątrz skały. Za nimi rozległ się równomierny łoskot rozpadających się skał.

- Pospiesz się! - krzyknął popychając ją do przodu.

Światelko przed nimi zachowywało się jak pijane. Weszli do zimnej jaskini.

- To tu - wskazała ręką Reena. - Tam stoją sanie.

Dilvish dostrzegł pojazd, wziął ją pod ramię i ruszył.

- Na jakiej wysokości jesteśmy? - spytał.

- Chyba na dwóch trzecich drogi - odpowiedziała. - Nieco poniżej miejsca, w którym wzniesienie gwałtownie się podnosi.

- Poniżej stok też nie jest łagodny - odparł, zatrzymując się przed saniami i opierając się o nie ręką. - Jak zamierzasz na nich zjechać?

- Nie będzie to łatwe - odrzekła, sięgając za gorset i wyciągając złożony kawałek pergaminu. - Wyrwałam tę kartkę z jednej z ksiąg w wieży. Kiedy nakazałam sługom zbudowanie tych sań, wiedziałam, że potrzebne będzie coś silnego, by je pociągnąć. To niezwykle skomplikowane zaklęcie, ale przywołam demoniczną bestię, która wykona nasz rozkaz.

- Czy mogę spojrzeć?

Podowała mu kartkę. Rozłożył ją i podniósł pod wirujące światelko.

- To zaklęcie wymaga długotrwałych przygotowań - odezwał się po chwili. - Nie zostało nam wiele czasu, gdyż wszystko się tutaj trzęsie i rozpada w drobny mak.

- Ale to nasza jedyna szansa - wykrzyknęła. - Potrzebujemy tych zapasów. Nie wiedziałam, że cała ta przeklęta góra zacznie się rozpadać. Po prostu musimy zaryzykować.

Dilvish potrząsnął głową i oddał jej kartkę.

- Zaczekaj tu - nakazał - i nie zaczynaj inwokacji!

Odwrócił się i podążył tunelem w kierunku ryku lodowatego wiatru. Na podłodze leżały kryształki śniegu. Za krótkim zakrętem dostrzegł szeroki wylot jaskini i blade światelko. Tu lodowa podłoga pokryta była grubą warstwą śniegu.

Doszedł do wyjścia; spojrzął na zewnątrz, spojrzął w dół. Sanie można by przesunąć na krawędź grani po jego lewej stronie. Ale ruszyłyby z taką prędkością, że nie sposób byłoby ich zatrzymać u podnóża góry.

Podszedł na sam skraj i spojrzął w górę. Nawis skalny zasłaniał mu widok. Przesunął się sześć kroków na lewo, spojrzął dookoła, w górę, przed siebie. Następnie przeszedł na sam koniec skarpy i zerknął w górę. Zasłonił oczy, kiedy oślepił go blask lodowych kryształów.

- Tam?...

- Black! - zawołał do ciemnej plamy na górze. - Black!

Coś się poruszyło. Złożył dłonie i krzyknął powtórnie.

- Diiil...viiish! - spłynęło z góry, gdy ucichł jego własny krzyk.

- Tu, na dole! Zamachał rękami nad głową.

- Widzę... cię!

- Czy możesz tu zejść?

Nie otrzymał odpowiedzi, ale cień drgnął. Zsunął się z urwiska i rozpoczął powolną wędrówkę w jego stronę.

Pozostał w polu widzenia. Nadal machał rękami.

Wkrótce zarys Blacka stał się bardziej wyraźny na tle wirującego śniegu. Poruszał się miarowo. Przeszedł połowę drogi, ale nie ustawał.

Kiedy dotarł do Dilvisha, pulsował gorącem przez chwilę. Śnieg topniał na jego ciele, ściekając po obu bokach.

- Tam na górze dzieją się zadziwiające rzeczy - oświadczył - warte obejrzenia.

- Lepiej będzie, jeśli obejrzymy je z daleka - odparł Dilvish. - Ta cała góra może się rozpaść.

- Na pewno tak będzie - rzekł Dilvish. - Coś na górze uaktywnia podstawowe, pradawne czary. Niezła lekcja. Siadaj, a sprowadzę cię na dół.

- To nie takie proste.

- O?

- W jaskini ze mną jest dziewczyna i sanie.

Black postawił swe przednie kopyta na urwisku i podciągnął się, by stanąć koło Dilvisha.

- Będzie lepiej, jak sam to zobaczę - oświadczył. - Jak ci poszło na szczycie?

Dilvish wzruszył ramionami.

- Wszystko równie dobrze mogło się wydarzyć beze mnie - powiedział - ale przynajmniej miałem przyjemność zobaczyć, jak ktoś daje Jelerakowi nauczki.

- To on tam jest? Zaczęli cofać się ku jaskini.

- Jego ciało jest w innym miejscu, a nas odwiedziła ta część, która gryzie.

- Z kim walczy?

- Z bratem damy, którą za chwilę poznasz. Tędy.

Skręcili i powrócili do większej jaskini. Reena stała przy saniach. Opatulona była w futro. Metalowe kopyta Blacka uderzały o skały.

- Chciałaś demonicznej bestii, to masz - zwrócił się do niej Dilvish. - Black, to jest Reena. Reeno, poznaj Blacka.

Black schylił łeb.

- Jestem zaszczycony - odezwał się. - Twój brat dostarczył mi sporo rozrywki, kiedy czekałem na zewnątrz.

Reena uśmiechnęła się i pogłaskała go po szyi.

- Dziękuję - rzekła. - Cieszę się, że mogę cię poznać. Pomożesz nam?

Black odwrócił się i popatrzył na sanie.

- Zanedbane - odezwał się po chwili. - Gdybym został przyczepiony do nich z tyłu, mógłbym się lekko zapierać i pozwolić, by zjeżdżały przede mną z góry. Jednak wy musielibyście iść obok mnie, trzymając się mocno. Nie wydaje mi się, byście mogli usiąść w środku. Nawet W ten sposób nie będzie to łatwe, ale jest to chyba jedyny sposób.

- Zatem wypchnijmy je i ruszajmy - zarządził Dilvish, kiedy góra zakołysała się ponownie.

Reena i Dilvish ustawili się po obu stronach sań. Black oparł się o ich tył. Ruszyli.

Kiedy dotarli do śniegu leżącego na podłodze jaskini, sanie poruszały się już z łatwością. U wylotu jaskini obrócili je i zaprzęgli z tyłu Blacka.

Ostrożnie i delikatnie przesunęli koniec sań nad skraj skarpy po lewej stronie, a Black posuwał się wolno, utrzymując napięcie uprzęży.

Płozy rozcinały śnieg na stoku, a Black powstrzymywał je, dopóki nie spoczęły na ziemi swym całym ciężarem. Następnie ruszył za nimi delikatnie, stając od czasu do czasu w sztywnej postawie pionowej, by je zatrzymać.

- W porządku - powiedział. - Schodzimy w dół. Trzymajcie się mnie po obu stronach.

Posłuchali go i zajęli właściwe miejsca. Powoli ruszył w dół.

- Sprytnie pomyślane - odezwał się, gdy schodzili. - Pewnego dnia wymyślą jakieś nazwy na te zjawiska, takie jak skłonność przedmiotów do poruszania się, kiedy zostaną wprawione w ruch.

- Jaki byłby z tego pożytek? - spytała Reena. - Każdy już wie, że to jest to, co się właśnie dzieje.

- Och! Ale ktoś mógłby posłużyć się liczbami w przypadku opisu ilości użytego materiału i wielkości wymaganej siły i dojść do cudownych i pożytecznych obliczeń.

- Dużo kłopotów, mały zysk - powiedziała. - Magia daje się obliczać o wiele łatwiej.

- Być może masz rację.

Schodzili w dół w równym tempie, a kopyta Blacka trzaskały na lodowej skorupie. Kiedy dotarli do miejsca, z którego widać było cały zamek, zauważyli, że najwyższa wieża i kilka niższych rozpadły się. Gdy tak patrzyli, zawałiła się część muru. Jego fragmenty spadły na urwisko, na szczęście potoczyły się po stoku z prawej strony, daleko od nich.

Sama góra kołysała się miarowo pod śniegiem. Odłamki skał i lodu przelatowały nad ich głowami.

Wydawało się, że ta wędrówka nie ma końca; przy każdym kroku Black przesuwał sanie o kawałek, a Reena i Dilvish, nie czując stóp, ciężko stąpali obok.

Gdy zbliżali się do podnóża, doleciał ich straszliwy łomot. Spojrzeli w górę i ujrzeli ruiny zamczyska rozsypujące się, kurczące i znikające z powierzchni ziemi.

Black przyspieszył kroku, kiedy drobne okruchy gruzu zaczęły spadać im na głowę.

- Gdy znajdziemy się na dole - rzekł - odczepcie mnie szybko, ale stójcie po drugiej stronie sań. Będę mógł obrócić je bokiem do stoku. Potem postarajcie się zaprząść mnie właściwie, ale szybko. Jeśli deszcz gruzów stanie się silniejszy, kucnijcie za samami, a ja stanę po przeciwnej stronie, by was osłaniać. Gdyby się nie udało, wskoczcie do sań i połóżcie się na podłodze.

Ostatni odcinek drogi właściwie zjechali ślizgiem, a przez chwilę zdawało się, że sanie wywrócą się przy kolejnym manewrze Blacka. Podnosząc się po upadku, Dilvish natychmiast przystąpił do zakładania uprzęży.

Reena stanęła za saniami i patrzyła w górę.

- Dilvish! Spójrz! - wykrzyknęła.

Dilvish zerknął w górę, kiedy zakończył odczepianie, a Black wydostał się z zaprzęgu.

Zamek zgiął całkowicie, a na stoku pojawiły się dwie potężne szczeliny. Nad samym szczytem góry unosiły się dwie smugi dymu, ciemna i jasna - nieruchomo, choć dokoła szalała wichura.

Black odwrócił się i wrócił do uprzęży. Dilvish zabrał się za jej upinanie. Z prawej strony leciało z góry coraz więcej gruzu.

- Co to takiego? - zapytał Dilvish.

- Ta ciemna smuga to Jelerak - odpowiedział Black.

Dilvish oglądał się raz po raz za siebie i zauważył, że smugi zaczęły wolno zbliżać się do siebie. Po chwili splotły się, ale nadal pozostawały w pewnej odległości od siebie. Wirując i supłając się przypominały parę walczących węży.

Dilvish zakończył upinanie uprzęży.

- Wsiadaj! - krzyknął do Reeny, gdy rozpadła się kolejna część wzgórze.

- Ty też! - dodał Black i Dilvish wskoczył do sań.

Za moment pędzili, nabierając prędkości. Wierzchołek lodowej masy rozleciał się na kawałki, resztki okruchów lodowych unosiły się falującym ruchem dokoła.

Dilvish dostrzegł, jak ciemna smuga ściąga smugę jaśniejszą w dół, prosto w serce ginącej góry.

Black przyspieszył kroku, choć wokół nich padały kawałki skał utrudniając szybką jazdę. Dymni wojownicy zniknęli gdzieś wysoko, a Black, pędząc ze wszystkich sił, kierował się na południe.

Przez piętnaście minut, które upłynęły, obraz za nimi nie uległ zmianie; wszystko stało się jedynie mniejsze. Ale Dilvish i Reena, skuleni pod futrami, obserwowali zdarzenia uważnie.

Atmosfera wyczekiwania rosła.

Wtem ziemia zatrzęsła się, sanie rzuciło na bok, a drgania trwały jeszcze przez parę chwil.

Wierzchołek góry wyleciał w powietrze, a niebo pokryło się rosnącą, czarną chmurą. Wiejący wiatr rozwiewał ją na ciemne smugi niczym rozwarte palce, powoli, w kierunku zachodnim.

Minęły minuty, a potem wstrząsnął nimi potężny łomot.

O wiele później, pojedyncza, rozrzedzona i poszarpana ciemna chmura obłoków oddzieliła się od kłębowiska pozostałych. Ciągąc za sobą postrzępione nitki dymu, rozwiewane przez wiatr, poruszała się jak kaleki starzec w kierunku południowym. Minęła ich z prawej strony nie zatrzymując się.

- To Jelerak - odezwał się Black. - Jest ranny.

Obserwowali poszarpaną smugę dopóty, dopóki nie zginęła z oczu, gdzieś na południu. Dopiero wtedy przenieśli wzrok na ruiny po stronie północnej. Czekali, aż znikną zupełnie, ale biała smuga już się nie uniosła.

W końcu Reena schyliła głowę. Dilvish objął ją ramieniem. Płozy sań dźwięczały cichutko po śnieżnej drodze.

SZATAN I TANCERKA

Kiedy Oele tańczyła dla Szatana, księżyc był w pełni i wiał mroźny wiatr. Ślady jej stóp odbijały się w ogniu płonącym przed pustym, kamiennym ołtarzem. W krainach poniżej królowała już wiosna, lecz tu w górach noc świadczyła jeszcze o zimie. Tańczyła boso, a na sobie miała jedynie skromny, szary strój spięty srebrnym pasem, który bardziej odkrywał niż przysłaniał jej gibkie ciało, gdy układała płomienie w pradawne wzory. Na ramiona spływały jej długie blond włosy.

Ziemia pod jej stopami przemieniła się w migocący gobelin, ale nie parzyła. Daleko w dole, na północnym stoku, drżał w świetle księżyca pałac-widmo. Wieże stawały się przezroczyste, ażeby po kilku chwilach znów odzyskać dawną masywność. Mury przesunęły się, łącząc się z cieniem, to znów odsuwały się. W wysokich oknach pojawiały się i znikwały jakieś światła. Na wyjąłym przeraźliwie zimnym wietrze Oele nie czuła chłodu. Mrok nad ołtarzem gęstniał, aż w końcu przysłonił blask gwiazd. Wtedy wiatr ucichł i zupełnie zniknął. Płomienie buchnęły wyżej, ale postać nad głazem pozostawała w ciemnościach. Widać było jej masywny zarys, postrzępione skrzydła i potężną głowę. Wyglądała jak otwór w przestrzeni i gdy tylko Oele kierowała ku niej wzrok, miała wrażenie, że patrzy w nieskończoną głębię.

Tak więc tańczyła tu w określonych porach roku od wielu lat, tak wielu, że nawet okoliczni mieszkańcy nie sięgali tak daleko pamięcią. Wszyscy oni nazywali ją czarownicą, a i ona sama myślała o sobie w ten sposób. Ten jedyny, który znał ją lepiej, obdarzył ją innym przydomkiem. Choć przez lata różnica ta znacznie się zatarła, gdyż tańcząca dziewczyna zamordowała w tym miejscu swego kochanka, by zdobyć moc, którą jako jedyny na świecie posiadał. Był kapłanem, ostatnim wyznawcą starego bóstwa, które wysoko ceniło jego wartość. Teraz ostatnim wyznawcą została Oele, ale imię tego bóstwa nie było jej znane. Nazwała je Szatanem, a on spełniał jej życzenia w zamian za taneczne akty poświęcenia, które uważała za czary. Czarownica przywołuje szatana, bóstwo reagujące na swego czciciela. To, o co go prosiła, było wyłącznie wymysłem jej własnej fantazji, a ich wzajemne stosunki nie przypominały w niczym jego pierwotnych stosunków z własnymi wyznawcami sprzed lat.

Łącząca ich więź była jednak bardzo silna. On czerpał moc z jej tańca, z tego ostatniego kontaktu z ziemią. Ona także miała coś z tego.

W końcu ruchy jej ustały. Tkwiła teraz w środku kręgu, spoglądając na ciemny kształt nad ołtarzem. Przez kilka chwil stali w bezniernej ciszy, a potem przemówiła:

- Szatanie, przynoszę ci mój taniec.

Wydało się, że postać kiwnęła głową i nieco się uniosła. Wreszcie odpowiedziała niskim i powolnym głosem:

- Sprawia mi on przyjemność.

Odczekała rytualne milczenie i odezwała się znowu:

- Mój pałac znika. Pauza i słowa:

- Wiem - połączone z gestem postrzępionej, uskrzydłonej dłoni wylaniającej się z cienia w kierunku miejsca na stoku zajętego przez chwiejną konstrukcję. - Spójrz, kapłanko, znów jest silny jak dawniej.

Spojrzała i stwierdziła, że miał rację. Pałac stał w świetle księżyca nieruchomo i wyraźnie; światła świeciły regularnym blaskiem, a jego wały obronne wznosiły się prosto w noc i gwiazdy.

- Widzę - odrzekła. - Ale jak długo pozostanie w takim stanie? Moi słudzy giną jeden po drugim, wracając na ziemię, z której pochodzą.

- Teraz znowu są z tobą.

- Ale na jak długo? - powtórzyła. - To już po raz trzeci w tym roku musiałam wezwać cię, byś zaprowadził porządek.

Postać zamilkła na dłużej.

- Powiedz mi, Szatanie!

- Nie mogę stwierdzić tego z całą pewnością - padła odpowiedź. - Staję się coraz słabszy. Potrzeba znacznej energii dla utrzymania ciebie i twojej służby; znacznie więcej niż mogę uzyskać z twego tańca.

- Co zatem należy uczynić?

- Mogłabyś wybrać bardziej surowy sposób życia.

- Potrzebuję przepychu!

- Wkrótce braknie mi sił, by go utrzymać.

- A więc musisz znaleźć coś silniejszego niż mój taniec!

- Nie proszę o to.

- Zaakceptujesz to, gdy okaże się to konieczne.

- Zaakceptuję.

- Zatem potrzeba ci będzie krwi człowieka. Odrodzisz swe siły i wzmocnisz moje.

Nie odpowiedział.

- Zaczynam teraz finalny taniec - oświadczyła, i gdy tylko zaczęła się poruszać, płomienie gasły przy każdym kroku. Wiatr uniósł się w górę, a postać za ołtarzem skuliła się i znikła, a w jej miejscu zabłyśły gwiazdy.

Kiedy skończyła, odwróciła się i ruszyła w kierunku pałacu nie oglądając się za siebie. Nadszedł czas, by przygotować się do podróży, przez krainę w dolinie, do miasteczka na wybrzeżu, gdzie, jak mówiono, znaleźć można było wszystko, czego dusza zapagnie.

Kobieta na szarej kłaczy z czarną grzywą miała na sobie brązowe, skórzane bryczesy i marynarkę oraz czerwonobrązowy płaszcz. Czarne były jej włosy i długie rzęsy, a szerokie usta

delikatnie, choć chyba nieświadomie, układały się w uśmiech. Na środkowym palcu lewej dłoni nosiła jaspisowy pierścień, na prawej - pierścień z onyksem. Z pasa zwisał krótki miecz.

Jej towarzysz ubrany był w czarne bryczesy, zieloną marynarkę i długie buty. Czarny płaszcz podszyty był zielonym suknem. U pasa nosił miecz i sztylet. Siedział prosto na czarnym stworzeniu w kształcie konia, którego ciało wydawało się być z metalu.

Prowadzili ze sobą trzy objuczone konie i jechali górskim szlakiem przez rześkie, czyste powietrze popołudnia. Z przodu dobiegł ich szmer wartkiego strumienia.

- Z dnia na dzień pogoda jest coraz lepsza - zauważyła kobieta. - Po regionach, przez które przejechaliśmy, przypomina lato.

- Kiedy wyjedziemy z tych wzgórz - odpowiedział mężczyzna - będzie jeszcze wygodniej. A gdy dotrzemy do wybrzeża, powietrze stanie się balsamiczne. Dowieziemy cię do Tommy w dobrej porze roku.

Kobieta spojrzała w bok.

- Nie zależy mi tak bardzo, aby tam dotrzeć...

Trzymając się prawej strony okrążyli skalisty cypel. Rumak mężczyzny wydał przedziwny dźwięk. Obracając głowę, mężczyzna rzucił okiem na szlak.

- Nie jesteśmy sami - zauważył.

Podążyła za jego wzrokiem na miejsce, gdzie na skale po prawej stronie siedział człowiek. Włosy i brodę miał siwe, a ubrany był w skóry zwierząt. Kiedy na niego patrzyli, wstał opierając się na wyższym od siebie kiju.

- Halo - pozdrowił ich.

- Bądź pozdrowiony - odpowiedział jeździec w zielonych butach stając przed nim. - Jak ci się wiedzie?

- Nieźle - odrzekł człowiek. - Daleko jedzicie?

- Tak. Przynajmniej do Toomy. Mężczyzna pokręcił głową.

- Tej nocy nie zdołacie opuścić tych wzgórz.

- Wiem. W dali dojrzałem zamek. Być może pozwolą nam się przespać w jego murach.

- Może pozwolą. Bo jego pani, Oele, przyjaźnie nastawiona jest do podróżnych i uwielbia słuchać ich opowieści. Ja sam podążam w tamtym kierunku, by skorzystać z jej gościnności, choć słyszałem, że jest właśnie w podróży. Panie, stwór, którego dosiadasz, ma niezwykle wygląd.

- To prawda.

- ... A twoja twarz wydaje mi się znajoma, jeśli mogę to powiedzieć? Jak brzmi twoje imię?

- Dilvish, a to jest Reena.

Kobieta skinęła głową i uśmiechnęła się.

- Twoje imię nie jest pospolite. Dawno temu był kiedyś Dilvish...

- Nie wierzę, aby zamek wtedy istniał.

- Z całą pewnością nie. Kiedyś miejsce to było schronieniem górskiego plemienia, zadowolającego się własnym stadem i bóstwem, którego imię zostało zapomniane. Ale poniżej wyrosły miasta i...

- Taksh'mael - odezwał się Dilvish.

- Co?

- Ich bogiem był Taksh'mael - powtórzył Dilvish - Opiekun Stad. Gdy kiedyś przejeżdżałem tędy z przyjacielem, złożyłem na jego ołtarzu ofiarę. Zastanawiam się, czy ten ołtarz jeszcze tam stoi.

- Stoi tam gdzie zawsze... Jesteś z pewnością jednym z nielicznych, który to pamięta. Być może byłoby lepiej, gdybyście nie zatrzymywali się na zamku... Widok miejsca, które przeszło tyle okropności, mógłby jedynie przygnębić kogoś takiego jak ty... Namysliłem się i radzę wam, byście jechali dalej i wyrzucili to miejsce z pamięci. Pamiętaj je takim, jakie było niegdyś.

- Dzięki, ale przejechaliśmy szmat drogi - odpowiedział Dilvish. - Nie warto ryzykować dodatkowego wysiłku dla zachowania delikatności uczuć. Udamy się do zamku.

Człowiek utkwiał w nim wielkie, jasne oczy, a potem wzdrygnął się. Poszukał czegoś po omacku pod swym postrzępionym odzieniem, a następnie kulejąc podszedł do Dilvisha i wyciągnął do niego dłoń.

- Weź to - wymamrotał. - Powinieneś to mieć.

- Co to takiego? - zapytał Dilvish, pochylając się.

- Drobiazg - odparł. - Stary przedmiot, który mam od dawna, znak łaski i protekcji boga. Ten, kto pamięta Taksh'mael powinien posiadać to w tych stronach.

Dilvish obejrzał podarek dokładnie; kawałek szarego kamyka z różowymi prążkami, na którym wydrapano wizerunek barana. Był przekłuty z jednej strony, a przez szparkę przeciągnięto kawałek starej, wełnianej niteczki.

- Dziękuję ci - powiedział i sięgnął po torbę. - Chciałbym obdarować cię czymś w zamian.

- Nie - odparł starszek odwracając się. - To bezinteresowny podarunek, a mnie niepotrzebne są miejskie błyskotki. To nic takiego. Jestem pewien, że nowi bogowie mogą pozwolić sobie na coś bardziej fantastycznego.

- Cóż, może strzec twoich kroków?

- W moim wieku to już nie ma znaczenia. Życzę dobrej drogi.

Powędrował między skałami i wkrótce ślad po nim zagaśniał.

- Black, rozumiesz coś z tego? - zapytał Dilvish, pochylając się do przodu i machając amuletem przed rumakiem.

- Jest w nim jakaś moc - odpowiedział Black - ale z zepsutej magii. Nie jestem pewien, czy zaufałbym komuś, kto daje w podarunku coś takiego.

- Najpierw powiedział nam, byśmy zatrzymali się w zamku, potem starał się odwieść nas od tego. Której rady nie powinniśmy posłuchać?

- Pokaż mi to, Dilvishu - odezwała się Reena.

Wrzucił jej kamyk w dłonie, a ona przyglądała mu się przez kilka chwil.

- Black mówi prawdę... - zaczęła.

- Mam to zatrzymać, czy wyrzucić?

- Ależ zatrzymaj to - poradziła. - Magia jest niczym pieniądze. Kogo interesuje, skąd się biorą? Liczy się tylko to, na co je wydajesz.

- To prawda, ale tylko wtedy, gdy możesz kontrolować swe wydatki - stwierdził. - Czy chcesz zatrzymać się w zamku? A może pojedziemy dalej?

- Zwierzęta zaczynają być zmęczone.

- Racja.

- Moim zdaniem, on był trochę zbikowany.

- Bardzo prawdopodobne.

- Miło byłoby znaleźć się w prawdziwym łożu.

- A zatem jedziemy do zamku.

Kiedy ruszali, Black nie odezwał się ani słowem.

Lampki oliwne, świece i ogromny kominek oświetlały tawernę, w której tańczyła Oele. Przy ciężkich drewnianych stołach jedli i palili żeglarze, kupcy, żołnierze, włóczędzy i mieszczanie. Tej nocy odziana była w niebieskozielony kostium, a jej żywym ruchom towarzyszyli swą muzyką dwaj grajkowie siedzący w tyle głównej izby. Od kiedy przybyła do miasta, a było to dwa tygodnie wcześniej, interesy zaczęły układać się coraz lepiej. Choć miała już trzy propozycje małżeństwa i wiele podobnych ofert, pozostała niezależna. Brak odważnego mężczyzny u jej boku również nie był powodem do zmartwień. Surowe spojrzenie i jeden władczy gest kładły kres niepożądanym zalotom ze strony natrętów i rzucały ich nieprzytomnych na ziemię. Stało się rzeczą oczywistą, że nie życzy sobie pijackich uścisków bywalców tego miejsca, chociaż każdego wieczoru jej oczy badały każde oblicze. Teraz pojawiły się nowe twarze. Tego popołudnia przybyła karawana z zachodu, a z południowych wód przyplłynął żaglowiec. Tej nocy tłum zachowywał się o wiele głośniejszy niż zazwyczaj.

- Jeden z synów pustyni przyciągnął jej wzrok; poruszał się wolno, był wysoki, ciemny i o ruchach sokoła. Powiewne szaty nie przykrywały jego silnej, proporcjonalnej sylwetki. Siedział

wygodnie przy drzwiach pałac i pijąc wino ze skomplikowanego urządzenia ustawionego na stole. Grupa podobnie odzianych mężczyzn siedziała przy tym samym stole, rozprawiając w jakimś syczącym języku. Oczy wysokiego młodzieńca spoczywały na niej cały czas. Poczuli, że może to być ten wybrany. W każdym jej najmniejszym ruchu dopatrzyć się można było ogromnej witalności.

Wieczorem przybyła tam grupa żeglarzy, ale nie zwróciła na nich uwagi. Tańczyła dla tego, który stał się jej wybrankiem. Blask jego oczu, uśmiech i słowa, które wypowiadał, gdy przechodziła obok, świadczyły, że wpadł w jej sidła. Byłby wspaniały. Jeszcze godzina i zabierze go stąd...

- Podejdź bliżej, pani. To mi się podoba.

Spojrzała w prawo, na mężczyznę, który ją przywołał i zobaczyła błękitne oczy pod strzechą rudych włosów, złoty kolczyk, lśniące białe zęby, czerwoną apaszkę - to jeden z żeglarzy, którzy właśnie przybyli. Stał pochylony, trudno zatem było ocenić jego wzrost.

Podeszła bliżej, rzucając mu badawcze spojrzenie. Interesująca blizna na policzku... Wielkie, głębokie dłonie ułożone na stole...

Uśmiechnęła się niewyraźnie. Był bardziej pobudzony niż poprzedni, pełen życia. Zastanowiła się...

Za sobą usłyszała jakiś hałas. Odwróciła się nie gubiąc kroku. Kupiec podniósł się z ławy i rzucił żeglarzowi wściekłe spojrzenie. Jego ludzie ruszyli się także. Uśmiechała się nadal. Nagle muzyka ucichła. Usłyszała przekleństwo przeszywające głuchą ciszę.

- Jesteś pełna życia - odezwał się żeglarz, schylając się ku ziemi. - Mam nadzieję, że jesteś tego warta.

W mgnieniu oka cała zawirowała, stoły i ławy wywrócono do góry nogami. Żeglarze i kupcy rzucili się na siebie; jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki w ich dłoniach zabłyśły noże. Pozostali goście ukryli się w bezpiecznych miejscach lub w pośpiechu opuścili tawernę przez najbliższe wyjście. Nie okazując przestrachu Oele odsunęła się na kilka kroków, przygotowując miejsce do walki.

Żeglarz ze sztyletem w ręku posuwał się naprzód w niskim skłonie.

Wysoki kupiec wymachiwał dłuższym, zakrzywionym ostrzem. Kiedy ich ludzie walczyli ze sobą, oni sami, jak za wzajemnym przyzwoleniem, przedarli się na sam środek sali. Nie wiadomo skąd w kierunku głowy kupca poszybowała duża, pękata flaszka. Oele wykonała gwałtowny ruch dłonią i flaszka zmieniła kierunek rozbijając się o ścianę.

Żeglarz wywinął się spod pierwszego cięcia napastnika i odpowiedział natychmiast cięciem znad głowy, raniąc go w ramię. Nie był w stanie uchylić się przed kontratakami, ale zdołał odparować cios swą własną bronią. Odskoczył w tył nie mogąc zadać pchnięcia, gdyż ostrze przeciwnika było o wiele dłuższe. Zaczął okrążyć go w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara mocno szurając nogami. Ponieważ przez chwilę odsłonił plecy w kierunku bijącej się gawiedzi, jakiś niski kupiec popędził w jego stronę. Oele ponownie poruszyła dłonią i mały człowieczek przeleciał przez salę, jakby ciśnie ty przez olbrzyma. Uśmiechnęła się i oblizwała wargi.

Podczas okrążenia stopa żeglarza napotkała mały stołek. Kopnął go w stronę przeciwnika.

Kupcowi nie przeszkodziły długie szaty i szybko odskoczył w bok, wyprowadzając cios na głowę żeglarza. Ten jednak wyciągnął z szarfy długą pałkę i powstrzymał cios, a następnie gwałtownym ruchem pchnął nią w brzuch kupca.

Kupiec doszedł do siebie i odparował uderzenie, ale jego pozycja była bardzo niedogodna. Tym razem pałka trafiła go w głowę. Upadł do tyłu oszołomiony próbując się bronić, ale padł cios, tym razem w lewy policzek. Potknął się, a maczuga uniosła się w górę i dosięgła go jeszcze dwa razy, celnie i szybko. Rozpłaszczył się na podłodze i został tak bez ruchu, w poszarganym odzieniu. Żeglarz zbliżył się do niego i wytrącił ostrze z jego wyciągniętej dłoni. Kupiec nie drgnął. Dysząc ciężko żeglarz otarł czoło i wsuwając pałkę za pas uśmiechnął się do Oele.

- Dobra robota - powiedziała. - Prawie. Spojrzał na swe ostrze i potrząsnął głową.

- Na tym koniec - rzekł. - Nie zarżnę go dla twego kaprysu.

Wsadził sztylet do pochwy na boku prawego buta. Walka między żeglarzami i kupcami trwała nadal, ale nie traciła na sile. Żeglarz spojrział szybko na walczących, a potem skłonił się Oele.

- Kapitan Reynar - przedstawił się - do usług. Pan własnego statku Tiger's Foot.

Wyciągnął dłoń.

- Chodź, pokażę ci go. Myślę, że spodobałaby ci się żegluga po południowych wodach.

Ujęła jego dłoń i ruszyli.

- Chyba nie - odparła. - Ponieważ ja także mam coś we władaniu i nie zamierzam tego porzucać. Może oszczędzimy tym nieszczęśnikom dalszych ran?

Machnęła dłonią w kierunku walczących, którzy padli nieprzytomni na ziemię.

- Świetna sztuczka - odezwał się. - Sam chciałbym się jej nauczyć.

Podniosła rękę ponownie. Tym razem drzwi stanęły przed nimi otworem.

- Być może cię nauczę - rzekła, gdy wychodzili.- Wiesz, moje pokoje są bliżej niż twój statek i z pewnością jest w nich więcej miejsca; bądź co bądź jutro rano wyruszamy w góry.

Uśmiechnął się do niej szerokim uśmiechem.

- Nie będzie łatwo przekonać kapitana, aby opuścił swój statek; choć twój urok jest niezaprzeczalny.

- Złóż dłonie.

Puścił jej ramię i wykonał polecenie. Położyła swoje dłonie na jego dłoniach - i za moment usłyszeli pbrzękiwanie. Po chwili ugiął się pod nieoczekiwanym ciężarem. Podniosła rękę. Jego dłonie wypełnione były błyszczącymi monetami. Było ich coraz więcej; rozsypywały się spadając na podłogę.

- Przestań! Przestań! Nie mogę ich utrzymać! - krzyknął.

- Czy mówiłeś coś o kapitanie i jego statku?

- Nie masz pojęcia, jak podle może być życie na morzu. Zawsze chciałem żyć w górach.

Dotknął czoła i podał jej ramię.

- W którą stronę? - zapytał.

Kiedy Dilvish i Reena zbliżali się do zamku, słońce zginęło za wzgórzem, które rzuciło długie cienie. W krainie, na dole, nadal panował dzień.

Stanęli i zmierzili go wzrokiem. Na murach obronnych powiewały proporce, a w każdym oknie świeciło się światło. Krata w bramie głównej była podniesiona, a z dziedzińca dolatywała cicha muzyka.

- Co o tym myślisz? - spytał Dilvish.

- Porównywałam go z zamkiem, który był mym domem - odparła Reena. - Mnie się podoba.

Zajrzeli przez bramę. Kobieta, która przy niej stała, zrobiła krok naprzód i powitała ich:

- Przybysze! Witajcie, jeśli szukacie schronienia.

Dilvish wskazał na ozdobione mury i długi dywan rozłożony za bramą.

- Co jest powodem tej parady? - zapytał.

- Naszej pani nie było przez jakiś czas - odpowiedziała kobieta. - Wraca dziś wieczorem z nowym wybrańcem.

- Musi być niezwykłą kobietą, by utrzymywać posiadłość w takim miejscu.

- Taka właśnie jest, sir. Dilvish popatrzył przez chwilę.

- Mam zamiar tu zostać - odezwał się w końcu.

- A ja mam zamiar wypocząć - powiedziała Reena.

- Chodźmy.

Ruszyli. Podeszli do krepcej, ciemnowłosej kobiety, która ich powitała. Miała ogromne dłonie, ruchy pewne. Twarz pokryta była pieprzykami. Uśmiechnęła się pokazując duże zęby i poprowadziła ich naprzód.

Dilvish naliczył pięcioro sług pracujących na dziedzińcu - dwie kobiety i trzech mężczyzn. Niektórzy z nich zawieszali dodatkowe dekoracje. Kobieta, która ich witała, wezwała jednego z nich.

- Ten zajmie się waszymi końmi - oświadczyła. Odwróciła głowę i zerknęła na Blacka. - Z wyjątkiem tego. Co chcecie z nim zrobić?

Dilvish spojrzał na niewielki kąt po lewej stronie.

- Może tam - odezwał się. - On się nie ruszy.

- Pewien jesteś?

- Pewien.

- Dobrze. Zrób tak. Ściągnijcie potrzebne rzeczy z koni, a ja pomogę wam przenieść je do waszych izb. Kolację zjecie z naszą panią, trochę później.

- W takim razie, chcę tę większą - powiedziała Reena, pokazując na paczkę. Tymczasem Dilvish i Black poszli w kierunku wybranego rogu.

- Jestem dziwnie zaniepokojony - odezwał się Black - naszym spotkaniem z tym staruszką. Nie opuszczę tego ciała, gdy będzie tu stało. W razie potrzeby wezwij mnie, a przybędę natychmiast.

- Dobrze - zgodził się Dilvish - choć wątpię, czy to będzie konieczne.

Black parsknął i zastygł w bezruchu, zamieniając się w posąg. Dilvish zsiadł na ziemię, sprawdził uprząż i ruszył za pozostałymi do zamku.

Kobieta która ich powitała, a którą zwali Andra, poprowadziła ich do komnaty na trzecim piętrze, wychodzącej na dziedziniec.

- Kiedy przybędzie pani z wybrańcem, prosimy was na biesiadę i do wspólnej zabawy-rzekła. - A tymczasem, czego wam jeszcze potrzeba?

Dilvish potrząsnął głową.

- Dziękujemy, ale nic. Ciekawi mnie, skąd znacie tak dokładny czas jej powrotu. To miejsce leży z dala od innych miejscowości.

Andra zdziwiła się.

- Przecież ona jest panią - odparła. - Wiemy. Kiedy wyszła, Dilvish wciąż kiwał głową.

- Dziwne... - odezwał się po chwili.

- A może nie - wtrąciła się Reena. - W tym miejscu dzieje się coś niezwykłego. Powinam to wyczuć, choć nie jest to takie silne, jak w moim poprzednim domu. Uważam, że pani Oele może być biegłą w jakiejś drugorzędnej magii. Nawet jej służący reagują na wszystko ospale, jakby byli pod czyjąś kontrolą.

- Nigdy o niej nie słyszałaś, ani o kimś z tej okolicy, jako o siostrze bieglej w Sztuce?

- Nie, ale jest tak wielu praktykujących tę Sztukę, że trudno śledzić ich wszystkich. Jedyne wyczyny tych największych stają się tematem do plotek.

- Tak jak twój poprzedni chlebodawca? Obróciła ku niemu głowę i zmrużyła oczy.

- Czy w każdej rozmowie musisz wracać do swego wroga i swojej zemsty!? - spytała. - Ja też go nienawidzę i wiem, ile przez niego wycierpiełaś. Zabił mojego brata! Ale niedobrze mi się robi, gdy o nim słyszę!

- Przepraszam - rzekł. - Wydaje mi się, że nieco się powtarzam...

Zaśmiała się.

- Nieco? - odparła. - Czy masz jakiś inny cel w życiu? Czy czasami słuchasz samego siebie? Ach ten sposób, w jaki on kontroluje twe myśli, twe czyny; równie dobrze możesz być pod jego zaklęciem! Nawet jeśli ci się uda i zniszczysz go, co potem? Czy coś jeszcze zostało ci z życia? Ty...

Przerwała i odwróciła twarz.

- Przykro mi - powiedziała. - Nie powinnam tak mówić.

- Nie - odparł nie patrząc na nią. - Masz rację. Nigdy tego nie zauważyłem. Ale ty masz rację. Czy uwierzysz, że wychowano mnie na dworzanina - że grałem na instrumentach, śpiewałem, pisałem wiersze?... Później okoliczności spowodowały, że musiałem zmienić zajęcie, ale byłem ze szlacheckiego rodu. Przypadek zrzucił, że rozwinąłem w sobie zdolności do walki, a konieczność poprowadziła mnie dalej tą drogą. Zawsze pragnąłem czegoś innego. Teraz... Wydaje się, że to było tak dawno! Powiedziałaś prawdę. Zastanawiam się...

- Nad czym?

- Co bym zrobił, gdyby to się już skończyło. Być może wróciłbym do swej ojczyzny, próbując naprawić krzywdy wyrządzone mojemu rodowi...

- Kolejna wendeta?

Zaśmiał się nietypowym dla siebie śmiechem.

- Bardziej sprawa dochodzenia własnych praw. Pomyślę o tym i o wielu innych sprawach. Nawet wielka luka w moim życiu przesunęła się nieco, od sennego koszmaru do normalnego snu. Tak, czasami powinienem zająć się innymi sprawami.

- Na przykład?

- Na przykład, czym zająć się do czasu kolacji?

- Pomogę ci coś wymyślić - powiedziała ruszając w jego kierunku.

Skwierczały płonące pochodnie i grała muzyka, gdy Reynar i Oele wjeżdżali na dziedziniec po długim dywanie. Kiedy mijali bramę, służba udekorowała ich girlandami z kwiatów. Oele uśmiechała się i kiwała głową na widok tańczących i ślizgających się cieni. Ale kiedy jej wzrok padł na ciemny kształt w odległym rogu, pulsujący metalicznym blaskiem, uśmiech zamarł jej na ustach. Ściągnęła lejce i wyciągnęła dłoń.

- Co to jest? - spytała niskim głosem. Andra pognała w jej kierunku.

- To należy do gościa, pani - oświadczyła. - Mężczyzny o imieniu Dilvish, który przybył tu wcześniej. Zaofiarowałam mu gościnę, jak sobie tego zawsze życzyłaś.

Oele zeszła z konia, podając lejce Andrzejowi. Przeszła dziedziniec i stanęła przed Blackiem. Okrążyła go nie odwracając od niego oczu. W końcu wyciągnęła ozdobioną klejnotami dłoń i

poklepała go po grzbiecie. Rozległ się brzęk. Odwróciła się i podeszła do Andry.

- W jak sposób - spytała - przewiózł posąg konia przez góry? I po co?

- Pani, to teraz jest posąg - odrzekła Andra - ale on na nim przyjechał. Gdy go tu stawił, powiedział, że nie ruszy się z miejsca. I nie ruszył się.

Oele spojrzała na Blacka. W tym czasie Reynard również zsiadł z konia i podszedł do niej.

- O co chodzi? - zapytał.

Wzięła go za rękę i poprowadziła do głównego wejścia.

- To... coś - rzekła wykonując ruch głową - przywiozło tu wcześniej swego pana.

- Jak to jest możliwe? - spytał Reynard. - Wygląda na to, że jest całkiem sztywny.

- Z pewnością nasz gość jest czarownikiem - odpowiedziała. - Jest to dla mnie nieco kłopotliwe.

- Czemuż to?

- Spieszyliśmy się dziś do domu, gdyż w nocy księżyc na niebie wejdzie w pełnię, a ja muszę zapewnić sobie moc, o której wspomniałam.

- I aby mnie obdzielić taką mocą? Uśmiechnęła się.

- Oczywiście.

Weszli po schodach i wkroczyli do ogromnej sieni. Z lewego rogu dobiegała muzyka. Reynard poczuł zapach egzotycznych perfum.

- A ten czarownik?... - zapytał.

- Niepokoi mnie fakt, że ktoś taki właśnie tu przebywa. Wybrał sobie dziwny czas.

Reynard uśmiechnął się, gdy prowadziła go ku schodom.

- Być może powinienem zmusić go do wyjazdu, aby ci dogodzić - zaproponował.

Poklepała go po ramieniu.

- Nie róbmy nic w pośpiechu. Zjemy z nim posiłek i przyjrzymy mu się.

Udali się schodami w górę, a następnie do jej komnat, gdzie wezwała służącą. Na wezwanie odpowiedziała kobieta przypominająca Andrę, ale wyższa i tęższa.

- Kiedy podadzą kolację? - zapytała Oele.

- Kiedy pani sobie zażyczy. Dania są już gotowe, a mięso piecze się od jakiegoś czasu na wolnym ogniu.

- Zaczniemy za godzinę. Poproś naszego gościa, aby nam towarzyszył.

- Tylko jego, pani? A co z damą?

- Nie wiedziałam, że jest ich dwoje. Jak się nazywają?

- Nazywa się Dilvish, a jego dama to Reena.

- Słyszałem gdzieś to imię - odezwał się Reynar. - Dilvish... Wydało mi się znajome, gdy ktoś na dziedzińcu wypowiedział je. To chyba jakiś wojak?

- Nie wiem - odpowiedziała kobieta.

- Oczywiście, poproś również Reenę - nakazała Oele. - Zrób to teraz.

Kobieta wyszła z komnaty, a Oele wyjęła swe szaty na wieczorną wieczerzę; prosty szary strój i srebrny pas.

Weszła za parawan, gdzie czekała na nią woda i ręczniki. Po chwili Reynar usłyszał dobiegające stamtąd pluski.

- Co wiesz o tym człowieku? - zawołała.

Reynar, który wyglądał przez okno, odwrócił się nagle.

- Jestem pewien, że mówią o nim, iż odznaczył się pod Portaroy - odpowiedział - w czasie tych nie kończących się wojen granicznych między Wschodem a Zachodem. Słyszałem, że jeździ na metalowym rumaku i że poprowadził armię umarłych. Ale nie pamiętam szczegółów. Nic nie wiem o kobiecie.

- Jest daleko od Portaroy - doleciał go głos. - Zastanawiam się, co tutaj robi?

Podszedł do toaletki, przeczesał włosy i oczyścił paznokcie. Znalazł jakiś kawałek szmatki i zaczął czyścić swe buty.

- Jeśli ma zamiar uczynić coś, co mogłoby przeszkodzić twoim planom na dzisiejszą noc - powiedział - to poradzisz sobie z tym?

- Ty nie musisz się martwić - odparła. - Mam dość sił. Zajmę się" tobą.

- Nigdy w to nie wątpiłem - odrzekł polerując klamrę u pasa.

Reena przebrała się w długą, wydekoltowaną, zieloną suknię z czarną lamówką i bufiastymi rękawami. Dilvish nałożył brązową bluzę, zieloną, skórzaną kamizelę, a czarne spodnie spiął pasem w tym samym, zielonym kolorze.

Gdy schodzili po schodach, dobiegły ich dźwięki muzyki dochodzące z jadalni - spokojne struny i flet. Po chwili poczuli również zapachy jadła.

- Bardzo pragnę poznać naszą gospodynię - oświadczył Dilvish.

- Muszę wyznać, że ważniejsze jest dla mnie gorące jadlo - odrzekła Reena. - Ile czasu minęło od ostatniej karczmy. Ponad tydzień...

Oele powitała wchodzących gości z uśmiechem. Reynar uczynił to samo. Przywitanie nie

trwało długo, a Oele poprosiła Reenę i Dilvisha, by zajęli miejsca. Służący wnieśli pierwsze danie i nalali wina. Przed Dilvishem, a za plecami Reeny, trzaskał ogień w palenisku. W drugim końcu komnaty siedzieli grajkowie.

Jedli łączywie przez kilka minut, zanim Dilvish zauważył, że jest w komnacie jeszcze jeden biesiadnik. Przy stoliczku, obok kominka, siedział staruszek odziany w skóry. Jego laska stała oparta o ścianę. Wyglądał na tego samego mężczyznę, którego spotkali wcześniej na szlaku. Kiedy ich oczy spotkały się, uśmiechnął się i pochylił głowę. Staruszek pokazał na szyję, a Dilvish wyszukał pod koszulą talizman i pokiwał głową.

- Nie zauważyłem wcześniej staruszka - odezwał się.

- Och, on już tutaj był - odparła Oele. - Pilnuje stada. Przechodzi tędy od czasu do czasu. Reynar mówi, że kojarzy twe imię z miejscem zwanym Portaroy. Czy ma rację?

Dilvish skinął głową.

- Walczyłem tam.

- Zaczynam sobie przypominać zasłyszane historie - zabrał głos Reynar. - Czy to prawda, że metalowa bestia, której dosiadasz, jest prawdziwym demonem, który pomógł ci w ucieczce z Piekła i który pewnego dnia porwie cię tam ponownie?

- On porywa mnie każdego dnia - uśmiechnął się Dilvish. - Pomagał mi wiele razy, ja jemu także.

- ...Słyszałem też o posagu. Czy to prawda, że ty też nim byłeś; tak jak ta bestia teraz?

Dilvish spojrział na dłonie.

- Tak - odpowiedział cicho.

- To niezwykle - zauważyła Oele. - Czy mogę spytać, co sprowadza człowieka z taką przeszłością w miejsce niezwykle odległe od miejsca jego triumfu?

- Zemsta - padła odpowiedź. - Szukam kogoś, kto mnie i wielu innym ludziom przysporzył niemało kłopotów.

- Kto to może być? - zastanowił się Reynar.

- Nie chcę sprowadzić klątwy na to miejsce, wypowiadając jego imię. Jest czarownikiem.

- Wygląda na to, że wyszukujesz sobie złych wrogów - stwierdził Reynar. - To nas łączy. Kiedyś, na Wschodnich Wyspach, zabiłem jednego czarownika. Przeklęty, prawie udusił mnie, zanim się do niego dobrałem. Przestałem oddychać. Na szczęście miałem doświadczenie w wyławianiu pereł...

Żeglarz chętnie rozprawiał o swych wożaczach, odpowiadając na kolejne pytanie.

Dilvish skupił się na jedzeniu. Kątem oka Dilvish dostrzegł rosnące rozdrażnienie u Oele, ale starała powstrzymać się przed uciszeniem mówcy. Z jego uśmiechów Dilvish wywnioskował, że Reena słuchała go z coraz większą fascynacją, nawet zaniedbując swą strawę.

Odwzajemniała mu uśmiechy. Dilvish zerknął na Oele, a ona mrugnęła do niego. Przeszył go dreszcz.

Nagle wszystko wokół niej stało się nieskończenie piękne i pełne pożądania. Bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Przypomnił sobie to uczucie, co wcale nie zmniejszyło wcześniejszego, olśniewającego wrażenia. Glamourie. Czuł to samo przed laty, w ojczystym kraju. W czarodziejski sposób podkreślała swój naturalny powab. Trwało to przez kilka chwil, by zaraz potem zniknąć? Siedziała teraz przed nim, jakby nic się nie stało. Jaki miała w tym cel, zastanowił się. Obietnica? Zaproszenie?

Kiedy skończyli wieczerzę, Oele wstała, utkwiała w nim wzrok i rzekła:

- Zatańcz ze mną.

Wstał, przeszedł wzdłuż stołu i dotarł do pustego skrawka komnaty, niedaleko muzyków. Reena i Reynar wstali również.

Ujął dłoń Oele i zaczął poruszać się w takt muzyki; spokojny, pełen godności. Była to odmiana czegoś, co poznał przed laty, szybko złapał rytm. Oele poruszała się z ogromną gracją, gdy tylko ich oczy spotykały się, uśmiechała się. W tych momentach przysuwała się do niego coraz bliżej.

- Masz cudowną żonę - stwierdziła.

- Ona nie jest moją żoną - odparł. - Wiozę ją do miasta na południu.

- A co potem?

- Zajmę się sprawą, o której wspomniałem. Nie chcę nikogo narażać na niebezpieczeństwo.

- To ciekawe - odrzekła przy kolejnym obrocie.

Gdy znów stanęła przed nim, ciągnęła:

- Widzę, że nie chcesz o tym mówić. Czy jesteś pogromcą demonów? Czy możesz nad nimi sprawować władzę?

Dilvish przyjrzał się jej twarzy, ale niczego nie dostrzegł.

- Tak - odezwał się w końcu. - Mam pewne doświadczenie w tej dziedzinie.

Po kilku taktach spytał:

- Dlaczego pytasz?

- Gdybyś poskromił prawdziwie silnego demona i podporządkował go sobie - rzekła - czy nie służyłby ci w walce z tym czarownikiem?

- To prawdopodobne - zgodził się, unosząc i opuszczając jej dłoń.

Otarła się o niego.

- Lepiej byłoby podporządkować sobie takiego, zanim on zdobędzie nad tobą przewagę;

wydawać mu polecenia nie płacąc za ich wykonanie, czyż nie?

Przytaknął.

- Przecież to dotyczy większości służących i posług, prawda?

- Oczywiście - zgodziła się. - Mam tu takiego...

- Tutaj? W zamku? - Dilvish przystanął z wrażenia.

Pokręciła głową.

- Niedaleko.

- I chcesz, abym go ujarzmił?

- Tak.

- Czy wiesz, jak się nazywa?

- Nie, ale czy to ważne?

- To konieczne. Myślałem, że znasz się na tym trochę.

- Dlaczego tak uważasz?

- Masz w sobie coś, co świadczy o twych pokrewieństwach z tymi siłami.

- Płacę za swą moc, ale jej nie rozumiem. Jestem zmęczona tym płaceniem. Jeśli podam ci jego imię, czy poskromisz Szatana i zostaniesz ze mną?

- A Reena?

- Powiedziałaś, że ona się nie liczy, że wkrótce się jej pozbędziesz...

- Nie powiedziałem, że się nie liczy. A co z Reynarem?...

- On nie jest ważny. Dilvish zamilkł.

- Jeśli chcesz tylko pozbyć się tego demona - rzekł - może uda mi się bez imienia.

- Nie chcę się go pozbywać. Chcę objąć nad nim całkowitą władzę.

- Nie jestem pewien, czy twój demon byłby tak wyrozumiały dla mnie, ale gdybyś podała imię, mógłbym zostać trochę dłużej i pomóc ci.

Ponownie oparła się o niego.

- Przekonywanie cię do pozostania sprawi mi ogromną radość - stwierdziła. - Może nawet jutro.

Unieśli ręce, opuścili je. Dilvish spojrział na Reenę i Reynara. Wydawało się, że rozmawiają, ale nie mógł podsłuchać ani jednego słowa.

Kiedy Reena podniosła się z głębokiego ukłonu, zauważyła spojrzenie swego partnera i uśmiechnęła się.

- Och, pani! Mało brakowało, abyś wyrwała się z tej sukni - rzekł. - Szkoda że nie jesteśmy gdzieś sami. Wtedy doprowadzilibyśmy sprawę do właściwego końca.

- Jak długo znasz Oele? - spytała Reena z uśmiechem.

- Kilka tygodni.

- Mężczyźni nie są wzorem wierności - stwierdziła. - Nawet jeśli tak, to nie jest długo jak na szaleńczą miłość.

- Wiesz... -jego twarz spoważniała. Oderwał wzrok od jej piersi i spojrzał na Oele. - Nie mam powodów, aby okłamywać nieznajomą. Ona jest piękna i pełna życia, ale trochę mnie przeraża. Widzisz, ona jest czarodziejką.

- Bzdura - zaprzeczyła Reena. - Nie odpowiedziała na żaden z rozpoznawczych znaków, powszechnych w tym rzemiośle, które do niej wysłałam.

- Ty? - otworzył szeroko oczy. - Nie wierzę!

Skinęła dłonią i komnata zniknęła. Tańczyli teraz w fosforyzujących jaskiniach, a wokół wznosiły się potężne kolumny stalagmitów. Po chwili wirowali przez blade piaski na dnie zielonego morza, raz po raz napotykając jasne koralowce i barwne ryby. Ale i ta sceneria szybko zniknęła. Zastąpiła ją ciemność kosmosu usłana gwiazdami, gdzie nie dotarł żaden człowiek. Na miarę olbrzymów i bogów stąpali cicho po konstelacjach w takt wszechobecnej muzyki. Jej dłoń przesunęła się przed jego oczami jak powolna, migocząca kometa. Powrócili do oświetlonej ogniem i świecami komnaty nie przerywając tańca i nie gubiąc kroku.

- Jestem przekonana, że twoja dama nie jest czarodziejką - oświadczyła Reena. - Wiedziałabym coś o tym.

- A zatem kim jest? - spytał. - Wiem, że ma we władaniu pewne moce. Jednym gestem potrafiła doprowadzić ludzi do nieprzytomności. Wypełniła moje dłonie złotem, kiedy złota nie było.

- To złoto przemieni się w kamienie i pył - powiedziała Reena.

- Zatem dobrze, że wydałem je szybko - odparł. - Następnym razem, gdy będę tędy przejeżdżał, postaram się unikać pewnych ludzi. Ale jeśli to nie są czary, to co?

- Czary - wyjaśniła - to sztuka. Wymaga długich studiów i dyscypliny. Trzeba bardzo się przykładać do nauki przez długi okres czasu, by uzyskać w miarę skromny status, tak jak ja. Jednak do magicznej władzy prowadzą też inne drogi. Można urodzić się z naturalnymi zdolnościami i dokonywać wielu sztuczek bez znużających ćwiczeń. To zwyczajna magia i wcześniej czy później - oczywiście jeśli braknie szczęścia i ostrożności - taki ktoś wpada w kłopoty, gdyż nie rozumie praw rządzących tymi zjawiskami. Nie wydaje mi się, aby to był przypadek twojej pani. Czarownik zazwyczaj nosi jakiś rozpoznawczy znak widoczny dla innych uprawiających to rzemiosło.

- A zatem jaki sekret ukrywa?

- Może czerpać swą moc bezpośrednio z magicznej istoty, której służy albo którą kontroluje.

Reynard otworzył szerzej oczy i spojrzał na Oele. Obliznął wargi i pokiwał głową.

- Myślę, że tak właśnie jest - rzekł. - Powiedz mi, czy taką moc można przenosić? Czy można się z nią dzielić?

- Tak. A dlaczego pytasz? To można zrobić. Inni także mogliby służyć lub sprawować kontrolę.

- Czy to jest niebezpieczne?

- Cóż... to możliwe. Jest tu tyle rzeczy, których nie rozumiem. Ale dlaczego chciałaby dzielić się swą mocą? Ja bym tego nie zrobiła.

Odwrocił wzrok.

- Chyba mam o sobie zbyt pochlebne zdanie - odezwał się w końcu. - Jak długo zamierzasz tu zostać?

- Wyruszamy jutro rano.

- W jakim kierunku?

- Na południe.

- By dokonać zemsty? Potrząsnęła głową.

- To nie moja zemsta, lecz jego. Ja zacznę nowe życie, być może w Toomie. On pojedzie dalej. Nie wierzę, bym mogła odwieść go od tego zamiaru, a nawet gdybym mogła, nie wiem czy powinnam.

- Innymi słowy, niebawem pójdziesz własną drogą?

Ścisnęła prawy kącik ust.

- Na to wygląda.

- Przypuśćmy... - powiedział - przypuśćmy, że oboje porzucilibyśmy to wszystko, by razem uciec? Mam własny statek, i gdybym miał teraz wypłynąć, udałbym się na południe. Są tam przedziwne i ciekawe porty. A w nich dobra zabawa, nowe rodzaje jadła, tańce i oczywiście moje wspaniałe towarzystwo.

Reena, ku swojemu zdziwieniu, zaczerwieniła się.

- Przecież dopiero co się poznaliśmy - szepnęła. - Prawie wcale cię nie znam... Ja...

- To działa w obie strony. Muszę przyznać, że jestem nieco postrzelony. Ale zawsze byłem dobry dla kobiet, które mi towarzyszyły.

Zaśmiała się.

- To trochę za wcześnie, ale dziękuję ci - rzekła. - A poza tym boję się morza.

Kiwnął głową.

- Musiałem skorzystać z szansy, ponieważ jesteś najcudowniejszą istotą, jaką kiedykolwiek spotkałem. Gdybyś zmieniła zdanie, póki jeszcze czas, pamiętaj, że nadal nie wiem, co robić, bo kieruje mną strach. Twoja decyzja przesądzi moją.

- To mi schlebia - rzekła. - Byłoby dużo uciechy, ale nie. Sam musisz podjąć tę decyzję i to dla twego dobra.

- A zatem postanowiłem ciągnąć to dalej - stwierdził. - Zobaczę, co się stanie. Może być tego warte.

- Domyślam się - przytaknęła - i życzę ci szczęścia. Kiedy?

Spojrzał w okno, w którym odbijała się blada luna światła.

- Wstaje księżyc - odezwał się.

- Spodziewałam się tego.

- W jaki sposób?

- To było w twoich uczuciach, w twoim postępowaniu.

- Skoro jesteś biegła w tych sprawach, czy możesz dać mi jakąś radę?

Popatrzyła mu głęboko w oczy.

- Uciekaj stąd - padły słowa. - Wracaj na swój statek i płyn na morze. Zapomnij o tym.

- Przebyłem daleką drogę - odpowiedział.

Gdy muzyka zbliżyła ich do siebie, wyciągnęła dłoń i musnęła palcami jego czoło.

- Piętno śmierci zaczyna pojawiać się na twym czole. Zrób, jak mówię.

Uśmiechnął się nieszczercze.

- Jesteś cudowną kobietą i być może trochę zazdrosną o swe umiejętności lub przestraszoną, co się stanie, gdy i ja je posiadę. Powiedziałem, że przybyłem z daleka i pomyślny wiatr wieje mi w plecy. Jest to dla mnie ważniejsze niż podnoszenie żagli.

- W takim razie - powiedziała - mogę przestrzec cię tylko przed jednym: bacz na to, co jesz i pijesz.

- To wszystko?

- Tak. Uśmiechnął się znowu.

- Po posiłku takim, jak ten, nie będzie problemu. Będę o tobie pamiętał, a może kiedyś los nas złączy.

Poczerwieniła i spojrzała w bok.

Gdy muzyka przycichła, ujął jej dłoń i poprowadził ją do stołu, by spróbować słodkości i wypić ostatni kielich wina.

Kiedy po posiłku opuszczali salę, Dilvish, wychodząc ostatni, poczuł, że ktoś szarpie go za rękaw. Odwrócił się i zobaczył staruszkę, który wcześniej siedział przy kominku.

- Dobry wieczór - pozdrowił go.

- Dobry wieczór, sir. Powiedz, czy zamierzasz już opuścić to miejsce?

Dilvish zaprzeczył.

- Zostaniemy tu na noc, wyruszymy z samego rana. Czy chcesz towarzyszyć nam w podróży?

- Nie, chcę jedynie powtórzyć me ostrzeżenie.

- Czy wiesz coś, czego ja nie wiem? - spytał Dilvish.

- Nie jestem filozofem, by odpowiedzieć na to pytanie - oświadczył staruszek, chwytając za rękę. Odwrócił się i pokuśtykał w stronę kuchni.

* * *

Jelerak pochylał się nad ofiarą. Dilvish zbliżył się do niego trzymając w dłoniach miecz. Kopnął na bok magiczne przedmioty i rzucając przekleństwa ruszył na pomoc ofierze. Tylko... Tylko że on się nie ruszał. Poczuł, że jego nogi stają się coraz cięższe, ruchy powolniej. Kiedy spojrzał w wypełnione nienawiścią oczy mrocznej postaci pochylającej się nad nim, przesunął wzrok na własną zaciśniętą pięść, nienaturalnie białą, twardą jak kamień, która miała być odpowiedzią na pojedyncze słowa przywołujące moce, które spadały na niego jak potok, ścisnęły jego wnętrze, zatrzymywały bicie jego serca... Zakołysał się, stanął sparaliżowany - jedynie jego kręgosłup zdawał się płonąć gorącym ogniem. Coś targało jego świadomość, a przez ryczący wiatr dobiegał go słaby, szwargocący głos. Czuł, jakby wrywano go z własnego ciała... Poczuł lekki wstrząs. Uniósł ręce i znowu je opuścił. Paniczny strach minął, gdy zdał sobie sprawę, iż leży w łóżku.

- Już dobrze - mówiła Reena. - To sen, zły sen... Już dobrze.

- Tak - przytaknął Dilvish przecierając oczy. - Tak...

Opuścił ręce i pogłaskał ją po udzie.

- Dziękuję - rzekł. - Przepraszam, że cię obudziłem.

- Śpij - odpowiedziała.

- Co to takiego?

- Co?

- Na prawo - powiedział cicho. - Spójrz na drzwi.

Minęło kilka chwil.

- Nie widzę ich...

- Ja też nie.

Postawił stopy na podłodze, wstał i przeszedł przez pokój. Stał koło miejsca, w którym powinny znajdować się drzwi. Wyciągnął rękę, dotknął ściany, nacisnął. Przesunął palcami po kamieniu. Przeszedł do drugiego rogu.

- To nie sztuczka - odezwał się. - Drzwi nie ma.

- Magia? - spytała. - Czy dzieło murarza?

- Trudno powiedzieć, ale to i tak nie ma znaczenia - odparł. - Tak czy inaczej, jesteśmy uwięzieni. Wstań i ubierz się. Pozbieraj swoje rzeczy.

- Po co?

- Po co? Bo zamierzam nas jakoś stąd wydostać.

Przeszedł przez pokój i stanął przy wąskim okienku.

- Czekaj! Czy jesteś pewien, że to rozsądne, nawet jeżeli znajdziesz wyjście?

- Tak - padła odpowiedź. - Kiedy ktoś czyni mnie więźniem, jestem pewien, że lepiej być z nim jak najkrócej.

- Ale jak do tej pory nikt nie próbował nas krzywdzić...

- Do tej pory? - rzekł. - Nie rozumiem, do czego zmierzasz.

- Na zewnątrz może być niebezpieczniej niż tutaj.

- Dlaczego tak uważasz?

- Dziś w nocy dzieje się coś niezwykłego. I niebezpiecznego. Reynar napomknął o tym, gdy z nim rozmawiałam. Tutaj czuję się bezpieczna. Czemu nie chcesz poczekać do rana?

- Nie dam się kontrolować - oświadczył Dilvish - zwłaszcza jeśli mogę sobie z tym poradzić.

Wychylił głowę przez okienko i zawołał:

- Black! Potrzebuję cię! Jesteśmy zamurowani w tym pokoju! Przybywaj!

Coś poruszyło się w głębi mroku po prawej stronie. Księżyc rozniecił ogień w jego oczach i czarny koń przeszedł kilka kroków. Stał. Gwałtownie odrzucił łeb w tył i wydał tak zawodzący jęk, że Dilvish odskoczył od okienka.

- Black! Co to! O co chodzi? - krzyknął.

- Sparzyłem się! - rozległ się głos. - Ktoś zamknął mnie w kręgu. Czy możesz go stamtąd przerwać?

- Myślę, że nie. Zaczekaj. Obrócił się w stronę łóżka.

- Ktoś uwiązał Blacka... - zaczął.

- Słyszałam - powiedziała. - Stąd nie potrafię go uwolnić.

- Dobrze.

Znalazł swe szaty i zaczął się ubierać.

- Co zamierzasz zrobić?

- Będzie trochę ciasno, ale zdołam się przecisnąć.

- Na dole są kamienie.

Ściągnął koc i przywiązał go do najbliższego słupka baldachimu.

- Mamy sporo pościeli, a to wystarczy, bym spuścił się w dół. Przynies miszkę i namocz ją. Będzie mocniejsza. Łóżka chyba nie da się przesunąć, chociaż... Nie, ani drgnie.

Skończył wiązanie pościeli i przewiesił przez plecy miecz. Podniósł wilgotną linę i wyrzucił ją przez okno.

- W porządku. Schodzę - powiedział, wskakując na stołek. - Szykuj się. Wkrótce po ciebie wrócę.

- Ale jak...

- Rób co każę.

Zaczął prześlizgiwać się przez okno. Zatrzymał się, by zdjąć miecz. Trzymał go teraz w jednej dłoni, w drugiej ścisnął linę. Wydychał ciężko powietrze, a po chwili już przeciskał się lewym ramieniem, powoli, czując na plecach kamienną kratę. Zrobił jeszcze jeden wydech i kontynuował przepychankę, ocierając się klatką piersiową o najwęższy kawałek okna. Kiedy się wyswobodził, w twarz powiał mu chłodny, nocny wiatr. Przewiesił miecz przez plecy. Ścisnąc w obu dłoniach linę spuszczał się w dół.

Jego elfie buty znajdowały oparcie tam, gdzie inne ześlizgiwałyby się po powierzchni. Pochylając się z trudem, naprężając ramiona, schodził po murze. Zatrzymał się, by otrzeć dłonie, jedną po drugiej. Jego ciężar wyciskał całą wilgoć z mocno napiętej materii. Spojrzał w górę, zerknął kilka razy w dół. Księżyc znajdujący się w połowie swej drogi po nieboskłonie rzucał mleczną mgiełkę na pogrążony w bezruchu dziedziniec i chropowaty mur, po którym schodził.

Po dotarciu na koniec liny zamierzał zawiesić się na jednym ramieniu i zeskoczyć. Zanim jednak zdążył zająć taką pozycję, jego ręce ześlizgnęły się. Runął do tyłu; poczuł na całym ciele gwałtowne szarpnięcie, ale wylądował na nogach, gdyż jego zaczarowane buty wezwały niezbędne moce zapewniające lądowanie na obu nogach.

Przyklęknął. Gdy tylko dotknął ziemi, zrobił przewrót w przód, uderzając piętami w twardą powierzchnię.

Podniósł się szybko, zapiał pas w bardziej tradycyjny sposób i rozejrzał się dokoła, nad słuchując wszelkich sygnałów zbliżającego się niebezpieczeństwa. Prócz wiatru i własnego ciężkiego oddechu nie usłyszał niczego. Jego oczy nie ujrzały też niczego niezwykłego.

Przebiegł przez dziedziniec i stanął przy Blacku.

- Kto to zrobił? - zapytał.

- Nie wiem. Nie miałem pojęcia, że jestem uwiązany, dopóki nie próbowałem się ruszyć. Gdybym wiedział, co się dzieje, nie czekałbym, aż skończą. Mogę przypomnieć ci procedurę uwalniania, jeśli nie pamiętasz...

- To zajmie zbyt dużo czasu - odparł Dilvish. - Ponieważ mogę zrobić kilka rzeczy, których ty nie potrafisz, po prostu przerwę krąg i wydostanę cię z niego.

- To będzie bolało. Jest silny. Dilvish zachichotał cicho.

- Wszystko jedno, znam gorszy ból.

Podszedł bliżej, czując najpierw mrowienie, a potem przeszywający ból. Zatrzymał się na moment, ból stawał się coraz bardziej rozdzierający, jakby całe jego ciało spowite było ogniem; kręciło mu się w głowie. Wkrótce katusze ustały. Zrobił jeszcze jeden krok i dotknął Blacka obiema dłońmi.

- Odsączyłem to, co najgorsze - powiedział siadając w siodle. - Ruszaj!

Black ruszył. Uczucie mrowienia nie ustępowało. Ale już po chwili przejechali dziedziniec kierując się do głównego wejścia.

- Po schodach! - nakazał Dilvish, a Black skoczył do przodu stukając kopytami. - Na prawo, dookoła w górę. Potem następnymi schodami.

Gdy przejeżdżali, zamigotały świece, załopotały gobeliny, wisząca na ścianach broń zaterkotała, obijając się o kamienne ściany.

- Skręć teraz w prawo na szczyt drugich schodów. Skręć raz jeszcze w prawo. Wolno, wolno... Bliżej środka korytarza. Stój!

Dilvish zeskoczył na ziemię, podszedł do ściany i położył na niej dłoń.

- To było tutaj! - rzekł. - Gdzieś tutaj, są te drzwi. Reena!

- Tak - doleciał cichy głos zza ściany.

- Nie wiem, co z nimi zrobili - stwierdził - ale potrzebujemy nowych.

- Mam przecucie - odezwał się wolno Black - że stare drzwi tu są. Wpadliście w pułapkę złudzenia. Ale to tylko przecucie, sam ich nie widzę. Zatem, zaczynamy od podstaw, że tak się wyrażę.

Black cofnął się, rzucając gigantyczny cień. Potem nastąpiła długa cisza, pierwsza cisza odkąd wjechali do zamku. W ciszy Dilvishowi zdawało się, że słyszy głosy i kroki dochodzące od strony schodów. Jednak nikogo nie było widać. Wkrótce milczenie zostało przerwane, gdy Black uniósł przednie nogi, by uderzyć w ścianę.

Dilvish wycofał się, kiedy odłamki kamienia rozprysły się na posadzce. Black ponownie nabierał rozpędu. Jego drugie uderzenie wykrzesало iskry z kamienia. Po trzecim wypadzie na ścianę pojawiła się szczelina.

Na korytarz wpadła gromada służących z pałkami w dłoniach. Zatrzymali się, gdy Black stanął dęba i ponownie uderzył w ścianę.

Kobieta o imieniu Andra podeszła bliżej, przywołując go.

- Powiedziałeś, że metalowa bestia nie ruszy się z miejsca - krzyknęła.

- ...I tak miało być - dopóki mnie nie uwieziono - padła odpowiedź.

Black znów runął na mur. Kamień zatrzęsł się i rozpadł na kawałki. Pojawiła się wyrwa wielkości ludzkiej głowy.

Po kilku chwilach niepewności, służący - czterej mężczyźni i dwie kobiety - ruszyli do przodu. Dilvish sięgnął po miecz. Kolejny skok Blacka na ścianę powiększył otwór trzykrotnie.

Dilvish zwrócił się ku nadchodzącym sługom. Opuścił ostrze miecza i przeciągnął nim po posadzce.

- Poćwiartuję pierwszego, który przekroczy tę linię - zagroził.

Z tyłu rozległ się łomot i odgłos sypiącego się tynku.

Postacie zawahały się, stanęły. Następny cios Blacka wstrząsnął całym zamkiem.

- Przeszedłem - odezwał się wychodząc z otworu.

- Reena? - zapytał Dilvish nie odrywając oczu od swych mruczących przeciwników.

- Tak - jej głos dochodzący z bliska był bardzo wyraźny.

- Wsiadaj - polecił. - Wyjeżdżamy stąd.

- Tak.

Dilvish usłyszał za sobą jakiś ruch. Wkrótce pojawił się cień Blacka. Spojrzał w górę i zajął miejsce tuż za Reeną.

- Lepiej zejdźcie mi z drogi! - ogłosił. - Jedziemy!

Potrzęsnał mieczem.

- Zabierz nas stąd - nakazał Blackowi i ruszyli.

Sześć postaci przywarło do ścian, by ustąpić im z drogi. Trzymali broń w pogotowiu, ale

nie próbowali jej użyć. Ich pozbawione wyrazu oczy wpatrywały się w wypełniony kurzem korytarz. Kiedy Black skręcił w kierunku schodów, Dilvish obejrzał się za siebie. Drzwi pojawiły się znowu, dwie stopy za nowym otworem w ścianie.

Zjeżdżali schodami w dół. Nic nie blokowało ich drogi. Opuścili wieżę i wyjechali na pusty dziedziniec. Zauważyli, że krata w bramie była podniesiona.

- Dziwne - zauważył Dilvish, unosząc dłoń.

- Może - odezwała się Reena, a Black przyspieszył kroku i popędzili w kierunku bramy. - Mam tu twój płaszcz...

- Trzymaj go, dopóki nie odjedziemy dalej. Black, kiedy dojedziesz do wczorajszego szlaku, skręć w lewo.

- Konie... - szepnęła Reena. - Inne rzeczy...

- Nie mam zamiaru po nie wracać.

Kiedy księżyc osiągnął pełnię, Black rozpoczął wspinaczkę. Gonił ich zimny wiatr, a w oddali jakieś zwierze zaszczekało, zawyło i znieruchomiało. Reena spojrzała na zamek, zadrżała i znalazła ukojenie w ramionach Dilvisha.

- Wiesz, że umrzesz, wiesz o tym - odezwała się. - On zamierza cię zabić. Nie masz żadnej szansy.

- Kto?

- Jelerak. Nie ma sposobu, byś kiedykolwiek mógł zniszczyć kogoś takiego.

- Całkiem możliwe - przytaknął Dilvish - ale muszę spróbować.

- Po co?

- Wyrządził wiele krzywd i wyrządzi jeszcze więcej, zanim ktoś go nie powstrzyma.

Dotarli do szlaku, a Black, wciąż pędząc w górę, skręcił w lewo.

- Na świecie zawsze istniało zło i zawsze istnieć będzie. Dlaczego akurat ty masz uwolnić od niego świat?

- Ponieważ widziałem, ile go wyrządził, i to z bliska, dokładniej niż inni ludzie.

- Ja także go doświadczyłam, ale wiem, że nic nie da się z tym zrobić.

- Różnimy się - odpowiedział.

- Nie wierzę, że kieruje tobą pragnienie zrobienia czegoś dobrego dla świata. To nienawiść i zemsta.

- To także.

- Tylko to.

Dilvish milczał przez moment.

- Być może masz rację - rzekł. - Chciałbym wierzyć, że jest coś jeszcze. Przypuszczam jednak, że się nie mylisz.

- Nawet jeśli cię nie zniszczy, wypaczy twój charakter, doprowadzi cię do ruiny. A może już to zrobił.

- Potrzebuję nienawiści. Ona mi służy. Daje przewagę. Gdy zniknie jej obiekt, ona również zginie.

- Tymczasem nie ma miejsca na nic innego. Na przykład na miłość.

Dilvish wyprostował się lekko.

- Jest miejsce na wiele innych uczuć, ale teraz muszą się one podporządkować temu jednemu.

- Gdybym cię poprosiła, abys ze mną został, zrobiłbyś to?

- Na jakiś czas tak.

- Tylko na jakiś czas?

- Tylko to można naprawdę obiecać.

- A gdybym poprosiła cię, byś zabrał mnie ze sobą?

- Odmówiłbym.

- Dlaczego? Mogłabym się przydać.

- Nie będę ryzykował twojego życia. Jak już wspomniałem, w moim sercu jest miejsce na inne uczucia.

Wsparła na chwilę głowę na jego ramieniu.

- Oto twój płaszcz - odezwał się. - Jest zimno. Jesteśmy wystarczająco daleko...

- Zatrzymaj się, Black. Tylko minutę. Zwolnili.

Obserwował tańczącą dla Szatana Oele z rosnącym uczuciem przerażenia. Siedział przed ciemnym stosem kamieni, na szczycie którego leżał srebrny sztylet. Na ziemi wokół niej pojawił się jasny wzór. W dłoni ścisnął kielich. Wiał zimny wiatr.

- Wypij wszystko - nakazała. - To część obrzędu.

Kiedy spojrział na parujący kielich, przypomniał sobie słowa Reeny. Uniósł go i gdy Oele zawirowała w tańcu, udał, że wypija jego zawartość. Kichnął. Przypominała wino zaprawione korzeniami, ale zapach był nieco osobliwy. Dotknął językiem wilgotnego brzegu i poczuł gorzki smak. Kiedy Oele spojrzała na niego, przechylił głowę i podniósł kielich, jakby miał zamiar go opróżnić. Gdy odwróciła wzrok, wylał wszystko przez ramię, w ciemność.

Przebiegła dziwka! - pomyślał. Nie ma zamiaru niczego dawać. Moja cudowna Reena miała rację. Założę się, że chce mnie złożyć w ofierze. Udam śpiącego i zobaczę, co się stanie. Dziwka.

Postawił kielich na ziemi i oparł się o ołtarz. Jasny wzór stawał się coraz bardziej skomplikowany. Sposób, w jaki się poruszała, hipnotyzował go. Każdy inny mężczyzna, gdyby tylko doszedł do tych samych wniosków co Reynar, wzięłby nogi za pas, ale w jego awanturniczym życiu nie brakowało niebezpiecznych sytuacji. Uśmiechnął się, gdy ujrzał figurę Oele prześwitującą przez jasnoszare szaty, pamiętając, by ziewnąć, gdy na niego spojrzy. Szkoda... Tak bardzo mu się podobała.

Po chwili wpadł w panikę. Dreszcz, niewspółmierny do wiatru i nocy, przebiegł mu po szyi i ramionach. Tak jakby ktoś stał za nim, przyglądając się uważnie. Stwierdził, że mógłby chwycić sztylet i bronić się, trzymając niespodziewanego gościa za ołtarzem. Jednak... Nigdy wcześniej nie był obiektem takiego zainteresowania, tak intensywnej lustracji. Nigdy spotkanie z nieznanym nie powodowało u niego takiego drżenia rąk, ucisku w żołądku, i całkowitej obcości. Czuł, jak drętwieją mu wszystkie członki, gdy próbował odwrócić swój wzrok od Oele, kończącej taniec, i spojrzeć na przybysza.

Pragniesz oszukać kapłankę - padły słowa niczym krople krwi - postępując tak, oszukujesz także mnie.

- Kim jesteś? - zapytał Reynar wewnętrznym głosem obcego.

- Tego się nigdy nie dowiesz - padła odpowiedź.

Oparł się ciężko o ołtarz i używając całej swej siły odwrócił się w kierunku postaci. W jego polu widzenia pojawiło się coś zupełnie czarnego. Siła, która z niego emanowała, zupełnie go zniewoliła. Nie mógł się ruszyć. Wiedział, że nie zdoła sięgnąć po sztylet leżący na kamieniu, a nawet, gdyby się udało, mały byłby z niego pożytek wobec istoty, która go opanowała.

Osunął się, udając całkowicie wyczerpanego, lecz jednocześnie lewą ręką chwycił za brzeg kamienia. Prawą opuścił luźno wzdłuż ciała. Kiedy przechylił się do przodu, dostrzegł, że Oele zwolniła kroku i wykonując ostatnie figury tańca zbliżała się do niego. Zauważył, że księżyc świecił teraz wysoko w górze. Nadal czuł, że ktoś stoi za ołtarzem, ale jego uwaga nie była już tak skupiona, jak przed chwilą. Reynar zastanawiał się, czy porozumiewał się z Oele.

Przechylił się jeszcze bardziej i utkwiał wzrok w nadchodzącej dziewczynie. Zatrzymała się kilka kroków dalej. Taniec dobiegł końca. Przymknął powieki, jego oddech stał się głębszy. Ale ona nie zwracała na niego żadnej uwagi. Bardziej interesowało ją to, co stało za nim.

Czekał zastanawiając się, w jakim stopniu został ujarzmiony, ale bał się to sprawdzić. Minęło wcześniejsze przerażenie. Jego miejsce zajęło kontrolowane napięcie, wzmożona czujność, która zawsze nadchodziła w chwilach kryzysu.

Wydawało się, że Oele przemawia, ale nie słyszał jej słów. Potem wyglądało na to, że słucha, choć nie dobiegały go żadne odpowiedzi. Wkońcu poruszyła się i minęła go z obojętnym spojrzeniem. Wyciągnęła rękę i z kamiennej powierzchni podniosła sztylet.

Ruszyła ku niemu, unosząc lewą dłoń, jakby w zamiarze chwycenia go za włosy.

- Dziwka! - syknął, dobywając noża ukrytego w bucie. Machnął nim w górę i w dół, choć nadal czuł lodowatą moc dobiegającą zza ołtarza, próbującą objąć nad nim władanie.

Twarz Oele pełna była zdumienia. Wydała krótki okrzyk, osunęła się na ziemię, a sztylet ofiarny wysunął jej się z palców.

Chwycił ją ratując przed upadkiem, odwrócił się i ułożył na ołtarzu.

- Oto twoja krew! - warknął. - Weź ją i idź do diabła!

Trzymał przed sobą nóż. Zrobił krok w tył, spodziewając się w każdej chwili nadprzyrodzonej zemsty.

Zemsta nie nadeszła. Czarna postać stała w ukryciu za ciałem jego krwawiącej kochanki. Czuł, że mu się przygląda, ale nieznajomy nie uczynił nic, by przejąć nad nim kontrolę lub by zadać cios.

Czując, że wracają mu siły, cofnął się jeszcze trochę i nie odrywając wzroku od postaci, zaczął szukać najbezpieczniejszej drogi odwrotu.

- Żeglarzu, żeglarzu - doleciał go głos, teraz wyraźny na tle wietrznej nocy. - Dokąd zmierzasz?

- Jak najdalej od tego przeklętego miejsca! - odpowiedział.

- Po co tu przybyłeś? Machnął sztyлетem.

- Obiecała mi moc na miarę swojej.

- A więc dlaczego uciekasz?

- Skłamała.

- Ale ja nie kłamię. Nadal możesz ją mieć.

- Jak? Dlaczego? O czym mówisz?

- Mam przed sobą dwie drogi. Z większą niechęcią opuściłbym ten świat, niż sobie to wyobrażałem. Nie zadowala mnie to w pełni, ale cóż. Spójrz na zamek, z którego przybyłeś. Jeśli chcesz, jest twój. I wszystko, co się w nim znajduje. Jeśli rozkażesz, zniknie w jednej sekundzie, a ja wybuduję ci inny, według twego życzenia. To zależy tylko od ciebie. Możesz mieć to, co miała ona; mogę ci dać wszystko, czego zapragniesz - bo potrzebuję ciebie.

- W jaki sposób?

- Ona była moim łącznikiem z tą sferą istnienia. Potrzebuję czciciela, by skupić swą energię na tym świecie. Ona była moim ostatnim wyznawcą. Teraz moja obecność słabnie, a ja będę musiał udać się do miejsc Praprzodków. O ile nie znajdę innego czciciela.

- Mnie?

- Tak. Służ mi, a ja będę służył tobie.

- ...A jeśli powiem nie? Zapanowała cisza, a po chwili:

- Nie będę próbował cię zatrzymać. Chyba tak naprawdę już dawno chciałem skończyć z

tym miejscem, ale jestem tu, gdyż mogę doświadczyć czegoś ciekawego. Nie będę jednak próbował cię zatrzymać.

Reynar zaśmiał się.

- Jest tyle rzeczy, których pragnę. Byłbym głupcem, gdybym odrzucił twoją propozycję. Właśnie zdobyłeś nowicjusza, kapłana, wielbiciela, co tylko chcesz. Daj mi moc, jaką posiadała ta mordercza dama i naucz mnie zasad swojej wiary. Przed świtem chciałbym odjechać na swoim koniu.

- Zatem odłóż broń, żeglarzu, i podejź do ołtarza...

Dilvish i Reena zeszli z konia, by przywdziać cieplejsze szaty, gdy Dilvish dostrzegł jakąś postać schodzącą ze wzgórza po prawej stronie.

- Ktoś nadchodzi - powiedział do Reeny, która natychmiast obejrzała się w kierunku zamczyska.

- Nie. Stamtąd - pokazał ręką. - Lepiej jedźmy dalej.

Skończył przywiązywanie pakunków i pomógł Reenie dosiąść konia.

- Hej! Dilvish! - krzyknęła nadchodząca postać. - Reena!

Zawahali się przebijając wzrokiem noc. Wówczas księżyc oświetlił przybysza.

- Zaczekajcie! Musimy o czymś pomówić! Black odwrócił łeb.

- Nie podoba mi się to - warknął. - Jedźmy! Dilvish obszedł go wokół.

- Nie boję się Reynara - odparł.

Przez chwilę obserwował schodzącego ze zbocza.

- Co znowu? - zawołał. - Czego chcesz? Reynar przystanął w odległości dwudziestu kroków.

- Czego chcę? Tylko dziewczyny. Tylko Reeny - odpowiedział. - O ile nie chcesz znów zmienić się w posąg. Ustaliliśmy to.

Dilvish spojrzał do tyłu.

- Czy to prawda? - zapytał.

- Nie... tak... nie - zająknęła się.

- Wydaje się, że mamy tu niemałe zamieszanie od jakiegoś czasu - krzyknął do Reynara Dilvish. - Nic nie rozumiem.

- Spytaj ją, co się stało z drzwiami - odparł Reynar.

Dilvish zerknął na Reenę, która odwróciła od niego wzrok.

- A więc?... - mruknął. - Chciałbym wiedzieć.

- To moja sprawka - wydusiła z siebie. - Jedno z moich lepszych zaklęć. Dla każdego innego drzwi zniknęły. Ja mogłam przejść przez nie z łatwością.

- Ale dlaczego? I skąd on o tym wiedział? *

- Cóż... Powiedziałam mu, że zamierzam to uczynić. Właśnie kończyłam wypowiadać zaklęcie, kiedy się obudziłeś. To powstrzymało mnie przed drugim zaklęciem.

- Drugim? Jakim?

- Zaklęciem sennym. Aby zatrzymało cię tam, dopóki nie zrobię tego, co postanowiłam.

- Obawiam się, że nadal niczego nie pojmuję. Co postanowiłaś?

- Uciec ze mną - odezwał się Reynar. - By nauczyć mnie korzystania z mej nowej mocy.

- Zaczynam rozumieć - powiedział Dilvish. - Dlaczego mi po prostu nie powiedziałaś? Nie mam do ciebie żadnego prawa. Ja...

- Powiedziałam, że się na to zdecydowałam! - prawie warknęła. - Byłoby o wiele prościej, gdybyś się nie obudził!

- Następnym razem będę już wiedział.

- Ale ja się zdecydowałam! Nie powinnam rzucać żadnego z tych zaklęć. Nie chcę z nim zostać. Chcę jechać dalej z tobą.

Dilvish uśmiechnął się.

- A zatem nie ma problemu. Przykro mi, Reynar. Dama dokonała wyboru. Jedziemy, Reena.

- Zaczekaj - odezwał się cicho Reynar. - Ta decyzja należy do mnie.

Dilvish zobaczył jasną iskrę, która pojawiła się nad szczytem wzgórza. Popłynęła w kierunku wyciągniętej prawej dłoni Reynara, zwiększając swą objętość. Gdy się zbliżyła, trzymał już w dłoniach jasnoblękitną kulę światła, którą po chwili odrzucił za ramię.

- Ty - powiedział do Dilvisha - jesteś tu zbędnym bagażem.

Wypuścił kulę z dłoni. Dilvish spróbował uchylić się, ale kula pofrunęła jego śladem. Uderzyła go z całej siły w piersi, odbiła się i spadła na ziemię osiem stóp przed nim. Tam eksplodowała, tworząc błyszczącą fontannę iskier i zostawiając po sobie dymiącą dziurę.

Dilvish rzucił się do przodu. Reynar uniosł w górę ręce, wymachując nimi w powietrzu.

Dilvish poczuł, że powinny spaść na niego kolejne ciosy. Miał wrażenie, że gwałtowne porywy wiatru rozbijają się obok i przelatują dalej... Wspiął się na stok, powoli rozumiejąc zdziwienie malujące się na twarzy żeglarza.

- Szatan mnie okłamał - rzekł. - Powinieneś już nie żyć.

Dilvish spojrzął za niego i dostrzegł kształt niskiego ołtarza z ciałem Oele na wierzchu, małym i bladym w świetle księżyca.

- Black! - wykrzyknął zaczynając rozumieć. - Zniszcz ten ołtarz!

Za chwilę usłyszał odgłos metalowych kopyt. Reynar zakręcił się, wyciągnął rękę i wypuścił z plecaka strumień ognia, który trafił Blacka w grzbiet z lewej strony. Trafione miejsce poczerwieniało, ale Black pędził dalej nie zwalniając kroku, jakby nie zdając sobie sprawy z tego, co się stało.

Reynar stanął twarzą w twarz z Dilvishem. Pochylił się na moment, by podnieść z ziemi ostrze.

- Jeśli nie podlegasz magii - wycedził - to mam tu coś lepszego.

Miecz Dilvisha, cztery razy dłuższy od ostrza przeciwnika, westchnął w jego dłoni. Dilvish ruszył do przodu gotowy do walki.

Palce Reynara zacisnęły się nerwowo, a jego lewa ręka wykonała posuwisty ruch.

Ostrze wyrwało się z uścisku Dilvisha i szybując w powietrzu, zniknęło z pola widzenia.

- A więc tylko twoja osoba odporna jest na tę moc - stwierdził Reynar, skacząc gwałtownie do przodu.

Dilvish uniósł przed sobą płaszcz okręcając nim lewe ramię. Ostrze przebiło szatę poniżej jego ramienia. Natychmiast pchnął w przód i w dół, wyciągając jednocześnie prawą ręką nóż i celując nim przed siebie.

Reynar szybko przyszedł do siebie, ale upuścił własną broń. Ostrze Dilvisha trafiło go w ramię i zmiażdżyło mu kość, zanim zdołał je wyciągnąć. Kucając nisko przy ziemi, zaczęli krążyć wokół siebie. Reynar ponownie wykonał posuwisty ruch dłonią, a Dilvish poczuł silny wiatr przelatujący obok niego. Jednak tylko skrawek jego płaszcza uniósł się w podmuchu. Poczł ciepło na piersiach.

Na sekundę zerknął w dół. W miejscu, gdzie odchyliła się koszula, jaśniał delikatnie amulet ofiarowany przez starca. Gdy Reynar pchnął ponownie, potrząsnął płaszczem i powstrzymał cios. Ripostował natychmiast, choć przeszył jedynie powietrze, gdyż żeglarz wycofał się zwinnie. Z oddali usłyszał silne uderzenie. To Black rozbijał ołtarz.

Kiedy Reynar dostrzegł amulet, otworzył szeroko oczy. W jego umyśle zaczęły rodzić się podejrzenia. Zmrużył oczy po chwili i gwałtownie, zbyt gwałtownie, zaczął podchodzić Dilvisha z lewej strony. Dilvish przeczuł zamiar przeciwnika i szybko wyprostował się. Kiedy lewa ręka zamachnęła się znowu, nie była to magia, ale garść błota wymierzona prosto w jego twarz.

Niechętnie opuścił płaszcz, zakrył oczy prawym ramieniem i obrócił się pewien, że nastąpi kolejny atak. Nóż Reynara drasnął go w żebra po lewej stronie. Trzymając w górze dłoń i nie mogąc zająć właściwej pozycji, uderzył rękojeścią swej broni w ramię, które zranił wcześniej. Usłyszał ostry oddech i chwycił przeciwnika za bary. Reynar zdołał go odepchnąć, sam odskakując w tył. Przerzucił nóż z prawej ręki do lewej, rzucił się do przodu i zadał cios.

Dilvish poczuł cięcie w rękę. W tym momencie usłyszał jak Black ponownie rozprawia się

z kamiennym ołtarzem. Odparował cios, ale Reynar był już poza zasięgiem. Przez chwilę obaj skierowali wzrok na szczyt, nad którym pojawiło się nikłe, czerwone światło otaczające aureolę Blacka i ołtarz.

Reynar podniósł prawą rękę wymierzając ją w Dilvisha, podobnie jak poprzednio w Blacka. W jego pierś popłynął strumień ognia, trafił w okolice promieniującego amuletu i zawrócił jakby odbity w zwierciadle. Reynar powtórnie zaatakował go swym nożem.

Rzucił się do przodu i przykucnął. Dilvish machnął nożem w dół. Reynar wyprostował się niespodziewanie, wysunął rękę, chwycił amulet i szarpnął.

Nitka puściła i Reynar cofnął się, trzymając amulet w dłoni.

Kiedy Black stawał dęba, powoli, jakby mocując się z jakąś przeciwną siłą, czerwona poświata stała się jaśniejsza.

- A teraz zobaczymy, jak sobie poradzisz! - wrzasnął Reynar, a na koniuszkach jego palców zatańczyły ogniki, które rozsypując się, utworzyły ognisty miecz.

Zrobił kilka kroków w przód, a światło na szczycie zamigotało i zgasło przy akompaniamencie trzasków i stukotów. Dilvish odsunął się, gdy rozpadły się nad nimi kawałki skał. Otrzeptał swój płaszcz, trzymając nisko ostrze.

Atak Reynara utworzył w płaszczu potężną dziurę. Dilvish cofnął się dalej, a gdy przeciwnik machnął płonąca bronią, ognisty miecz przygasł, zamigotał raz, drugi i zginął.

- Takie jest całe me życie - zauważył Reynar kiwając głową. - Wszystko, co dobre, znika szybko.

- Skończmy z tym przekleństwem - odezwał się Dilvish. - Twoja moc się wyczerpała.

- Być może masz rację - odpowiedział Reynar opuszczając ostrze i robiąc krok do przodu.

Stał wyżej niż Dilvish i nagle upadł, ześlizgując się w dół. Lewą stopą zaczepił się o piętę wysuniętej prawej nogi Dilvisha. Prawą stopą uderzył go pod kolanem, wyprostował nogę i pchnął.

Kiedy Dilvish padał na plecy, Reynar już się podnosił. Skoczył do przodu z uniesionym ostrzem, rzucając się na nieruchome ciało.

Dilvish otrzeźwiał, kiedy poczuł na sobie ciężar Reynara; zrobił przewrót w przód i obrócił się. Wsparł się na prawym ramieniu, podciągając lewe. Reynar upadł na ziemię tuż obok i Dilvish poczuł, jak sztywnieje jego ciało przebite sztyłem. Nie tknął ostrza, dopóki Reynar nie opadł ze wszystkich sił. Potem klęknął na kolano i przewrócił przeciwnika na plecy.

Twarz żeglarza wykrzywiła się w świetle księżyca.

- Jak mogłem skoczyć tak nieuważnie... - wymamrotał. - W końcu i mnie to dopadło... Och! Ten piekący ból! Nie wyciągaj ostrza dopóki nie odejdę, dobrze?

Dilvish kiwnął głową.

- ...żałuję, że ją spotkałem! Dilvish nie spytał, kogo miał na myśli.

- Nie wiem, dlaczego dał mi moc, a tobie ochronę...

- Nie tak dawno temu spotkałem człowieka - odparł Dilvish - który w jednym ciele skupiał dwie odmienne osobowości. Słyszałem też o innych przypadkach. Jeśli może się to zdarzyć człowiekowi, dlaczego nie miałyby się przytrafić i bogu?

- Szatanowi - poprawił go Reynar.

- Być może różnica między nimi nie jest tak wyraźna, jak myślą ludzie, zwłaszcza w tych trudnych czasach. Dawno temu znałem to miejsce. Było inne.

- Do diabła z nimi wszystkimi, Dilvishu przeklęty! Do diabła z nimi!

Coś go opuściło i Reynar osunął się z rozluźnioną twarzą.

Dilvish wyciągnął ostrze i oczyścił je. Spojrzał na Blacka, który zbliżył się bezszelestnie i patrzył. Reena stała w oddali, łkając.

- Tam upadł twój miecz - odezwał się Black, obracając w prawo łeb. - Widziałem go, gdy schodziłem w dół.

- Dzięki - rzekł Dilvish podnosząc się z ziemi.

- ...Zaniku już nie ma. To też zauważyłem po drodze.

Dilvish odwrócił się i natężył wzrok.

- Zastanawiam się, co się stało z naszymi końmi?

- Kręcą się tam. Mogę je przyprowadzić.

- Zrób to.

Black popędził w dół. Dilvish zbliżył się do Reeny.

- Nie jestem w stanie tu kopać - powiedział. - Będę musiał przykryć jego zwłoki skałą.

Reena kiwnęła głową. Wyciągnął rękę i ścisnął ją za ramię.

- Nie mogłaś tego przewidzieć.

- Widziałam więcej niż sobie wyobrażałam - odparła. - Byłoby lepiej, gdybym więcej sobie wyobrażała lub widziała mniej.

Odwróciła się, a jego ręka zsunęła się po jej ramieniu. Ruszył w poszukiwaniu miecza.

Jechali całą noc, aż dotarli do skalistej enklawy wolnej od wiatrów; tuż przy granicy wiecznych śniegów, w miejscu, gdzie szlak skręcał w dół ku równinom i wiośnie. Tam znaleźli schronienie i sen. Konie przywiązali do wystającej skały, a Black, niczym skrawek krajobrazu, tkwił nieruchomo nieco dalej.

Dilvish przebudził się, kiedy niebo na wschodzie przybrało różową barwę. W zranionych miejscach czuł tępy ból. Usiadł i wciągnął buty.

Ani Reena, ani Black nie poruszyli się, gdy podążył ku odzianej w skóry postaci z laską stojącej po prawej stronie szlaku.

- Dzień dobry - odezwał się cicho. Staruszek skinął głową.

- Chcę podziękować ci za amulet. Ocalił mi życie.

- Wiem.

- Dlaczego to zrobiłeś?

- Kiedyś złożyłeś ofiarę Taksh'mael.

- Czy to takie ważne?

- Jesteś ostatnim, który pamięta jego imię.

- A siebie nie liczysz?

- Ja nie zaliczam się do jego czcicieli, chyba że w najbardziej narcystycznym sensie.

Dilvish spojrział na niego jeszcze raz. Postać wydawała się wyższa, szlachetniejsza, a w jego oczach było coś, co kazało mu patrzeć bez przerwy przed siebie, uczucie niezmiernie głębokie, siła.

- Odchodzę - ciągnął. - Nie było mi łatwo uwolnić się od tego miejsca. Odprowadź mnie kawałek.

Odwrócił się i nie spoglądając za siebie ruszył naprzód. Dilvish podążył za nim w stronę śnieżnych brzegów, wyrzucając z siebie parujące oddechy.

- Czy to dobre miejsce, tam, dokąd jedziesz?

- Chciałbym tak myśleć. Słyszałem cię wcześniej. To prawda, że każdy może mieć dwie osobowości. Teraz mam tylko jedną i za to ci dziękuję.

Kiedy krajobraz nabrał śnieżnej barwy, Dilvish chuchnął w dłonie i zaczął je rozcierać.

- Obdarzony teraz jestem mocą większą niż jest mi potrzebna. Czy jest coś, co mógłbym ci podarować?

- Czy mógłbyś podarować mi życie czarownika o imieniu Jelerak?

Zauważył, jak staruszek zachwiał się przez moment.

- Nie - padła odpowiedź. - Znam go dobrze, ale to, o co prosisz, nie byłoby łatwe. Potrzebujesz na to więcej niż mogę dać. Nie łatwo się z nim uporać.

- Wiem. Mówi się, że on jest najlepszy.

- A jednak istnieje ktoś, kto mógłby zniszczyć go jego własną bronią.

- A któż to taki?

- Ten, o którym wspomniałeś. Na imię mu Ridley.

- Ridley nie żyje.

- Nie. Jelerak pokonał go, ale brakło mu sił, by go zniszczyć. Uwięził go więc pod gruzami Lodowej Wieży. Zamierza tam powrócić, gdy odzyska swą moc i by dokończyć dzieła.

- Nie brzmi to zbyt obiecująco.

- Ale on nie może tego zrobić.

- Dlaczego nie?

- Ich konflikt przyciągnął uwagę największych czarowników świata. Przez wieki poszukiwali sposobu przeciwko Jelerakowi. Kiedy nie udało się Ridleyowi pokonać wroga, zjednoczyli swe siły i nałożyli na zrujnowaną wieżę magiczną barierę, której nie przerwie nawet Jelerak. Teraz mają swoją gwarancję bezpieczeństwa. Gdy będzie ich nękał, mogą zagrozić podniesieniem bariery i uwolnieniem Ridleya.

- A Ridley zniszczyłby go przy następnej okazji?

- Nie wiem. Ale miałby największą ku temu szansę.

- Czy mógłbym uwolnić Ridleya nie korzystając z żadnej pomocy?

- Wątpię.

- Obawiam się, że muszę już iść. Przykro mi.

Pokazał na wschód, gdzie właśnie wschodziło słońce. Dilvish spojrział w tym kierunku i ujrzał szkarłatne zasłony chmur. Gdy odwrócił wzrok, staruszek był już daleko, wspinając się z zadziwiającą prędkością i zwinnością na iskrzące się, śnieżne zbocze. Okrążył kamienny występ i zniknął.

- Zaczekaj! - krzyknął - Mam jeszcze więcej pytań!

Nie zwracając uwagi na doskwierający ból, Dilvish rozpoczął wspinaczkę śladem staruszka. Zauważył, że nierówne ślady stają się coraz płytsze i coraz bardziej od siebie oddalone. Okrążywszy występ, znalazł już tylko jeden, prawie niewidoczny.

Następnego popołudnia opuścili góry. Nie powiedział Reenie o Ridleyu.

Wysoko w górach, kiedy księżyc staje w pełni, unoszą się magiczne ognie, a duch dziewczyny o imieniu Oele tańczy przed rozbitym ołtarzem. Choć nie pojawia się tu już żaden Szatan, jest ktoś, kto ukrywa się czasami w cieniu. Gdy spadnie ostatni kamień, zabierze ją na morze.

OGRÓD KRWI

Dilvish jechał tego dnia na czele karawany, sprawdzając przejezdność drogi przez góry i stan bocznych szlaków. Rola zwiadowcy była zapłatą za jazdę z karawaną. Słońce stało już wysoko, kiedy zjechał z długiego zbocza niskiego pasma gór Kalgani i ruszył u ich podnóża w stronę szerokiej doliny wychodzącej na lasy, za którymi rozciągały się równiny.

- Niespodziewanie spokojna droga - stwierdził Black, gdy zatrzymali się na pagórku, by przyrzeć się krętej drodze wiodącej ku odległym drzewom.

- W moich czasach - odezwał się Dilvish - wszystko było inaczej. Grasowały tu bandy rozbójników. Podążały za słońcem. Polowały na podróżnych. Od czasu do czasu jednoczyły się, by napaść na jedno z okolicznych miasteczek.

- Miasteczek? - zdziwił się jego wielki, czarny rumak o lśniącej jak metal skórze. - Nie widziałem żadnych miasteczek.

Dilvish potrząsnął głową.

- Kto wie, co wydarzyło się w ciągu dwustu lat? - Machnął ręką w dół.

- Jestem pewien, że jedno z nich znajdowało się tuż pod nami. Nazywało się Tregli. Kilka razy zatrzymywałem się tam w gospodzie.

Black spojrział w tym kierunku.

- Czy tam właśnie jedziemy?

Dilvish zerknął na słońce.

- Pora na obiad - zauważył - i wiatr jest tu bardzo silny. Przejedźmy jeszcze kawałek. Posilę się na dole.

Black pochylił się i zaczął schodzić ze stoku, nabierając prędkości na równym terenie. Wracali na szlak. Dilvish rozglądał się po drodze w poszukiwaniu drogowskazów.

- Czym są te błyski kolorów? - zapytał Black. - Tam przed nami.

Dilvish dostrzegł niewielki teren pokryty błękitem, żółcią, bielą - z okresowym odcieniem czerni - który pojawił się tuż za dalekim zakrętem.

- Nie mam pojęcia - odparł. - Ale zobaczymy.

Kilka minut później minęli pokryte dzikim winem ruiny niskiego muru z kamienia. Dalej leżały kamienie, a ich ułożenie wskazywało na dawne fundamenty domostw. Przejeżdżając, dostrzegli po obu stronach zagłębienia, które mogły być kiedyś piwnicami, a obecnie wypełniały je sterty żwiru.

- Stój! - zawołał Dilvish, pokazując na miejsce po lewej stronie, gdzie zachowały się fragmenty muru. - To jest front gospody, o której wspomniałem. Jestem tego pewny. Myślę, że jesteśmy na głównej ulicy.

- Naprawdę?

Black zaczął kopać w torfie ostrym, rozszczepionym kopytem. Gdy uderzył w bruk, trysnęła iskra. Powiększył otwór, odsłaniając wybrukowaną ulicę.

- To rzeczywiście wygląda na ulicę - stwierdził.

Dilvish zsiadł z konia, podszedł do rozpadającego się muru, minął go i sprawdził teren znajdujący się za nim.

Wrócił po kilku minutach.

- Widać jeszcze z tyłu starą studnię - powiedział. - Jej dach spadł i zgnił, a teraz porasta ją dzikie wino.

- Czy mogę zaproponować, byś poczekał z ugaszeniem pragnienia, aż dojedziemy do tego strumienia wśród wzgórz?

Dilvish podniósł łyżkę.

- Znalazłem ją częściowo zagrzebaną w ziemi, w miejscu, gdzie stała kuchnia. Może przed lata sam nią jadłem. Tak, to gospoda.

- To była gospoda - poprawił go Black. Dilvish przestał się uśmiechać i kiwnął głową.

- Masz rację.

Wyrzucił za siebie łyżkę i wsiadł na rumaka.

- Tak wiele się zmieniło...

- Podobało ci się tutaj - spytał Black, ruszając z miejsca.

- To było przyjemne miejsce na postój. Ludzie byli przyjaźni. Jedzenie smaczne.

- Jak myślisz, co się wydarzyło? Rozbójnicy, o których mówiłeś?

- Chyba zgadłeś - odparł Dilvish. - O ile nie była to jakaś zaraza.

Jechali szerokim szlakiem, przy wyjeździe z miasteczka drogę przebiegł im królik.

- Gdzie chciałeś zatrzymać się na posiłek? - zagadnął Black.

- Jak najdalej od tego martwego miejsca - padła odpowiedź. - Może na tym polu.

Wciągnął głęboko powietrze.

- Ten zapach jest taki przyjemny.

- To kwiaty - zauważył Black. Jest ich mnóstwo. To ich barwy widzieliśmy z oddali. Czy w dawnych czasach też tutaj były?

Dilvish potrząsnął głową.

- Nie. Tu był... Nie bardzo pamiętam co. Coś w rodzaju parku.

Przejechali przez aleję drzew i dotarli na otwartą przestrzeń. Ogromne, podobne do maków kwiaty; niebieskie, białe, żółte - czasem czerwone - wyrastały na wysokość grzbietu Blacka, kołysząc się na kosmatych, cienkich łodygach. Zwrócone były ku słońcu. W powietrzu unosił się ich ciężki zapach.

- Pod tym wielkim drzewem, na lewo, jest trochę cienia - zauważył Black. - Jest też coś, co przypomina stół.

Dilvish spojrział we wskazanym kierunku.

- Aha! - powiedział. - Teraz sobie przypominam. Ta kamienna płyta to nie stół. Cóż... Choć właściwie nim jest. To ołtarz. Ludność Tregli modliła się tutaj na otwartym powietrzu; czcili Manatę, boginię płodności. Zostawiali jej na ołtarzu ciasto i miód. Tu tańczyli i śpiewali. Raz nawet uczestniczyłem w takim obrzędzie. Mieli kapłankę... Nie pamiętam jej imienia.

Podjechali pod samo drzewo i Dilvish wyskoczył z siodła.

- Drzewo wyrosło, a ołtarz zapadł się - zauważył, zmiatając gruz z kamiennej płyty.

Szukając posiłku w torbie, zaczął nucić prostą, jednostajną melodię.

- Nigdy nie słyszałem jak śpiewasz, gwizdzesz lub nucisz - zdziwił się Black.

Dilvish ziewnął.

- Staralem się przypomnieć melodię, którą usłyszałem tu owego wieczoru. Myślę, że tak właśnie brzmiała.

Oparł się plecami o pień i zaczął jeść.

- Dilvishu, w tym miejscu dzieje się coś dziwnego...

- Dla mnie jest ono dziwne przez sam fakt, że się tak zmieniło - odparł krusząc kawałek chleba.

Wiatr zmienił kierunek. Zapach kwiatów stał się jeszcze bardziej odurzający.

- Nie to mam na myśli.

Dilvish przełknął kęs i stłumił kolejne ziewnięcie.

- Nie rozumiem.

- Ja także nie.

Black opuścił łeb i zamarł w bezruchu.

Dilvish utkwiał w nim wzrok i nadśluchiwał. Dolatywał go jedynie szelest traw, kwiatów, liści na drzewie poruszanych wiejącym wiatrem.

- Nie ma tu nic niezwykłego - przemówił szeptem.

Black nie odpowiedział. Dilvish spojrzał na rumaka.

- Black?

Ostrożnie poluzował miecz i ściągnął stopy. Postawił posiłek na kamiennej płycie.

- Black!

Bestia stała nieruchomo, w milczeniu, jak wielki, czarny posąg.

Dilvish wstał, potknął się i oparł o drzewo. Jego oddech stawał się coraz cięższy.

- Czy to ty, mój wrogu? - zapytał. - Dlaczego się nie pokażesz?

Bez odpowiedzi. Spojrzał raz jeszcze na pole, wdychając oszałamiający aromat kwiatów. Gdy tak patrzył, zakręciło mu się w głowie, kolory zaczęły mu się rozmazywać, kontury straciły swój dawny kształt.

- Co się dzieje?

Zrobił krok naprzód, potem jeszcze jeden, i chwiejnym ruchem podszedł do Blacka. Stał obok i położył mu rękę na karku. Przycisnął się do niego. Nagle lewą ręką podciągnął koszulę i skrył w niej twarz.

- Czy to narkotyk?... - zastanowił się, a potem przechylił się i osunął na ziemię.

Black nawet nie drgnął.

* * *

W ciemnościach słychać było krzyki i donośne głosy wydające polecenia. Dilvish stał w cieniu drzew. Obok tkwił w bezruchu wielki, silnie zbudowany mężczyzna z falistą brodą. Obaj wpatrywali się w migające w oddali światła.

- Wydaje się, że płonie całe miasteczko - odezwał się niskim głosem olbrzym.

- Tak, a ci, którzy podążają za słońcem, mordują właśnie jego mieszkańców.

- Nic tu po nas. Jest ich zbyt wielu. Posiekaliby nas na kawałki.

- To prawda, a już myślałem, że będę miał spokojny wieczór. Okrążmy to miejsce i w drogę.

Cofnęli się głęboko w cień i przejechali obok miejsca rzezi. W miarę jak rosła liczba ofiar,

milki głosy przerażenia. Rozbójnicy zbierali łupy i raczyli się napitkami wyniesionymi z płonącej gospody. Kilku z nich stało w szeregu obok leżących na ziemi kobiet. Oczy miały szeroko otwarte, włosy potargane, szaty w strzępach. Tuż obok zapadł się nagle dach, strzelając w nocne powietrze fontanną iskiei.

- Jeśli kilku z nich wejdzie nam w drogę - odezwał się mężczyzna o kręconych włosach - powieśmy ich głowami w dół i wypatroszymy bebechy, wyrównując w ten sposób rachunki z bogami.

- Miej oczy szeroko otwarte. Może ci się poszczęści.

Zachichotał.

- Nigdy nie wiem, kiedy żartujesz - powiedział po chwili. - Ten widok może być zabawny dla innych.

Jechali wzdłuż skalistej, pokrytej zaroślami, spadzistej drogi koło miasteczka. Z lewej strony dobiegały ich coraz słabsze krzyki. Z rzadka tańczyły nad nimi cienie wybuchających płomieni.

- Nie żartowałem - rzekł Dilvish. - Chyba już zapomniałem, jak żartować.

Jego towarzysz poklepał go po ramieniu.

- Tam przed nami. Polana... - szepnął.

Stanęli.

- Tak - pamiętam...

- Coś tam jest.

Ruszyli, bardzo wolno. W oddali, na końcu polany, pod wielkim rozłożystym drzewem ujrzeli migające światło, jakby ktoś rozpałił dziesiątki pochodni.

Podjechali bliżej i oczom ich ukazał się mały, kamienny ołtarz, przy którym stała grupa ludzi. Jeden z nich siedział na kamiennej płycie i popijał z butelki wino. Dwaj inni ciągnęli przez polanę jasnowłosą dziewczynę w zielonej sukni. Ręce miała związane na plecach. Mówiła coś, ale słów jej nie można było rozróżnić. Próbowwała się wyrwać, ilekroć ją popychali. Upadła, ale szybko podnieśli ją z powrotem.

- Poznaję tę dziewczynę - rozległ się głos Dilvisha. - To Sanya, ich kapłanka. Ale...

Podniósł dłonie i przyłożył je do skroni.

- Ale... Co się stało? Jak się tutaj znalazłem? Wydaje mi się, że widziałem Sanyę bardzo dawno temu...

Obrócił się, chwycił swego towarzysza za ramię i spojrzał mu w twarz.

- Mój przyjacielu - szepnął. - zdaje mi się, że znam cię od wieków, ale... Wybacz mi... Nie pamiętam twego imienia.

Jego kompan zmarszczył czoło i zmrużył oczy.

- Ja... Nazywasz mnie Black - odparł gwałtownie. - Tak... To nie jest moja zwykła postać!

Zaczynam sobie przypominać... To było w ciągu dnia... pole pełne kwiatów. Chyba spaliśmy... I ta wioska! Zostały po niej tylko ruiny... Potrząsnął głową.

- Nie wiem, co się stało. Jakie zaklęcie, jaka siła przywiodła nas w to miejsce?

- Ale sam przecież też posiadasz moc - stwierdził Dilvish. - Czy mógłbyś nam pomóc? Czy możemy ją wykorzystać?

- Nie wiem. Chyba zapomniałem, jak się to robi...

- Jeśli tu umrzemy, w tym śnie, czymkolwiek jest, czy będzie to prawdziwa śmierć? Czy potrafisz to odgadnąć?

- My... Widzę teraz wyraźniej... Polne kwiaty chciały naszego życia. Czerwone zabijają podróżnych. Usypiają swym aromatem, oplatają się dokoła i wysysają życie. Jednak w próbie zamachu na nas coś im przeszkodziło. To nie jest sen. Obserwujemy teraz, co się naprawdę zdarzyło. Nie jestem pewien, czy możemy odwrócić to, co już się stało. Z jakiegoś powodu musimy tu pozostać.

- Czy grozi nam śmierć? - powtórzył pytanie Dilvish.

- Jestem tego pewien. Nawet jeśli... jeśli padnę w tym miejscu, mogę przewidzieć wszystkie rodzaje niezwykłych problemów teologicznych z tym związanych.

- Mam je gdzieś! - parsknął Dilvish i podążył w kierunku polany, kryjąc się w okalającym ją cieniu. - Jestem pewien, że chcę złożyć kapłankę w ofierze na ołtarzu jej własnej bogini.

- Tak - powiedział Black, poruszając się cicho za nim. - Nie podobają mi się, ale obaj jesteśmy uzbrojeni. Jak uważasz? Kilku stoi przy ołtarzu, dwóch pilnuje dziewczyny... Powinniśmy podkraść się bardzo blisko, tak, aby nas nie dostrzegli.

- Zgoda. Czy potrafisz posługiwać się mieczem? Myślę, że dla ciebie nie jest to obca rzecz?

Black zaśmiał się po cichu.

- Nie tak bardzo obca - odpowiedział. - Ci dwaj po prawej stronie nigdy się nie dowiedzą, jak trafili do Piekła. Proponuję, abyś zajął się tym na końcu, a ja pošlę ich tam, gdzie ich miejsce. Potem wypraw na tamten świat tego z lewej.

Wyciągnął bezszelestnie długie, obosieczne ostrze i ścisnął je w dłoni.

- Mogą być trochę pijani - dodał. - To powinno pomóc.

Dilvish sięgnął po swój miecz. Podeszli bliżej.

- Powiedz kiedy - wyszeptał. Black uniósł broń.

- Teraz!

W migającym świetle Black wyglądał jak ciemna plama. Kiedy Dilvish rzucił się na swego przeciwnika, pokrwawiona głowa upadła u jego stóp, a druga ofiara Blacka padła już na ziemię. Kiedy Dilvish wyciągnął ostrze z ciała, pozostali wydali z siebie przeraźliwy krzyk. Odwrócił się w poszukiwaniu następnej ofiary. Ostrze Blacka uderzyło ponownie, odrąbując prawą rękę przeciwnika na wysokości łokcia. On sam kopnął lewą stopą i trafił w krzyż mężczyznę siedzącego na kamiennym blacie.

Ofiara stoczyła się na ziemię, a Dilvishowi zdawało się, że słyszy trzask pękającego kręgosłupa.

Jednak teraz pozostali mężczyźni trzymali w dłoniach miecze, a od strony płonącego miasteczka dochodziły coraz głośniejsze krzyki. Kątem oka Dilvish dostrzegł biegnące ku nim osoby wymachujące bronią.

Pociągnął za sobą swą drugą ofiarę. Wytrącił mu miecz, kopnął w goleń i silnym ciosem rozciął szyję.

Obrócił się, by trafić następnego, który szybkim krokiem skradał się z tyłu i zauważył, że Black rozwalil czaszkę jednemu z napastników stojących pod ołtarzem i nabił na swe długie ostrze kolejnego, unosząc go z ziemi z ogromną siłą. Krzyki wokół były coraz głośniejsze.

Dilvish znalazł się w zasięgu ciosu przeciwnika. Wykorzystał rękojeść swej broni jako kastet, waląc nim w szczękę wroga. Padając kopnął go, a następnie wycelował swe ostrze w rękojeść broni napastnika, odrąbując mu palce. Mężczyzna zawył z bólu i upuścił miecz. Chyląc się przed uderzeniem w głowę, Dilvish machnął nisko mieczem i zranił kolejnego wroga pod kolanem, kalecząc go poważnie. Cofnął się i obrócił szybko, gdy natarło na niego dwóch bandytów. Zaczekał, aż staną w jednej linii, a potem już uderzał, zadawał pchnięcia, odbierał ciosy, oddawał cięcia, znów robił wypad, a w końcu uniknąwszy ataku, ciął jednego w przegub dłoni. Nagle usłyszał ryk Blacka - na pół ludzki, na pół zwierzęcy - a po nim całą mieszaninę innych wrzasków.

Dilvish podstawił nogę rannemu i przycisnął go stopą do ziemi, drugiemu przeszył ostrzem brzuch; poczuł silny ból w ramieniu, ujrzał własną krew, odwrócił się, by stanąć twarzą w twarz z następnym napastnikiem...

Poruszając się jak w amoku, szybko wyprawił go na tamten świat. Kolejny, który rzucił się na niego, poślizgnął się w kałuży świeżej krwi, a Dilvish skończył z nim, zanim ten zdołał się podnieść.

W boku poczuł uderzenie maczugi. Na moment zacisnął pięść i uskoczył, wciąż szeroko wywijając mieczem. W pobliżu dostrzegł Blacka, a wokoło bandyci nie ustawiali w zaciętej walce. Właśnie miał zamiar przywołać go, by stanęli do siebie plecami w celu skuteczniejszej obrony...

Rozległ się przeraźliwy krzyk i napastnicy zawahali się przez moment. Odwrócili głowy w kierunku ołtarza i zamarli w bezruchu.

Kapłanka Sanya leżała na kamiennym blacie w kałuży krwi. Wysoki, jasnowłosy mężczyzna wyciągał z jej piersi sztylet. Poruszała wciąż ustami, w klątwie lub modlitwie, ale głosu jej nie było słyhać. Nie słyhać było też słów mężczyzny. Od strony miasteczka nadbiegały świeże posiłki. W lewym kącie ust Sanyi pojawiła się mała, czerwona struga, głowa opadła jej na bok, a oczy, choć otwarte, nie widziały już nic. Jasnowłosy mężczyzna podniósł wzrok.

- Teraz przyprowadźcie tych dwóch! - wrzasnął, celując ostrzem w Dilvisha i Blacka.

Gdy wypowiedział te słowa, rękaw jego szaty osunął się, ukazując ciąg błękitnych tatuaży na prawym przedramieniu. Dilvish widział już kiedyś takie znaki. Różni górscy szamani naznaczali się w ten sposób, a każdy znak symbolizował zwycięstwo nad sąsiadem i oddawał siły temu, który go nosił. Co taki człowiek robił wśród bandy obszarpanych zbójów, z pewnością będąc ich przywódcą? Czyjego własne plemię zostało zniszczone? Czy?... Dilvish wciągnął powietrze.

- Nie martw się! - zawołał. - Idę! Ruszył do przodu.

Jego miecz trafił na ostrze przeciwnika na środku ołtarza i został odepchnięty. Zaczął krążyć wokół. Szaman uczynił to samo.

- Czy twoi własni ludzie przepędzili cię? - zapytał Dilvish. - Za jakie zbrodnie?

Mężczyzna popatrzył na niego przez chwilę, uśmiechnął się i jednym gestem powstrzymał bandytów pędzących mu z pomocą.

- On jest mój - oświadczył. - Zajmijcie się tym drugim.

Przesunął lewym przedramieniem wzdłuż ciała i przyłożył do niego ostrze.

- Wiesz, kim jestem - odezwał się - a jednak rzucasz mi wyzwanie. To bardzo nierozważne.

Przez ostrze, które trzymał w dłoni, przebiegły płomienie. Dilvish zmrużył oczy oślepiiony nagłym blaskiem.

Broń nakreślała zwodnicze linie ognia. A jednak Dilvish pchnął pierwszy, czując natychmiast chwilowe ciepło na dłoni. Za sobą usłyszał bojowy okrzyk Blacka i ponowny szczeł broni. Ktoś wrzasnął.

Dilvish rzucił się do ataku, który odparty został przez płonące ostrze; poczuł przepływ gorąca na nadgarstku, gdy odparowywał kolejny cios i czekał na osłonę przeciwnika.

- Oddalili się od ołtarza i drzewa, badając swe możliwości obronne w otwartym polu. Z odgłosów dochodzących z tyłu Dilvish wywnioskował, że Black nadal walczy. Ale jak długo wytrzyma, zastanawiał się. Choć był silny i szybki, miał przeciw sobie tak wielu...

Gdy skrzyżowali ostrza, jego rękaw zaczął się tlić. Zrozumiał, że szaman był dobrym szermierzem. W przeciwieństwie do swych ludzi, był niezwykle opanowany - i nie był tak wyczerpany jak Dilvish.

Co to wszystko miało znaczyć? - zastanawiał się, zadając cios w głowę z przekonaniem, że bezskutecznie; odskakując i oddając cięcie w pierś, które spadło na niego z ogromną siłą. Udał potknięcie i nagle wstał, wprowadzając w błąd przeciwnika. Dlaczego się tu znaleźli? Dlaczego Black uległ przemianie i obaj stali się świadkami pradawnej masakry?

Cofał się nadal, symulując zmęczenie i badając styl walki wroga. Mrużył oczy na widok jego ostrza, a jego prawa dłoń paliła, jak po wyjęciu z pieca. Dlaczego ruszył z pomocą dziewczynie, która i tak miała być złożona w ofierze, dlaczego prowadził tak nierówną walkę?

Przypomniał sobie nagle inną noc, dawno temu, inną dziewczynę, która miała być złożona w ofierze przez innego czarownika, i konsekwencje swego czynu...

Uśmiechnął się na myśl, że zrobił to jeszcze raz. Wiedział, że gdyby sytuacja powtórzyła się, nie zawahałby się ponownie; to było coś, nad czym zastanawiał się przez te wszystkie długie dni cierpienia. W mgnieniu chwili dojrzał samego siebie; strach, że te wszystkie przejścia mogły coś w nim wypalić, minął. Pozostał sobą, nie zmieniony.

Powtórnie spróbował zadać cios w głowę. W odpowiedzi szamana na ostatni taki cios było coś...

Czy jakieś przychylnie usposobione bóstwo przewidziało jego posunięcie, dojrzało jego bezużyteczność w tej walce, pozwoliło mu spojrzeć w głąb własnego charakteru w dobrodziejstwie śmierci? Czy też?...

Tak! Riposta znów była bardzo silna! Gdyby mógł cofnąć się i błysnąć ostrzem poniżej i wokół...

Ustał i raz jeszcze udając potknięcie, zaczął planować kolejny manewr.

Usłyszał, jak Black wykrzyknął przekleństwo gdzieś z prawej strony, potem dobiegł go wrzask jakiegoś mężczyzny. Dilvish nie był pewien, jak długo wytrzymaliby we dwójkę przeciwko pozostałym na polu bandytom i następnym, nadbiegającym z płonącego miasteczka, nawet w sytuacji gdyby zabił szamana.

Ale po chwili - Dilvish nie był pewien, czy to nie skutek płonącego ostrza przed jego załzawionymi oczami - wszystko przed nim zafalowało przez moment i zamigotało. Zdało mu się, że jego cios to grymas na spoconej twarzy szamana zamarły w tej jednej chwili... I właśnie w tym odłamku beczasowości dostrzegł swą szansę.

Uderzył w głowę.

Przeciwnik odparował, a płonący łuk riposty spadł prosto na jego piersi.

Cofnął się, wymachując mieczem w górę i w dół. Ostrze płonącego miecza rozdarło mu rękaw na prawym ramieniu i przeszło go. Obrócił się, łapiąc lewą ręką za poparzony prawy nadgarstek. Czubek miecza wycelował prosto w pierś wroga. Tracąc równowagę rzucił się do przodu i zobaczył, jak jego broń przeszływa szamana. Upadł. Przez moment poczuł palące ostrze na prawym udzie.

A potem znów migotanie, niekończąca się wibracja, coraz dłuższa...

Wstał ciągnąc za sobą miecz. Kolory: brązowy, zielony, jasnoczerwony - zlały się w jedną całość. Płonący miecz porzucony na ziemi zamigotał, ściemniał i zgasł. Pozostała po nim jedynie ciemna plama na zmieniającym się tle. Odgłosy walki po stronie Blacka ucichły.

Dilvish stanął pewnie na ziemi trzymając w pogotowiu miecz. Nikt się jednak nie zbliżył.

Z końca polany, od strony ołtarza, na którym leżała martwa kapłanka, rozległ się głos - kobiecy, nieco piskliwy. Dilvish spojrział w tę stronę, ale natychmiast odwrócił oczy, gdyż dostrzegł tam jedynie światełko, ożywiające się przy każdym uderzeniu serca.

- Słyszałam swój hymn, Oswobodzicielu - padły słowa - i gdy spojrzałam na ciebie, wiedziałam, że mogę ci zaufać. Starych krzywd nie da się naprawić, ale tak długo czekałam na to oczyszczenie z tych, którzy idą za słońcem!

Niczym przez zmrozoną szybę Dilvish zobaczył wokół siebie stojące postacie mężczyzn, którzy ich napadli. Zachwiali się, a ich kontury zlewały się w jedną, wielką plamę. Ale jeden z nich podszedł do Dilvisha z lewej strony, bezszelestnie... Głos przycichł:

- ...A tobie, za to, że broniłeś tego miejsca, choć przez krótką chwilę, daję me błogosławieństwo!

Mężczyzna stał już bardzo blisko. Trzymając wyprostowane ostrze, kołysząc się z wolna, lekko. W jaskrawym świetle pozostali byli jedynie rozmażanym kolorem - ten też wydawał się zmieniać, nawet gdy Dilvish ciął mieczem...

Kwiat upadł na ziemię.

Dilvish wyciągnął rękę, by się na czymś wesprzeć, ale trafił na pustkę. Za łaskę posłużył więc miecz.

Usłyszał stąpanie, potem zapadła cisza. Całą okolicę wypełniało popołudniowe słońce. Pośród wysokich traw leżały ścięte i podeptane kwiaty, blisko i daleko. Te, które ocalały, kołysały się wpatrzone w słońce.

- Black?

- Tak?

Dilvish odwrócił głowę. Black potrząsnął swoją.

- Przedziwne zjawisko... - zaczął

- Ale nie sen - dokończył Black, a Dilvish wiedział, patrząc na zaczerwienioną dłoń i krew sączącą się z licznych ran, że to prawda.

- Manata - powiedział. - Dokończę dzieła, za to, co mi ukazałaś.

Kiedy wjeżdżali między wzgórza, Black zauważył:

- Dobrze było walczyć przy tobie w ten sposób. Zastanawiam się, czy mógłbym poznać to zakłęcie.

- Dobrze było cię mieć przy sobie - odparł Dilvish, gdy kierowali się ku coraz dłuższym ceniom. - Bardzo dobrze.

- Teraz możesz powiedzieć szefom karawany, że droga wolna.

- Tak. Słyszałeś to, co ja?

Black milczał przez moment, a potem rzekł:

- Kwiaty nie krzyczą.

Dzień stawał się coraz krótszy. Za nimi nadal unosił się na wietrze dym.

DILVISH PRZEKŁĘTY

Minęły trzy dni, odkąd Dilvish wyjechał z Golgrinn. Przez dwa tygodnie pracował w drużynie reperującej mury miejskie, które zostały zniszczone podczas nieudanego oblężenia przez wyjętą spod prawa bandę. To była ciężka, nudna praca, ale robotnicy otrzymywali porządną strawę, a on sam zdołał zarobić dość grosza, by wypełnić swą kiesę. Zarobki te podwoił grając w tawernie, a teraz z zapasami w jukach kierował się na południe. Było słonecznie, późne popołudnie. Jechał górzystą i lesistą krainą w stronę pasma Kannai. Cały czas w stronę Kannai. Kierunek ten obrał ponad miesiąc temu, kiedy ślepy poeta i prorok o imieniu Olgric powiedział mu, że tam właśnie znajdzie coś, czego szuka. W starym zamku, który niektórzy zwą Wiecznym...

Jadąc myślał o przepowiedni. Gdy wynurzył się zza zakrętu, ujrzał mężczyznę stojącego na drodze z wyciągniętym mieczem.

- Wędrowcze, ściągnij cugle! - zawołał. - Oddaj mi swą sakiewkę!

Dilvish rozejrzył się szybko dokoła. Wydawało się, że mężczyzna jest sam.

- Mam cię gdzieś! - odpowiedział mu i wyciągnął broń.

Jego wielki, czarny rumak nie zwolnił kroku, lecz poniosł go wprost na napastnika. Kiedy dostrzegł błyszczącą skórę Blacka, uskoczył z drogi i wziął zamach na przejeżdżającego Dilvisha.

Dilvish odparował uderzenie, ale sam ciosu nie zadał.

- Amator. Jedźmy dalej - nakazał Blackowi. - Niech go trafi ktoś inny.

Zostawiony z tyłu człowiek cisnął swą bronią o ziemię.

- Do diabła! - wrzasnął. - Dlaczego nie uderzyłeś?

- Stój, Black - mruknął Dilvish.

Black przystanął, a Dilvish odwrócił się i spojrzał za siebie.

- Bardzo przepraszam. Wzbudziłeś mą ciekawość - odezwał się. - Chciałeś, abym ciął ciebie?

- Każdy przyzwoity wędrowiec ściałby mi głowę! Dilvish pokiwał głową.

- Myślę, że potrzebna ci jest dodatkowa instrukcja dotycząca zasad napadu z bronią w rękę - stwierdził. - Chodzi o to, aby wzbogacić się kosztem innego, samemu nie odnosząc żadnych ran. Jeżeli ktoś ma być ranny, to powinien być to ten drugi.

- Wypchaj się! - odpowiedział mężczyzna z błyskiem chytrych w oku. Nachylił się i chwycił szybkim ruchem swój miecz. Ruszył ku Dilvishowi, wywijając nim nad głową.

Dilvish nie schował jeszcze swej broni do pochwy, czekał więc na przeciwnika. Kiedy ten

wyprowadzał cios, uderzył silnie i wytrącił mu miecz z dłoni. Ostrze wyleciało w powietrze, lądując kilka kroków od szlaku.

Dilvish zeskoczył z konia i zrobił kilka dużych kroków wstecz. Postawił stopę na leżącym mieczu, zanim jego właściciel zdążył go dopaść.

- Znowu to zrobiłeś! Do diabła! Zrobiłeś to znowu! - oczy mężczyzny stały się wilgotne. - Dlaczego nie oddałeś ciosu?

Rzucił się do przodu, próbując przebić się ostrzem Dilvisha.

Dilvish skoczył w bok i chwycił nieznajomego za ramię. Trzymał teraz małego człowieka z ciemną brodą i ciemnymi oczami. W jego lewym uchu błyszczał srebrny kolczyk. Z bliska wyglądał znacznie starszej, a skórę wokół oczu zdobiła siateczka drobnych zmarszczek.

- Jeśli potrzebujesz trochę grosza lub chleba - oświadczył Dilvish - dostaniesz. Nie podoba mi się taka desperacja. Głupia desperacja.

- Nie interesuje mnie to! - wykrzyknął nieznajomy.

Dilvish wzmocnił uścisk, gdy mężczyzna próbował się wyrwać.

- A zatem o co, do cholery, ci chodzi?

- Chciałem, abyś mnie zabił! Dilvish westchnął.

- Przykro mi, ale nie wyświadczę ci tej przysługi. Starannie dobieram tych, których zabijam. Nie lubię, jak ktoś mnie do tego zmusza.

- Zatem wypuść mnie!

- Nie zamierzam dalej grać w tę grę. Jeśli tak bardzo chcesz zginąć, dlaczego sam tego nie zrobisz?

- Jeśli o to chodzi, jestem tchórzem. Próbowałem parę razy, ale zawsze zawodziły mnie nerwy.

- Mam przeczucie, że niepotrzebnie się zatrzymałem - rzekł Dilvish.

Black, który przysunął się bliżej, by przyjrzeć się nieznajomemu, kiwnął łbem.

- Tak - syknął. - Zostaw go tu nieprzytomnego i ruszajmy w drogę. Dzieje się tu coś dziwnego. Zaczyna działać mój zmysł, o którym dawno zapomniałem.

- To mówi... - powiedział cicho mężczyzna. Dilvish uniósł pięść, ale się powstrzymał.

- Nic się nie stanie, jeśli wysłuchamy jego opowieści - stwierdził.

- To ciekawość sprawiła, że się kiedyś zatrzymałeś - przypomniał mu Black. - Pokonaj ją tym razem. Walnij go i pozostaw własnemu losowi.

Ale Dilvish zawahał się przed trudem moralnego zwycięstwa. Potrząsnął głową.

- Chcę wiedzieć - oświadczył.

- Cholerna ludzka ciekawość - mruknął Black. - Cóż ci da ta wiedza?

- A w czym może zaszkodzić?

- Mógłbym spekulować na ten temat godzinami, ale nie zrobię tego.

- To mówi... - powtórzył mężczyzna.

- Dlaczego nie zrobisz tego samego? - spytał Dilvish. - Powiedz mi, dlaczego zależy ci na śmierci.

- Jestem w tak strasznych opałach, że jest to jedyne rozwiązanie.

- Obawiam się, że to bardzo długa historia - odezwał się Black.

- Nie za bardzo - powiedział mężczyzna.

- W takim razie, pora na kolację - rzekł Dilvish, sięgając po siodło. Zwolnił uścisk na ramieniu nieznanego. - Zjesz ze mną?

- Nie jestem głodny.

- Myślę, że lepiej umiera się z pełnym żołądkiem.

- Być może masz rację. Mów do mnie Fly - powiedział.

- Dziwne imię.

- Wspinam się po ścianach - wyznał, masując ramię. - Docieram do najbardziej przeklętych miejsc.

Dilvish schował miecz do pochwy i wyciągnął z torby mięso, chleb i butelkę wina. Black stanął na leżącym mieczu Fly'a.

- Dilvishu - zaczął - z tym miejscem nie wszystko jest w porządku.

Dilvish przeszedł na małą polankę przy szlaku zabierając ze sobą posiłek. Spojrzał na Fly'a.

- Czy możesz nam to wytłumaczyć? - zapytał. Fly kiwnął głową.

- To prawda - zgodził się. - Wycofali się. Wprawili ich w zakłopotanie. I jeszcze ten... - tu wskazał na Blacka - ale nie mogę unikać ich nieustannie.

- Kim oni są?

Fly potrząsnął głową i usadowił się na ziemi.

- To będzie miało jakiś sens, jeśli opowiem, jak się to wszystko zaczęło.

Dilvish pokroił jadło sztyletem, dzieląc je na pół. Otworzył wino.

- A więc zaczynaj.

- Kradnę - zaczął Fly. - Och, ale nie w ten sposób, w jaki próbowałem z tobą. Nigdy przy użyciu miecza. Znajduję określone miejsce i dowiaduję się, gdzie schowane są drogie przedmioty. Planuję, jak do nich dotrzeć. Potem szybko się ulatniam, a zdobyte przedmioty sprzedaję z dala od miejsca, w którym je zdobyłem. Czasem pracuję na zlecenie. Przy innej okazji pracuję na własny rachunek.

- Ryzykowny sposób na życie - skomentował Black podchodząc bliżej. - Dziwię się, że tak długo ci się udawało.

Fly wzruszył ramionami.

- Tak zarabiam na życie.

Z lasu dobiegł jakiś szelest, jakby potężne ciało przedzierało się przez podszybie. Fly skoczył na równe nogi i spojrzał w tym kierunku. Stał tak przez kilka chwil, ale dźwięk nie powtórzył się. Przeszedł parę kroków, doszedł do leżącego drzewa, włożył rękę do dziupli i wyciągnął mały, brązowy, tobołek.

- Wciąż tu jest - stwierdził wysuwając go z otworu. - Tak bym chciał, aby go tu nie było.

Raz jeszcze rzucił wzrokiem na las i wrócił do Dilvisha i Blacka, niosąc tobołek.

- Skradłeś coś, a teraz oni są na twym tropie - zasugerował Dilvish.

Fly pociągnął długi łyk wina.

- To tylko część - odpowiedział.

- Siedząc tu możemy narazić się na niebezpieczeństwo - ciągnął Dilvish.

- Być może, ale nie w sposób, o jakim myślicie.

- Dilvishu - zabrał głos Black. - Nie dajmy się nabrać. On nie mówi o istotach ludzkich, prawda, Fly?

Fly nie odpowiedział od razu, gdyż usta miał zapchane mięsem i chlebem.

- No cóż, i tak, i nie... - odezwał się w końcu.

Słońce skryło się za chmurą, a przez polanę przepłynęła fala chłodnego powietrza.

- Znowu się zbliżają - wyjaśnił Fly - gromadząc swą siłę. Nie wydaje mi się, aby was skrzywdzili. Polują na mnie. Kłopot mogą wam sprawić pozostali.

- Musisz nam wszystko opowiedzieć - rzekł Dilvish. - Co u diabła skradłeś?

Fly otworzył tobołek i włożył doń rękę. Coś zamigotało w jego garści, a potem wyciągnął i rozwinął długi, szeroki pas miękkiej, brązowej skóry wysadzanej oślepiającym szeregiem klejnotów. Podeszedł bliżej i rozciągając pas w obu rękach ukazał go w całości.

- Pas Cienia należący do Cabolusa - powiedział.

Dilvish wyciągnął dłoń i chwycił jego koniec. Na polanie zapadał mrok i przez to klejnoty świeciły jeszcze jaśniejszym blaskiem.

- Niezła kolekcja - stwierdził, pocierając pas między palcami i dotykając rzemyków na jego końcach. Nie miał klamry. - Stara robota. Kim jest Cabolus i dlaczego nazywasz to Pasem Cienia?

Cabolus to jeden z pomniejszych bogów, z małą liczbą wyznawców, która kiedyś była nawet pokaźna - odpowiedział Fly. - Centrum wiary znajduje się w mieście Kallusan, na zachód stąd.

- Widziałem je na mapie, to o pół dnia drogi stąd.

- Mniej więcej. On jest w pewnym sensie gońcem i pośrednikiem wśród innych bogów. Zapewnia dobre zbiory swym czcicielom, pomaga im w bitwach. Na tym polega jego rola. Ma brata, z którym nie daje sobie rady - Salbacusa. Jego czczą w Sulvar, dzień jazdy w kierunku północno-wschodnim. Salbacus jest bogiem kowalstwa. Mieszkańcy Sulvaru to górnicy i kowale. Obaj wywodzą się...

- Doceniam twą dociekliwość, lecz co jeszcze z tego ma teraz znaczenie?

- Wybacz mi. Dałem się ponieść. Musiałem się tego nauczyć, aby się nawrócić.

- Na wiarę Cabolusa?

- Tak. To był najprostszy sposób, by poznać plan głównej świątyni w Kallusan.

- A pas?...

- Był przewiązany na biodrach posągu boga w świątyni.

- Kiedy go zabrałeś?

- Wczoraj.

- Co było potem?

- Najpierw nic. Szybko opuściłem miasto. Z tymi ponurymi bogami nigdy nie wiadomo, czy to tylko szachrajstwo dające zajęcie kapłanom, czy też nie.

- Rozumiem, że w tym przypadku nie było to oszukaństwo?

Fly pokiwał głową i pociągnął kolejny łyk. Dilvish sięgnął po kawałek mięsa. Temperatura w południe spadła. Powiał wiatr i zatrzepotał gałęziami.

- Przez kilka pierwszych godzin nic się nie wydarzyło - ciągnął Fly. - Prawdopodobnie na początku nikt nie zauważył kradzieży. Albo pomyślano, że jakiś stary kapłan zabrał pas do czyszczenia. Tak czy inaczej, zyskałem nieco na czasie. W końcu jednak kradzież się wydała, a jeden ze śpiących odnalazł mnie...

- Śpiących?

- Tak. Jeden z kapłanów jest zawsze w transie i pilnuje krainy cienia. Robią to na przemian. Najpierw zażywają narkotyki, a potem muszą osiągnąć taki stan, aby wejść tam bez nich. Pierwotnie

myślałem, że jest to sposób na miłe spędzenie czasu. Teraz jednak wiem, że to coś więcej.

- Kraina cienia? - zapytał Dilvish, kiedy na polanie pojawiło się dziwne zagłębienie w kształcie trójkąta z małymi otworkami u podstawy. - Co masz na myśli mówiąc kraina cienia?

Fly jadł coraz szybciej, żując i przełykając, opychając się jedzeniem.

- Inny wymiar bytu - wykrztusił z pełnymi ustami chleba - mówiąc, że graniczy z naszym. W niektórych miejscach go przenika. Krąży wokół niego. W pewnym sensie to królestwo Calobusa. Porusza się po nim, wykonując polecenia innych. Pełno w nim złośliwych istot, ale nie krzywdzą one jego kapłanów, a nawet, po namowach, przyjmują ich rozkazy. Śpiący podróżują po tej krainie ucząc się wielu rzeczy. Z niej mogą obserwować nasz świat. W ten sposób mnie odnaleźli...

Dilvish zauważył następny odcisk, tuż przed pierwszym.

- Czy rzeczy z tamtej płaszczyzny mogą się ujawniać na naszej? - spytał.

Fly kiwnął głową.

- Zrobił to sam stary kapłan Imrigen. Ukazał mi się na szlaku i nakazał oddać pas.

- I?...

- Wiedziałem, że mnie zabiją, jeśli to uczynię, a on powiedział, że jeśli tego nie zrobię, wyślą po mnie potwory z cienia. Tak czy inaczej, przegrałbym.

- A zatem zdecydowałeś się na szybkie odejście?

- Nie od razu. Myślałem, że jeszcze uda mi się uciec. Widzisz, to właśnie kapłani Salbacusa wynajęli mnie, bym zdobył pas i zapewnił mu panowanie. Gdybym do nich dotarł z pasem, mogliby mnie ochronić. Mając pas, rozpoczęliby wojnę z Kallusanem. Wysłali po mnie swe oddziały, które miały ruszyć na Kallusan, gdy Salbacus nałoży pas. Ale oddziały nie dotarły na czas, a potwory wpadły na mój trop. Wiem, że mi się już nie uda i że zabiją mnie w straszliwy sposób.

- Skąd wiesz, że cię znaleźli, skoro nie mają materialnej postaci?

- Ten, który posiada pas, może dokonywać wglądu w tamten wymiar.

- A ja radziłbym ci spojrzeć tam - rzekł Dilvish, pokazując na dwa kolejne, niezwykle znaki, które właśnie pojawiły się na ziemi. - Powiedz mi, czy widzisz coś niezwykłego.

Fly odwrócił się. Natychmiast podniósł pas niczym tarczę.

- Odejdź! - krzyknął. - W imię Cabolusa! Nakazuję ci!

Pojawił się następny ślad, bliżej.

- Co by było, gdybyś puścił pas? - spytał Dilvish, biorąc miecz w dłoń. - Albo go wyrzucił?

- To na nic - padła odpowiedź - kazano im również złapać posiadacza pasa.

Ujrzeni kolejny ślad, tym razem bardzo blisko. Fly odwrócił się gwałtownie i spojrzał na Dilvisha. Oblizwał wargi i zerknął na ślady. Nagle wykrzyknął:

- Patrz! Oddaję pas! Poddaję się! Teraz jest jego!

Rzucił w Dilvisha pasem, który wylądował na jego ramieniu. Wydawało mu się, że patrzy na świat jak przez mroczną mgłę. I wtem, na środku polany...

Z trzaskiem postać Blacka pojawiła się między Dilvishem a zjawą. Słyszał wrzask Fly'a wydobywający się z odgłosów miażdżenia i chrupania.

Dilvish podniósł się i cisnął pas na ziemię, a po chwili wychylił się zza grzbietu Blacka. Człowiek o imieniu Fly leżał na ziemi bez lewej ręki. Dilvish obserwował, jak przy kolejnym odgłosie chrupania znika jego prawa ręka, ramię i górna część tułowia. Krew zalewała ziemię przy akompaniamencie głośnych dźwięków przeżuwania.

- Do diabła! Wynośmy się stąd! - krzyknął Black. - To coś jest ogromne!

- Widzisz je?

- Niewyraźnie, choć funkcjonuję już na właściwym poziomie. Wskakuj!

Dilvish wskoczył. W tym momencie zniknęła głowa Fly'a, jego szyja i reszta tułowia.

Black obrócił się, a wtedy na polanę wpadło czterech uzbrojonych jeźdźców i zagroziło im drogę.

- Za Salbacusa! - wykrzyknął jadący na przedzie i zaszarżował na Dilvisha z wyciągniętym ostrzem.

- Pas! - wrzasnął następny, idąc w jego ślady. Dwaj pozostali jeźdźcy zajęli boczne pozycje.

Black rzucił się na pierwszego jeźdźcę, a Dilvish zrobił fintę i ciał, trafiając go w brzuch. Drugiemu rozplątał gardło szpicem miecza.

Wówczas Black stanął dęba, a jego metalowe kopyta uderzyły w następnego jeźdźcę. Dilvish usłyszał, jak zwala się na ziemię wraz z koniem, gdy musiał odwrócić się, by odparować cios następnego. Jego atak został odparty, uderzył ponownie i sytuacja powtórzyła się.

- Oddaj mi pas, a może ocalisz swe życie - nakazał napastnik.

- Nie mam go. Leży na ziemi. Tam z tyłu - odpowiedział Dilvish.

Mężczyzna odwrócił głowę, a wtedy Dilvish ściągi ją z ramion. Black nawrócił, stanął na tylnych nogach, a z jego pyska i nozdrzy buchnął ogień. Tuż przed nim ukazał się potężny słup płomieni. Usłyszeli syk, który przeszedł w gwizd, a następnie w kilka urwanych dźwięków, które umilkły, jakby coś wycofywało się w stronę lasu.

Kiedy znikły płomienie i ich odbicia, Dilvish zauważył, że na mokrej od krwi ziemi pozostała jedynie prawa stopa Fly'a, a wokół niej widniały trójkątne ślady, a ich szlak prowadził w kierunku drzew.

Dilvish usłyszał z dołu śmiech. To mężczyzna, któremu rozciął brzuch, siedział zgięty w

pałąk ściskając swe wnętrzności. Oczy miał otwarte i uśmiechał się szeroko.

- Och, patrzcie, patrzcie! - odezwał się. - Buchnął ogniem i przepędził ich. Wymordował całą naszą gromadę.

Wysunął nogę, opuścił rękę i poszukał czegoś po omacku. Dilvish dostrzegł, że siedzi na pasie, który chwycił teraz mocno i rozciągnął przed sobą... Twarz miał mokrą od potu.

- Wielu z nas wróci po niego! - ciągnął. - Kapłani Salbacusa czekają. Uciekaj! Potwory powrócą i pójdą twym tropem aż zgaśnie dzień! Jeśli starczy ci odwagi, weź pas z rąk umierającego - i bądź przeklęty! Będziemy go mieć! Moi towarzysze wkrótce będą świętować w Kallusan, a potem puszczą miasto z dymem! Uciekaj i niech cię diabli! Salbacus przeklina cię, a mnie zabiera ze sobą!

Mężczyzna osunął się trzymając wysuniętą dłoń.

- Niezła mowa pożegnalna - zauważył Black. - Posiada wszystkie klasyczne elementy: groźbę, klątwę, odpowiednią pyszałkowatość, inwokację bóstwa...

- Wspaniała - przyznał Dilvish - ale gdybyś zechciał zachować analizę literacką na później, chciałbym się czegoś dowiedzieć: Czy przepędziłeś tego wielkiego, niewidzialnego potwora, który pożarł Fly'a?

- Jego większą cześć.

- Czy powróci?

- Prawdopodobnie.

- Po mnie czy po pas?

- Po ciebie. Nie wierzę, aby jego natura pozwoliła mu dotknąć pasa. Wydaje mi się, że pas istnieje tutaj i w wymiarze cienia. Jestem przekonany, iż jego dotknięcie może być bolesne, jeśli nie zgubne, dla mieszkańców tego miejsca. Jest on ogniwem szczególnej energii.

- Zatem będzie lepiej, jeśli zabiorę go ze sobą zamiast zostawić tutaj. Może zapewni mi jakąś ochronę.

- Tak. Ale może spowodować, iż staniesz się celem polowania ze strony oddziałów z Sulvaru.

- Jak daleko musimy się oddalić, by nie dopadły nas potwory z cienia?

- Trudno powiedzieć. W zasadzie mogą ścigać cię wszędzie.

- Zatem nie mam większego wyboru.

- Nie masz.

Dilvish westchnął i zsiadł z konia.

- W porządku. Zabierzmy to do Kallusan, wyjaśnimy, co się stało i oddamy kapłanom Cabolusa. Mam nadzieję, że pozwolą nam wszystko wyjaśnić.

Podniósł z ziemi Pas Cienia.

- Co u diabła - powiedział okręcając go wokół bioder i zapinając.

Podniósł wzrok i zatoczył się. Wyciągnął przed siebie rękę.

- Coś nie tak? - spytał Black.

Świat wypełniony był srebrnym światłem przenikającym przez lekką mgiełkę. Nie wyglądał tak, jak przed chwilą. Dilvish nadal widział polanę, ciała, Blacka i drzewa na skraju. Ale były też drzewa, których nie pamiętał - cienkie, czarne, jedno z nich wyrosło między nim a Blackiem. Ziemia zdała się być nieco wyżej w tej podwójnej wizji, tak jakby stał zatopiony po kolana na szarym pagórku. Horyzont skryty był za mgłą. Po lewej stronie tkwił ciemny głaz. Za nim, w półświatle, wirowały jakieś mroczne postaci. Wyciągnął rękę w kierunku drzewa cienia. Poczul je, ale ręka zatopila się w nim, jak w płynącej cicho zimnej wodzie.

Black powtórzył pytanie.

- Widzę podwójnie: nasz świat i chyba drugi wymiar, o którym mówił Fly - odparł Dilvish.

Rozpiął pas i zdjął. Nic się nie zmieniło.

- To nie minie - rzekł.

- Nadal trzymasz pas. Przymocuj go do siodła i wsiadaj. Powinniśmy ruszać.

Dilvish posłuchał rady.

- Nadal to samo - stwierdził.

- A więc jest zbyt blisko - odpowiedział Black.

- Czy ma on jakiś wpływ na ciebie, wiesz go przecież?

- Mógłby, gdybym na to pozwolił. Blokuję tę płaszczyznę. Nie mogę biec, widząc podwójnie. Ale od czasu do czasu rzucę na nią okiem.

Black ruszył w kierunku, gdzie według Fly'a leżał Kallusan, wpadając w las i gubiąc szlak.

- Lepiej sprawdź, gdzie leży Kallusan na mapie - poradził. - Znajdź jak najlepszą drogę.

Dilvish oderwał wzrok od wirującej scenerii i wyciągnął mapę z kieszeni sakwy.

- Jedź na prawo - polecił - aż dojedziemy do drogi, na której byliśmy, tam za zakrętem. Będzie łatwiej, jak cofniemy się nieco. Powinniśmy wyjechać w bezpieczniejszej okolicy.

- W porządku.

Black zawrócił. Szybko znaleźli szlak, który Dilvishowi wydawał się odległy i obłany szarzącym światłem. Schylał głowę przed gałęziami, które okazywały się niczym innym jak powiewem wiatru na twarzy. Coraz trudniej było mu rozdzielać oba światy. Próbował zamykać oczy od czasu do czasu, ale dostawał zawrotów głowy i mdłości.

- Nie ma sposobu, abyś zablokował tę wizję? - zawołał, gdy pędzili na pozornie potężny gład przy akompaniamencie dźwięków przypominających przejazd lodowym tunelem.

- Niestety nie - odparł Black. - Nie jest to przenośna umiejętność.

Dilvish zaklął i pochylił się w siodle. Po pewnym czasie dojechali do rozjazdu, który mijali już wcześniej. Skręcili w lewo; droga była dobrze oznaczona, w miarę równa i łagodnie schodząca ku równinie. Jechali w stronę zachodzącego słońca, którego blask zamazywał niektóre, lecz nie wszystkie, kołyszące się obrazy przepływające obok nich; pozornie namacalne, groźne drzewa wysuwające konary niczym kościste palce, ich dotyk był zimny, słaby i niepokojący; szare, wirujące przedmioty, które spadały na nich, to znów odlatywały ścigane cięciem miecza; kształty o długich mackach, które ślizgały się za nimi, prawie ich dotykały, ale nie były w stanie dotrzymać kroku Blackowi; lodowaty wiatr, który był czymś więcej niż zwykłym wiatrem, wypełniony czarnymi płatkami i serpentynami, rozsiewający trupi zapach. Momentami Dilvish słyszał zwierzęce wrzaski, ale nie był już pewien, z której rzeczywistości pochodziły.

Kiedy słońce chowało się na zachodzie, a cienie stawały się coraz dłuższe, drugi świat ze swym srebrnym światłem wygrał pojedynek o panowanie nad jego zmysłami. Świat cienia wyglądał teraz jaśniej, choć unoszące się mgły były coraz gęstsze. Dilvisha niepokoił fakt, że przedmioty z drugiej płaszczyzny mogą zagęszczać się w miarę, jak ubywało dnia w jego własnym świecie.

Coś potężnego zakradło się z lewej strony. Jak na swoją masę poruszało się niezwykle szybko, ale nie dogoniło Blacka, zostało w tyle i wkrótce zniknęło z pola widzenia. Dilvish odetchnął głęboko i spojrzał przed siebie, a na wpół namacalne roślinne pnącza oplątywały jego spodnie i rękawy.

I właśnie gdy Black zwolnił, by wziąć zakręt, Dilvish poczuł jakiś niespodziewany ciężar na plecach i pazury wbijające się w ramiona.

Kręcąc się i miotając chwycił za szyję coś z głową ozdobioną groteskowym dziobem, wymierzonym w jego stronę. Siła wstrząsu i jego własne ruchy wyrzuciły go z siodła. Kiedy spadł na ziemię, świat cienia zniknął. Ptako-podobny potworek wielkości małego psa wydał przenikliwy pisk, potem zaświergotał i zamachał błoniastymi skrzydłami, gdy znaleźli się na ziemi. Dilvish chwycił go jednak mocno, przekręcił i wylądował na jego grzbiecie.

W chwili zderzenia potworek obrócił się i odpychając Dilvisha uderzył go skrzydłami po głowie. Wyszarpnął z uścisku szyję, odskoczył do tyłu dziko rozglądając się dookoła. Wzbił się później w powietrze i poszybował na prawo od szlaku, znikając za drzewami.

- Co się stało? - zapytał Dilvish podchodząc do Blacka.

- Udało ci się przenieść istotę z krainy cienia do twojej własnej - padła odpowiedź. - Złapałeś ją, gdy zerwałeś kontakt z kręgiem pasa i pociągnąłeś ją za sobą. Gratuluję. Mam wrażenie, że to nie zdarza się zbyt często.

- Opuśćmy to miejsce, zanim powróci - powiedział Dilvish, dosiadając rumaka. - Mam nieco mieszanane uczucia, jeśli chodzi o to osiągnięcie. A właściwie, co on będzie robił w naszym świecie?

- Prawdopodobnie będzie cię tropił, by spróbować jeszcze raz - odparł Black. - Ale założę się, że nie potrwa to długo. Nie wie prawie nic o twoim świecie, a drapieżniki od razu wyczują jego

odmienny zapach. Coś go w końcu zabije.

- Pędził naprzód.

- Powinno być ciekawie - mruknął - jeśli napotka jakieś kurczaki.

- Jak to? - zdziwił się Dilvish.

- Pamiętam tego stworka z moich własnych podróży na tamtą płaszczyznę, wiele lat temu - rzekł Black. - Jeśli jeden z nich się przedostanie i natknie się na kury, wkrótce pojawi się kilka stad bazylijszków. Lubią kurczaki i taki jest tego skutek.

Szlak wiódł teraz prosto, a Black znów przyspieszył kroku.

- Na szczęście nawet na tej płaszczyźnie bazylijszki nie żyją zbyt długo - dodał.

- Dobrze wiedzieć - ucieszył się Dilvish, schylając się pod gałęzią cienia, gdyż jego wzrok przystosował się już do drugiej płaszczyzny.

Dilvish opuścił normalny świat, którego kształty stały się przyciemnione i niematerialne. Druga płaszczyzna wydała się jaśniejsza, bardziej jednolita. Chcąc to sprawdzić, Dilvish wyciągnął rękę i zerwał długi, ząbkowany, czarny liść z mijanego drzewa. W mgnieniu oka liść owinał się wokół jego dłoni, a jego ząbki wbiły się w skórę, kłując niczym stado owadów. Dilvish zaklął, zdarł liść i wyrzucił za siebie.

- Znowu ta twoja ciekawość - zauważył Black. - Nie męcz roślin. One są bardzo wrażliwe.

Dilvish mruknął coś nieprzyzwoitego i potarł rękę.

Gnali jeszcze przez kilka godzin z szybkością niedostępną dla zwykłego konia. Wyprzedzali wielkie, groźne stwory; mniejsze i szybsze omijali lub pokonywali w krótkiej walce. Dilvish poczuł ukąszenie na lewym udzie i prawym ramieniu.

- Masz szczęście, że nie są trujące - zauważył Black.

- Szkoda, że nie odczuwam tego szczęścia - odparł Dilvish.

Zbliżyli się do wzniesienia w drugim świecie, podczas gdy ich własna droga pozostała płaska. Kiedy na ich płaszczyźnie pojawiły się nieoczekiwane spadki i obniżenia terenu, mieli wrażenie, że szybują w powietrzu nad lśniącem krajobrazem. Wtedy to Dilvishowi zdawało się, że za chwilę wpadną na ścianę wzgórza.

- Black, zwolnij! Zwolnij! - zawołał Dilvish, gdy nagle z rozpadliny w skale wynurzyła się ludzka postać i stanęła im na drodze.

- Co to?...

- Widzę go - mruknął Black. - Sprawdziłem. Mogę dodać, że to miejsce nie jest zamieszkałe przez ludzi.

Postać starca w czarnym płaszczu uniosła laskę, jak gdyby nakazując im, by się zatrzymali.

- Stańmy i dowiedzmy się, czego chce - odezwał się Dilvish.

Black zatrzymał się. Starzec uśmiechnął się.

- O co chodzi? - zapytał Dilvish. Mężczyzna uniósł rękę. Oddychał ciężko.

- Chwileczkę - rzekł. - Muszę złapać oddech. Szukałem wszędzie próbując was zlokalizować. To ciężka praca.

- Pas - powiedział Dilvish. Nieznajomy kiwnął głową.

- Pas - przytaknął. - Wiesz go w złym kierunku.

- Czyżby?

- Tak. Nic nie otrzymasz od mieszkańców Kallusanu, nawet słów podzięki. To barbarzyńcy.

- Rozumiem - odparł Dilvish. - Założę się, że jesteś kapłanem Salbacusa i przybywasz z Sulvaru.

- Nie mogę zaprzeczyć - rzekł mężczyzna. - Niestety, nie potrafię przenieść przedmiotu takiego jak pas z jednej płaszczyzny na drugą, z miejsca na miejsce. Potrzebuję twojej pomocy. Zapewniam, że otrzymasz za to sowitą zapłatę.

- Co chcesz, aby zrobił?

- Z tej płaszczyzny obserwowaliśmy kradzież pasa - odpowiedział. - W tym celu zmobilizowaliśmy naszą armię. Oficerowie poprowadzili ją w tym kierunku, gdy tylko Fly zdobył pas. Wojska są w drodze, ale Kallusanie wiedzą o tym i też się zmobilizowali. Nadchodzą tu od zachodu.

- Czy chcesz powiedzieć, że znalazłem się między dwiema nacierającymi armiami?

- Dokładnie. Ale i my mamy liczne oddziały sił pierwszego uderzenia i grupy zwiadowcze. Jeden z nich jest już na tym szlaku, pół godziny drogi stąd. Mają ze sobą posąg Salbacusa. Najprościej byłoby, gdybyś zawrócił. Mógłbyś przekazać im pas, a jeden z oficerów przeprowadziłby cię bezpiecznie do Sulvaru. Staniesz się bohaterem, dobrze ci zapłacą. Z drugiej strony, niektórzy z naszych ludzi mają zamiar ściąć ci głowę...

- Moment - odezwał się Dilvish. - Dobrze jest zostać bohaterem i otrzymać sowitą nagrodę, ale co z tą płaszczyzną i potworami, które jak widzę, nawet teraz podchodzą coraz bliżej.

Kapłan wybuchnął śmiechem.

- Pierwszy kapłan Salbacusa, który weźmie pas w swoje ręce, zdejmie z ciebie klątwę, nie obawiaj się. Zgoda?

Dilvish nie odpowiedział.

- Co o tym sądzisz? - szepnął do Blacka.

- Wydaje mi się, że łatwiej byłoby cię zabić niż nagrodzić. Z drugiej strony, Kallusanie będą szczęśliwi, gdy odzyskają swą własność. Wiedzą, że nie ty pierwszy ją zabrałeś. Znają przecież sprawcę.

- To prawda - odparł Dilvish.

- Zgoda? - powtórzył kapłan.

- Nie. To ich pas - odpowiedział z naciskiem Dilvish.

Kapłan pokiwał głową.

- Nie wierzę, że są jeszcze ludzie podróżujący po tej okolicy i robiący pewne rzeczy, tylko dlatego, że uważają je za słuszne - stwierdził. - To perwersja, nic poza tym. Ten pas przechodził z rąk do rąk tyle razy, iż straciliśmy już rachubę, kto skradł go pierwszy. Nie goń za złudnym pojęciem honoru, bo kręcąc się jak wiatrak nigdzie nie dotrzesz. Bądź rozsądny.

- Przykro mi - odezwał się Dilvish. - Ale tak właśnie będzie.

- W takim razie - oświadczył kapłan - żołnierze odnajdą go przy twoich szczątkach.

Opuścił swą laskę, a jej czubek, niczym włócznia, wymierzony został w Dilvisha. W mgnieniu oka Black stanął na tylnych nogach, w oczach zabłyśły mu ognie, a z nozdrzy wydobył się dym.

Chwilę potem z rozpadliny skalnej wynurzył się niski, pękaty mężczyzna w brązowym płaszczu. W dłoniach trzymał laskę.

- Zaczekaj, Izim - odezwał się wymierzając swą laskę przeciwko kapłanowi.

- Niech to diabli! Właśnie teraz, gdy kończy się moja zmiana! - zaklął kapłan Salbacusa.

- Jedź, panie! - polecił przybysz. - Jestem kapłanem Cabolusa. Nadciągają posiłki z Kallusanu wioząc posąg Cabolusa. Jak tylko pas znajdzie się na jego biodrach, sprawy przyjmą pomyślny obrót.

Kapłan Salbacusa zamachnął się laską na drugiego mężczyznę, który odparował cios, uderzył i odskoczył w bok. Natychmiast wycelował koniec laski w przeciwnika trafiając go oleistym płomieniem. Mężczyzna o imieniu Izim opuścił swą laskę, z której buchnęła para, gasząc ogień przeciwnika. Ponownie wywinął laskę, ale cios został zablokowany.

- Właśnie przyszło mi do głowy pytanie - krzyknął Dilvish - dotyczące identyfikacji. Mając do czynienia z tymi oddziałami i bogami poruszającymi się po okolicy, jak można rozróżnić posąg Cabolusa od posągu Salbacusa?

- Cabolus ma uniesioną prawą rękę! - wykrzyknął niski kapłan, waląc drugiego po ramieniu.

- Gdybyś zmienił zdanie - zawołał Izim podstawiając mu nogę - Salbacus trzyma w górze lewą rękę!

Pękaty kapłan przewrócił się, powstał i uderzył Izima pięścią w brzuch.

- Jedźmy - nakazał Dilvish, a Black zanurzył się między wzgórzami, nad którymi zapadał mrok.

Dilvish stracił poczucie czasu w przypiływie klaustrofobii. Potem zaczął dostrzegać

niewyraźny swój własny świat, słabo, jak przez chmurę dymu. Spojrzał przez ramię i zobaczył wschodzący księżyc.

- Mam nadzieję, że wreszcie nauczyłeś się, aby nie nawiązywać rozmów z ludźmi, którzy próbują cię ograbić - rozległ się głos Blacka.

- Ale musisz przyznać, że jego opowieść była ciekawa.

- Jestem pewien, że jeśli przyjdzie co do czego, Jelerak też opowie coś fascynującego.

Dilvish nie zareagował. Patrzył przed siebie, gdzie między drzewami migotało światelko.

- Ognisko obozowe? - zapytał w końcu.

- Chyba tak - odparł Black.

- Kallusanie czy Sulvaranie?

- Nie przypuszczam, by wywiesili oznakowanie.

- Zwolnij. Podjedziemy ukradkiem.

Black wypełnił polecenie, a jego ruchy stały się bezszelestne. Dilvish nadal miał poczucie, że znajduje się w podziemnym świecie, a jego świat normalny jest jedynie cieniem gdzieś na górze. To uczucie nie odstępowało go do chwili, gdy zjechali ze szlaku i wjechali w las. Black szedł naprzód, z lewej strony zataczając krąg wokół ogniska. Dilvish miał nadzieję, że nikt nie wyłoni się zza wzgórza cienia, by wprowadzić go w zamieszanie podwójnym obrazem. Wydawało mu się, iż słyszy za plecami jakiś trzepot; przystanął, sprawdził, ale niczego nie dostrzegł. Nic nie stanęło im na drodze. Posuwali się dalej w ciemnościach, aż Dilvish poczuł zapach ognia i usłyszał ciche męskie głosy.

- Będzie lepiej, jak dalej pójdę pieszo - stwierdził. - Buty Elfów doskonale nadają się do skradania.

Black stanął.

- Zaczekam chwilkę i ruszę za tobą - powiedział. - Jeśli będziesz mnie potrzebował, będę pod ręką.

Dilvish zsiadł na ziemię. Kiedy oddalał się od Blacka z pasem w torbie, noc zaczęła tracić coś ze swej upiorności, jakby świat powoli wynurzał się z czarnej powłoki. Coraz intensywniejszy stawał się zapach wilgotnej ziemi. Rosła siła nocnych odgłosów. Dźwięki dochodzące od strony obozowiska były wyraźniejsze, a ognisko płonęło jaśniejszym ogniem.

Posuwał się nisko pochylony między drzewami, dalej już na czworakach, zwalniając wszystkie ruchy, gdy dotarł do skraju obozu. Zatrzymał się i patrzył. Po chwili dołączył do niego Black i stanął nieruchomo.

Przy ognisku stało, leżało lub chodziło ponad dwunastu mężczyzn. Wszyscy byli uzbrojeni i odziani w wojenne szaty. Opodal znajdowały się spętane konie. Ziemia wokół była rozdeptana, w

niektórych miejscach wyglądała na rozkopaną. Dokoła leżały rozrzucone gałęzie, prawdopodobnie do podsycania ognia. Po lewej stronie, za ogniskiem stała ogromna lektyka. Na jej szczycie umocowano coś, co przypominało posąg. Dilvish nie widział dokładnie, gdyż widok przysłaniało mu dwóch pograżonych w rozmowie mężczyzn.

- Przesuńcie się, do diabła! - zamruczał Dilvish.

Minęło jednak kilka minut, zanim to uczynili. Kiedy usunęli się z pola widzenia, Dilvish odetchnął.

- W porządku - szepnął do Blacka. - Uniesiona jest prawa ręka. Mogę zwrócić pas bandzie Cabolusa i kończę tę grę.

Wstał, cofnął się, otworzył sakwę i wyciągnął pas.

- Zaczekam tutaj - oświadczył Black - jako rezerwa.

- Świetnie - ucieszył się Dilvish i ruszył. Przenarł się przez gałęzie i stanął w bezruchu.

Nie można podchodzić do obozu wojskowego bez uprzedzenia, stwierdził. Moment później mężczyzna, którego wziął za oficera, odwrócił się w jego kierunku. Kilku innych siedzących przy ognisku również dostrzegło go. Podnieśli się chwytając za broń. Dilvish uniósł w górę pustą prawą dłoń.

- Otrzymałeś wiadomość - zapytał - dotyczącą pasa?

Człowiek, który wyglądał na dowódcę, przystanął na chwilę, a potem skinął głową.

- Tak - odparł. - Masz go?

Dilvish podniósł lewą rękę i rozwinął pas niczym ognistą kaskadę.

- Otrzymałem go od człowieka, który go skradł - oświadczył. - Ale on już nie żyje.

Zrobił krok naprzód rozciągając go.

- Weź go - rzekł. - Cieszę się, że mogę się go pozbyć.

Mężczyzna uśmiechnął się.

- Z pewnością - odrzekł. - Czekaliśmy na niego od czasu inspekcji naszego kapłana. My...

Dilvish przystanął, gdy poczuł coś miękkiego wśród wysokich traw pod stopami. Pochylił się gwałtownie, chwycił przedmiot i podniósł go.

W dłoniach trzymał ludzką rękę.

- Co to jest? - wrzasnął upuszczając ją; odskoczył na bok i wyciągnął miecz.

Wbił jego koniec w miejsce rozkopanej ziemi. Trafił na płytki grób. Przesunął ostrzem, odkrywając fragment nogi.

Mężczyzna rzucił się w jego kierunku z wykrzywioną twarzą, ale Dilvish ustawił ostrze w

pozycji obronnej. Napastnik zatrzymał się gwałtownie i uniósł rękę zatrzymując swych ludzi, którzy rzucili się na ratunek.

- Zaatakował nas tu patrol Sulvaranów - wyjaśnił. - Złapaliśmy ich w pułapkę i sprawiliśmy przyzwoity pochówek - jestem pewien, że ich nie byłoby na to stać.

- A potem postaraliście się, by zatrzeć wszelkie ślady walki?

- A kto lubi ponure szczątki we własnym obozie?

- Dlaczego pochowaliście ich tutaj, pod nogami? Dlaczego nie wynieśliście ich dalej? Czegoś tu nie rozumiem...

- Byliśmy zmęczeni - padła odpowiedź - po całodziennym marszu. Nie mieszaj się do tego. Oddaj mi pas i uwolnij się od oskarżeń.

Wyciągnął dłoń i zrobił krok do przodu.

- Jeśli nie...

Posunął się dalej i trafił na wyciągnięte ostrze Dilvisha.

- Chwileczkę - odezwał się Dilvish. - Jest jeszcze jedno wytłumaczenie.

- Jakie? - zapytał mężczyzna przystając.

- Założmy, że jesteście Sulvaranami? Założmy, że wpadliście na oddział Kallusanów i wymordowaliście ich, a potem, gdy otrzymaliście wiadomość o moim przybyciu, oczyściliście w pośpiechu pobojowisko i czekaliście na dogodny moment, by zdobyć pas?

- Zbyt dużo tu przypuszczeń - stwierdził oficer - i jak w przypadku większości niesamowitych opowieści, nie znam sposobu, by obalić twe zarzuty.

- No cóż, rozumiem, że konflikt wygrywa strona, której bóg ma na sobie pas - Dilvish skierował się w lewą stronę, odwrócił się, i zachowując pozycję obronną ruszył w kierunku posągu.
- Po prostu oddam pas Cabolusowi i ruszę w drogę.

- Powstrzymaj się! - wrzasnął mężczyzna wyciągając własny miecz. - Świętokradztwem byłoby, gdybyś dokonał tego aktu swymi nie poświęconymi rękami!

Dilvish zadarł głowę na dziwnie znajomy gwizd dochodzący z lasu.

- Mam go przy sobie cały czas - odpowiedział - więc grzech i tak został już popełniony. Poza tym nie widzę tu nikogo, kto wyglądałby na kapłana. Zaryzykuję.

- Nie!

Mężczyzna skoczył do przodu wymachując mieczem. Dilvish odparował cios i zadał cięcie. Usłyszał stukot kopyt i z lasu wyslizgnął się czarny, konio-podobny cień, który rzucił się na pozostałych.

W pierwszym uderzeniu zmiażdżył kilku z nich, potem odwrócił się, stanął na tylnych nogach i zaczął walić przednimi kopytami. Dilvish wiedział, że rozpalają go wewnętrzne ognie.

Pozbył się napastnika tnąc go w szyję, a gdy wycofywał się, napadło na niego trzech kolejnych mężczyzn.

Przyklęknął na jednym kolanie i pchnął mieczem w górę, a na taki manewr najbliższy napastnik nie był przygotowany. Dwaj pozostali rozdzielili się jednak i otoczyli go z obu stron.

Na drugim końcu polany zauważył, jak z Blacka dobywa się ogień. Słyszał wrzaski tych, którzy padali na ziemię.

Zmylił przeciwnika po prawej stronie i stanął do walki z napastnikiem z lewej. Gdy tylko ich ostrza skrzyżowały się, zdał sobie sprawę, iż popełnił błąd. Mężczyzna był bardzo zwinny i doskonale władał bronią. Nie było sposobu, by go szybko trafić lub odepchnąć do tyłu i zająć się następnym, który z pewnością szykował się już do ataku. Jak w szalonym tańcu Dilvish zaczął krążyć dokoła, mając nadzieję, że obaj wojownicy ustawią się w jednej linii. Jednak jeden z przeciwników zwolnił kroku i zaatakował z boku. Kątem oka Dilvish zauważył, że Black był zbyt daleko, by pospieszyć mu z pomocą.

Ponownie usłyszał gwizd i trzepot skrzydeł. Rozpoznał swą Nemezisz z krainy cienia nadlatującą w jego kierunku.

Dilvish odtrącił ostrze przeciwnika, skoczył w tył, przykucnął przed drugim wojownikiem trzymając nad głową miecz.

Gdy odskakiwał, szybujący cień był już nad nim. Zbliżając się rozpostarł skrzydła, ale nie zdołał w porę wyhamować. Zwalnął się z trzaskiem na plecy drugiego mężczyzny, który padając na Dilvisha zatarasował drogę pierwszemu. Ten przekreślił się i wyciągnął ostrze w stronę stworka. Latające straszidło uniknęło uderzenia i rzuciło się na niego, przebijając mu ramię i rozszarpując pazurami twarz.

Pozostając w przysiadzie, Dilvish zadał bolesny cios pozostałemu napastnikowi, który zawył z bólu, gdy cios go dosięgnął. Wstając Dilvish dostrzegł okazję do czystego cięcia, którą wykorzystał.

Odwracając głowę, Dilvish zauważył, że ptak cienia przeszył gardło leżącemu mężczyźnie i właśnie wlatywał nad czerwoną kałużą krwi. Wbił w niego wzrok i trzepocząc z całej siły skrzydłami rzucił się w jego stronę.

Błysnęło ostrze i głowa stworka poleciała na prawo, podczas gdy reszta leciała dalej, bluzgając jasnoblękitną posoką z kikuta szyi. Dilvish uchylił się, a fragment stworka przemknął obok nierównym ruchem, rozbijając się o ziemię.

Dilvish dostrzegł, że nie pojawił się żaden z nowych napastników. Black nadal trzymał jakieś ciało. Schował więc miecz do pochwy i w poszukiwaniu upuszczonego w walce pasa przeszukał teren, na którym walczył. Znalazł go w końcu obok ciała pierwszego wojownika.

Oczyścił pas z kurzu i skierował swe kroki ku posagowi.

- Oto on, Cabolusie - ogłosił podchodząc. - Zwracam ci twój pas. Będę wdzięczny, jeśli zabierzesz stąd bestie z krainy cienia i moją wizję tego miejsca. Wybacz, że ręce me nie są czyste, ale tak wyszło.

Klęknął i zawiązał pas w połowie posągu. Natychmiast poczuł, że światło wokół jest

łagodniejsze, a ostre kontury stojącej przed nim figury wydały się bardziej naturalne, choć mniej ludzkie. Odsunął się, gdy w oczach posągu i nad wzniesioną ręką pojawiło się światło.

- Doskonale! Dobra robota! - usłyszał z tyłu głos.

Odwrócił się i ujrzał chwiejącą się postać pękatego kapłana, którego spotkał już wcześniej. Jego lewe oko przykryła opuchlizna, a na czole miał głęboką szramę. Z trudem wspierał się na lasce.

- Astralne boje nie są mniej brutalne od zwykłych potyczek - zauważył Dilvish.

- Powinieneś zobaczyć drugiego kapłana - odezwał się przybysz. - Dokonałeś wspaniałego dzieła, panie - wskazał na obozowisko. - Poświęciłeś sporo krwi, by ogrzać zimne serce starego Cabolusa.

- Przyczyna była bardziej materialna niż duchowa - zauważył Dilvish.

- To nie ma znaczenia, żadnego znaczenia - mruzczał kapłan. - Jestem pewien, że zdobyłeś jego łaskę. Skoro równowaga znów została naruszona, wkrótce będziemy świętować w Sulvarze. Miasto nie uniknie egzekucji, podpaleń i grabieży. Będziesz miał zaszczyt w tym uczestniczyć.

- Odzyskaliście pas. Dlaczego wszystkiego nie odwołacie i nie wróćcie do domu?

Kapłan uniósł brew.

- Chyba żartujesz - powiedział. - To oni zaczęli. Muszę dostać nauczkę. Tak czy inaczej, teraz nasza kolej. Kiedyś oni zrobili to samo. A poza tym, oddziały czekają już w polu. Nie mogę odesłać ich w tej chwili do domu, bo będą kłopoty. To tak w skrócie. Niektóre z nich przybędą tu wkrótce. Możesz im towarzyszyć. Zaszczycem będzie przejazd z Cabolusem, a ty otrzymasz swą część łupu.

Tymczasem przyłączył się do nich Black i stanął nad słuchując.

- Zastanawiam się, czy to coś znalazło jakieś kurczaki w okolicy? - zapytał po chwili patrząc na leżącą głowę ptaka cienia.

- Dzięki za propozycję - rzekł Dilvish do wizerunku kapłana. - Ale mam przed sobą długą podróż i nie chcę się spóźnić. Zrzekam się mej części łupu.

Dosiadł Blacka.

- Dobrej nocy, kapłanie.

- W takim razie, twą część przejmie świątynia - stwierdził z uśmiechem kapłan. - Dobrej nocy, niech ci towarzyszy błogosławieństwo Cabolusa.

Dilvish wzdrygnął się, a potem kiwnął głową.

- Do diabła! - Jedźmy stąd - nakazał Blackowi - i trzymajmy się z dala od bitew.

Black skierował się na południe i wjechał w las, zostawiając za sobą błyszczącą statuetkę z uniesioną ręką i gasnącego kapłana z opuchniętym okiem. Bezgłowy ptak cienia raz jeszcze zachwiał się, potem upadł, trzepocząc i sącząc posokę obok leżącego ciała i dogasającego ognia. Z

daleka dobiegał stukot nadciągających oddziałów kawalerii. Księżyc był już wysoko, ale cienie stały się wyraźne i puste. Black spuścił łeb i wszystko zostało w tyle.

Następnego popołudnia, gdy znaleźli się na szlaku wiodącym przez las na południe, spotkali na drodze młodą kobietę, która wybiegła im naprzeciw.

- Dobry panie! - krzyknęła do Dilvisha. - Mój ukochany leży ranny za tym wzgórzem! Napadli na nas rozbójnicy! Błagam, przyjdź mu z pomocą!

- Stój, Black! - polecił Dilvish.

- Naprawdę? - syknął prawie bezgłośnie Black. - To jeden z najstarszych tricków w tej książce. Pójdiesz za nią, a natychmiast wpadniesz w pułapkę uzbrojonych bandytów. Pokonasz ich, a kobieta wbije ci nóż w plecy. Śpiewają już o tym ballady. Czy wczoraj niczego się nie nauczyłeś?

Dilvish spojrzał w jej zapuchnięte oczy, spostrzegł pręgi na dłoniach.

- Ale ona może mówić prawdę - szepnął.

- Błagam cię, panie! Proszę! Chodź szybko! - zapłakała.

- Ten pierwszy kapłan trafił w sedno - zauważył Black.

Dilvish poklepał go po metalowym grzbiecie, wywołując cichy brzęk.

- Przeklęty, jeśli to zrobię. Przeklęty, jeśli odjadę - rzekł zsiadając na ziemię.